

ÉRIC ZEMMOUR W ROZMOWIE Z „DO RZECZY”

Wojna domowa
we Francji już trwa



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 43/448 25-31 PAŹDZIERNIKA 2021



Semka o kulisach spotkania
polskich biskupów
z papieżem Franciszkiem

**SZUKAJ WYDANIA
Z FILMEM
„CZYŚCIEC”
– O TAJEMNICY
ZAŚWIATÓW**



Warzecha obniża Polakom
podatek od benzyny

Jak nas oszukano

**CO OBIECYWANO POLSCE W 2004 R.,
GDY WSTĘPOWAŁA DO UNII EUROPEJSKIEJ**



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



9 772299 850000
Nakład: 58 370 egzemplarzy



GRATULUJEMY!

**ROBERT KUBICA
I ORLEN TEAM WRT**

**MISTRZAMI
EUROPY
WYŚCIGÓW
DŁUGODYSTANSOWYCH**



**EUROPEAN
LE MANS SERIES**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Szantażyści muszą się bać

Kolejna rezolucja Parlamentu Europejskiego uderzająca w Polskę została przyjęta. Cóż, zero zdziwień. Tak samo nie zaskakują jej treść i zawarte w niej kłamliwe twierdzenie, że orzeczenie polskiego Trybunału Konstytucyjnego jest bezprawne. Jest ono jak najbardziej prawne i praworządne. Niezależnie od tego, czy się to komu podoba czy nie, polski Trybunał Konstytucyjny potwierdził rzecz oczywistą: w dziedzinach nieprzekazanych wyraźnie Unii pierwszeństwo ma polskie prawo. Nie jest to nic szokującego. Przykład z Francji: tamtejsza Rada Konstytucyjna stwierdziła 15 października 2021 r.: „Transpozycja dyrektywy lub dostosowanie prawa krajowego do rozporządzenia [UE – przyp. red.] nie mogą być sprzeczne z przepisem lub zasadą nierozdzielnie związanymi z konstytucyjną tożsamością Francji”. Jednak te wszystkie oczywistości, również trafnie i zręcznie podkreślone w wystąpieniu premiera Mateusza Morawieckiego przed Parlamentem Europejskim, nie trafiają unijnym politykom, tak Komisji Europejskiej, jak i Parlamentowi, do przekonania. Nie trafiają, bo nie chodzi tu o spór prawny. Szefowa Komisji Europejskiej, a szerzej Unia, postanowiła wykorzystać sytuację i wymusić szybszą federalizację. Dlatego Ursula von der Leyen pozwala sobie traktować polskiego premiera jak nieco niesforne go ucznia.

Mówiła: „Członkostwo w UE musi iść w parze z przestrzeganiem wspólnych zasad i demokracji. Proszę nie przekierowywać dzisiejszej debaty o nadrzędności prawa europejskiego, proszę nie próbować przed nią uciec. Podkopywanie jakiegokolwiek z tych filarów zagraża europejskiej demokracji”. I dodała, zwracając się do Morawieckiego:

„Zalecenie dla Polski brzmi następująco: odtworzyć niezależność wymiaru sprawiedliwości, zlikwidować Izbę Dyscyplinarną i ponownie przywrócić do pracy zwolnionych bezprawnie sędziów. Proszę to uczynić”. Czy to jest forma rozmowy między partnerami? Czy raczej przywołanie do porządku?

W odpowiedzi premier, słusznie, odrzucił oskarżenia. Stwierdził także, że „integracja europejska to dla nas wybór cywilizacyjny i strategiczny. Nigdzie się stąd nie wybieramy. Chcemy Europę na powrót uczynić silną, ambitną i odważną”. Na koniec zaś zadeklarował, że nie zgadza się, by politycy unijni szantażowali Polskę. Stwierdził, że „nasz kraj atakowany jest w sposób niesprawiedliwy i stronniczy” i że czymś „niedopuszczalnym jest używanie języka szantażu finansowego”.

Niestety, w wystąpieniu premiera nie pojawiło się to, co najważniejsze, a mianowicie odpowiedź na pytanie, w jaki konkretny sposób Polska zamierza osiągnąć swój cel. To pytanie zasadne z kilku powodów.

Po pierwsze, ten sam premier, którego obecnie poucza Ursula von der Leyen, trzy lata temu zachwalał ją jako dobry wybór dla Polski i głosił, że to za sprawą głosów PiS doszło do jej wyboru.

Po drugie, opowieści premiera o tym, że rząd odrzuca język szantażu, brzmią dość osobliwie, biorąc pod uwagę prosty fakt, że właśnie wskutek interwencji polskiego wiceministra finansów dwa tygodnie temu szantażowi uległo kilka samorządów, wycofując się z tzw. uchwał dotyczących obrony przed ideologią LGBT.

Po trzecie, to polski rząd nie zdecydował się na weto w stosunku do mechanizmu wiążącego wypłatę unijnych pieniędzy z praworządnością. Nie zrobił tego ani w lipcu 2020 r., ani

w listopadzie 2020 r. Nie użył także weta w grudniu w stosunku do unijnego programu wprowadzającego zielony ład.

Po czwarte, rząd tak bardzo był przekonany co do słuszności swoich działań, że jego przedstawiciele w marcu publicznie twierdzili, iż nie ma groźby utraty unijnych pieniędzy przeznaczonych na Krajowy Plan Odbudowy. Ba, nie tylko, że to twierdzili, lecz także przez wiele miesięcy informowali o otrzymaniu tych miliardów z Brukseli. Zastanawiam się zresztą, czy to właśnie nie zachęciło unijnych urzędników do działania i wzmoczenia presji na Warszawę.

Wszystko to razem sprawia, że trudno mi się zdobyć na zaufanie co do rządowej strategii wobec Brukseli. Na pewno nie wystarczy zaklinanie rzeczywistości lub też jej wypieranie. Jesteśmy w obliczu konfliktu i wyraźnie widać, że Unia gra coraz bardziej brutalnie, rozzuchwalona właśnie wieloma dokonanymi przez premiera ustępstwami. W tej sytuacji zamiast zarzekania się „nigdzie się nie wybieramy” wolałbym, żeby polski rząd miał odwagę przygotowania się na scenariusz wyjścia. Wolałbym, żeby wskazał realne, coraz bardziej rosnące koszty przynależności do Unii. Chciałbym też, żeby przestał traktować polexit jak myślozbrodnię i tabu. Interes Polski nie jest tożsamy z interesem Unii. To, że nie rozumie tego polska opozycja, której większość zachowuje się jak przedstawiciele V kolumny, nie zdejmuje z rządzących odpowiedzialności. Polska potrzebuje dyskusji o przyszłości w UE. Jeśli Unia ma traktować polskiego premiera poważnie, to musi on zdobyć się na coś więcej niż na „odrzucenie języka szantażu”. Szantażyści muszą zacząć się bać. ©©

TEMAT TYGODNIA

20 MAREK JUREK
**SUWERENNOŚĆ
CZY EUROMASKARADA**
Polska w Unii Europejskiej

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
STANY UROJONE EUROPY



OPINIE

50 JAN FIEDORCZUK
SCHAMIEŃ MITU
Prawdziwe oblicze „ludzi na poziomie”

52 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
O TEOLOGII AKWINAŃ

HISTORIA

54 MAREK KAMIŃSKI
**KTO PRZYJECHAŁ MORDOWAĆ
W JEDWABNEM?**
Kulisy pogromu

60 ROZMOWA Z PIOTREM TRYBAŁSKIM
**STWORZONY
DO RZECZY WIELKICH**

ŚWIAT

62 ROZMOWA Z ÉRIKIEM ZEMMOUREM
POLSKA MUSI STAWIAĆ OPÓR
NATO jest organizacją przestarzałą

66 WITOLD REPETOWICZ
**MUKTADA: OD WATAŻKI
DO WŁADCY IRAKU**

70 TOMASZ ROWIŃSKI
**WIĘZIENNY
NOTATNIK
KARD. PELLA**

EKONOMIA

72 JAKUB WOZIŃSKI
**ZIELONY ROZKŁAD
POLSKIEGO
ROLNICTWA**
Katastrofalne skutki regulacji

76 ŁUKASZ WARZECHA
TANKUJ I PŁACZ

O ZDROWIU

78 ROZMOWA Z PROF. HALINĄ BARTOSIK-PSUJEK
ZATRZYMAĆ POSTĘP SM
Choroby ludzi młodych

80 KATARZYNA PINKOSZ
**GDY ODCZULANIE
RATUJE ŻYCIE**



KRAJ

26 MACIEJ PIECZYŃSKI
POGRANICZE W OGNIU
Polscy żołnierze na wschodniej granicy

30 PIOTR SEMKA
**ANI „DYWANIK”,
ANI RZYMSKIE WAKACJE**

34 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
**KREATYWNE STATYSTYKI
MINISTERSTWA ZDROWIA**

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PRAWIE JAK ISABEL

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
WOLNOŚĆ, RÓWNOŚĆ, MORDERSTWO
Rekordowa produkcja Netflixa

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, JUREK (10), GMYZ, GOCIEK (12), KOWALCZUK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (58), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (74), KOMUDA (85), KARWELIS, POSPIESZAŁSKI (87), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (88), KUCHARCZYK (89), CEJROWSKI (90)



Z Facebookiem firmy z całej Europy rozwijają działalność

Gdy Samuel Guez założył firmę My Jolie Candle we Francji, zaczął wykorzystywać platformy Facebooka, aby docierać do swoich odbiorców. Udało mu się oczarować prawie pół miliona użytkowników Instagrama.

Dziś My Jolie Candle zdobywa za pośrednictwem platform Facebooka aż do 80% europejskich klientów. „Spersonalizowane reklamy pozwalają nam wychodzić naprzeciw wyzwaniom – docierać do nowych osób zainteresowanych naszymi produktami i utrzymywać obecnych klientów” – wyjaśnia Samuel.

To jednak nie jedyna firma, która rozwija się na Facebooku. W UE ponad 50% ankietowanych małych firm używających aplikacji Facebooka deklaruje, że pomagają one przyciągać nowych klientów w czasie pandemii*.

Dla szybko rozwijającej się firmy możliwość docierania do odbiorców w innych krajach Europy i na świecie przy zachowaniu niskich kosztów jest kluczowa. Wiele innych małych europejskich firm zwiększa aktywność na portalach społecznościowych, aby generować sprzedaż. Często wybierają one Facebooka.

Z Facebookiem nowe firmy z całej Europy mogą się rozwijać.

Dowiedz się więcej na stronie about.fb.com/pl/europe

FACEBOOK



* Badanie firmy Ipsos MORI. W ogólnosięciowym badaniu przeprowadzonym w lutym i marcu 2021 r. udział wzięło 7500 małych i średnich firm z UE.



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jack Kozłowski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Górecki, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiłowicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiał, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka,
Ryszard Gromadziński, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelski,
Jack Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz
Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Torasiński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wolski, Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski,
Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Antoni Trzmiel**
(zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także
Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj,**
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Paweł Zdziarski

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (wiewiórki),
Jakub Tański, Jack Nadratowski, Włodzisław Zakrzewski
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
Okładka: **ROMANIDAS/REPORTER**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Anna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288 829

Nr indeksu nakładu z filmem 296 430

Nakład 58 370 egzemplarzy



DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie, innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziś zamiast listów publikujemy treść
pism odnośnie do okładowego
tekstu z ostatniego wydania „Do
Rzeczy”. Szanownym Czytelnikom
przypominamy, aby korespondencję
elektroniczną do redakcji kierować na
adres: listy@dorzeczy.pl.

MKiDN: Polski Instytut Sztuki Filmowej nie finansował filmu „Wesele” (2)

Wbrew sugestiom zawartym w artykule
pt. „Polak to pijak, antysemita
i homofob” („Do Rzeczy nr 42/2021) to
nie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa
Narodowego (czy PISF) zdecydowało
o tym, że w Polsce funkcjonuje
automatyczny mechanizm tzw. zachęt dla
produkcji audiowizualnej.

Film „Wesele” (2) otrzymał zwrot
części kosztów poniesionych na produkcję
(ok. 20 proc.) zgodnie z automatycznym
mechanizmem gospodarczym, tzw.
systemem zachęt, w oparciu o ustawę
o finansowym wspieraniu produkcji
audiowizualnej. Ustawa została przyjęta
w 2018 r. w celu wsparcia rozwoju
rynku filmowego w Polsce. Polska była
ostatnim krajem europejskim, w którym
nie było tego rodzaju regulacji. To
oznaczało, że nie byliśmy w stanie
konkurować na rynku filmowym
z innymi krajami regionu. Produkcje
zagraniczne były realizowane poza
Polską. Na skutek zmian wprowadzonych
na etapie prac parlamentarnych, pod
naciskiem różnych grup interesu, ustawa
pozbawiona została proponowanego
przez PISF i Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego elementu
oceny merytorycznej. Zakładała – jak
inne tego typu rozwiązania na świecie
– automatyczne wsparcie produkcji
z udziałem polskiego kapitału, polskich
twórców, realizowanych na terenie
Polski. Innymi słowy – każdy projekt
filmowy spełniający te kryteria musi
uzyskać dofinansowanie z mechanizmu
zachęt.

MKiDN już wiele miesięcy temu
wystąpiło z projektem nowelizacji
ustawy o zachętach audiowizualnych,
wprowadzającą merytoryczną ocenę
produkcji podlegającej dofinansowaniu
w ramach mechanizmu zachęt. Obecnie
projekt jest na etapie opiniowania przez
Radę Legislacyjną.

Z uwagi na negatywną rekomendację
komisji eksperckiej Polskiego Instytutu
Sztuki Filmowej dyrektor PISF podjął
także decyzję o braku finansowania filmu
„Wesele” (2) z Programów Operacyjnych
Instytutu.

Komisja PISF w swojej negatywnej
opinii argumentowała, że projekt budził
zastrzeżenia większości jej członków. Za
brakiem dotacji dla produkcji Wojciecha
Smarzowskiego przemawiał fakt, że
„... niezwykle trudny i wrażliwy dla obu
stron temat filmu dotyczący stosunków
polsko-żydowskich został w projekcie
»Wesele« (2) przedstawiony niezwykle
drastycznie, brutalnie, a także miejscami
niezgodnie z prawdą historyczną”.

Konsultacja historyczna scenariusza
potwierdziła zastrzeżenia komisji.
Ponadto, jak stwierdziła komisja,
„zastosowany zabieg dramaturgiczny
polegający na połączeniu warstwy
współczesnej filmu ze wspomnieniami
jednego z bohaterów z lat 1938–1941
pogłębia jeszcze miejscami drastyczność
opowieści [...]” oraz „trudno nam zgodzić
się ze słowami reżysera zawartymi
w eksplikacji, że nie potrafimy zmierzyć
się z ciężarem win i odpowiedzialności
i z tym, że »Wesele« (2) ma w tym pomóc”.

W scenariuszu filmu wielowiekowe
relacje polsko-żydowskie, tradycja
wspólnej koegzystencji, zostały
zilurowane tak, aby potęgować
wzajemne uprzedzenia. Budowanie
wizerunku narodów w oparciu
o ekstremistyczną postawę marginesu
społecznego, wskazywanie jej jako
cechy całej wspólnoty, jest intelektualnie
nieuczciwe. Dlatego projekt nie zasługiwał
na wsparcie mecenatu państwa.

Anna Pawłowska-Pojawa,
dyrektor Centrum Informacyjnego
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Od autora

Szanowna Pani Dyrektor,
cieszy mnie wiadomość, że MKiDNiS
wystąpiło wreszcie z projektem
nowelizacji „ustawy o finansowym
WSPIERANIU produkcji audiowizualnej”,
nie wiedzieć czemu nazywanej przez
Panią „ustawą o zachętach”. Cieszę
się, że nie nazywa jej Pani „ustawą
o automatycznym zwrocie kosztów”.
Ustawa ta, funkcjonująca już od ponad
trzech lat, jednoznacznie zobowiązuje
producenta, chcącego uzyskać wsparcie
„przyznawane przez PISF”, do wypełnienia

testu kwalifikacyjnego i przedstawienia scenariusza utworu audiowizualnego.

Test kwalifikacyjny wzmiankowany w ustawie powstał być może, podobnie jak ustawa, „pod naciskiem różnych grup interesu”, ale oficjalnie wprowadziło go rozporządzenie MKiDN. W innych krajach europejskich analogiczne testy kwalifikacyjne są po prostu przemysłane. Cytuję rozwiązanie niemieckie: „Pomoc nie zostanie przyznana, jeżeli film zawiera treści niezgodne z konstytucją lub prawem [...]. Do finansowania nie kwalifikują się również filmy, które koncentrują się na pornografii lub gloryfikacji przemocy lub które otwarcie naruszają uczucia religijne w niewłaściwy sposób. Do zarządu FFA (Federal Film Board) należy decyzja, czy spełnione są warunki wstępne odmowy przyznania pomocy”.

Współwinne skandalowi, jakim jest finansowanie „Wesela” pieniędzmi polskiego podatnika, są akty prawne, wymagające pilnych zmian i niedostatecznie, jak widać, promujące interes Polski w ministerialnej polityce kulturalnej.

Z poważaniem
Dariusz Wieronieczny

Do autora tekstu „Polak to pijak, antysemita i homofob” („Do Rzeczy” nr 42/2021)

Szanowny Panie, recenzując ostatni film W. Smarzowskiego („Do Rzeczy” nr 42/2021), poświęcił Pan wiele wysiłku, by donieść na PISF i Ministerstwo Kultury, że jakoby miały wesprzeć ten odbiegający w wielu miejscach od rzeczywistości historycznej film środkami publicznymi.

Jako były dyrektor FilMOTEKI Narodowej – Instytutu Audiowizualnego (odwołany dyscyplinarnie przed kilkoma miesiącami) powinien Pan wiedzieć – i pewnie Pan wie, ale wygodniej to Panu przemilczeć – że Polski Instytut Sztuki Filmowej realizuje wsparcie produkcji filmowej na dwa sposoby. Pierwszy, selektywny, wspiera najlepsze projekty filmowe na podstawie opinii ekspertów i decyzji dyrektora PISF. Drugi to automatyczny system wsparcia realizacji produkcji audiowizualnej na terenie Polski, bez oceny filmu pod względem artystycznym czy merytorycznym. Dla lepszego zilustrowania zasady jego działania można wskazać, że to

mechanizm podobny do odzyskiwania podatku VAT. Jeśli zwrot się należy z uwagi na wydatkowanie na terenie Polski, to nie rozpatruje się, czy nabyty produkt jest estetyczny.

Rozumiem też Pana złość na Ministerstwo Kultury, ale kiedy nie tak dawno został Pan odwołany ze stanowiska dyrektora FilMOTEKI Narodowej – Instytutu Audiowizualnego, na łamach „Gazety Wyborczej”, do której skierował Pan wtedy swoje pierwsze kroki, sam określał się Pan jako piewca pełnej wolności i pluralizmu w filmie. Dziś żąda Pan publicznie zmian w automatycznym systemie zachęt filmowych celem ochrony wartości konserwatywnych.

Sprostuję Pana spostrzeżenie, bo to nie komisja ekspertów PISF zadecydowała o braku dofinansowania z Programów Operacyjnych PISF, ale jedynie rekomendowała taką decyzję, natomiast zdecydował o tym dyrektor PISF. I, jak słusznie Pan wskazał, film „Wesele” (2) nie otrzymał wsparcia ze środków, dla których kryterium wydatkowania jest ocena merytoryczna filmu.

Za to system zachęt – mimo, zgadzam się, kontrowersyjnego zapisu o automatyzmie – przyniósł jednak wiele korzyści. Dzięki inwestycji ok. 200 mln zł w ten model wsparcia gospodarczego w Polsce zrealizowano filmy o łącznym budżecie wydatkowanym w naszym kraju wysokości ok. 840 mln zł. A pieniądze przewidziane na zachęty filmowe na rok 2021 zostały w pełni rozdysponowane już w czerwcu br.

To pokazuje, jak skutecznie promowana jest Polska jako miejsce realizacji produkcji filmowej. Piszę o tym, bo tu znowu się Pan pomylił. Pisał Pan, że do zadań PISF, zgodnie z ustawą o tzw. zachętach, należy promocja polskich produkcji. Zgodnie z tą ustawą chodzi akurat o promocję Polski jako miejsca produkcji audiowizualnej. Różnica jest zasadnicza.

Z serdecznymi pozdrowieniami
Radosław Śmigulski, dyrektor Polskiego
Instytutu Sztuki Filmowej

Od autora

Szanowny Panie Dyrektorze, szczerze rozbawiło mnie użycie przez Pana porównanie mechanizmu wsparcia produkcji audiowizualnej do zwrotu podatku VAT. Oto, jak opisywał Pan ten mechanizm w wywiadzie

dla portalu bankier.pl z 10 lutego 2019 r.: „Kluczowym elementem przyznania wsparcia jest pozytywny wynik w teście kwalifikacyjnym, tzw. teście kulturowym, który wypełnia się w oparciu o treść utworu oraz założenia produkcyjne. Po pozytywnym rozpatrzeniu całego wniosku PISF będzie zawierać umowę o wsparcie finansowe. Ona będzie podstawą przekazania pieniędzy na powierniczy rachunek bankowy, gdzie poczekają, aż beneficjent skończy prace objęte wsparciem i rozliczy wszystko raportem. Po zaakceptowaniu raportu PISF odblokuje środki i trafią one do beneficjenta.

PAP: Co jeszcze powinien wiedzieć producent, który składa wniosek o zwrot kosztów?

R.Ś.: Przede wszystkim to, że wnioski są rozpatrywane w kolejności złożenia aż do wyczerpania puli środków na dany rok”.

Jeśli podatki VAT w Polsce zwraca się po testach kulturowych, w oparciu o treści utworów literackich i tylko do wyczerpania limitu środków przyznanych z budżetu państwa, to Pańska analogia ma sens. Jeśli nie, to jest zwykłym mydleniem oczu.

Zarzuca mi Pan składanie donosów. Jest to Pańskie instrumentarium pojęciowe, obce mi, a nawet wstrętne. Uwagi o moim zwolnieniu nie zasługują na komentarz, nie Pan o nim decydował i nie jest Pan stroną w sporze prawnym toczonym przeze mnie z MKiDN.

W mojej recenzji piszę o zadaniu PISF „promocja Rzeczypospolitej Polskiej jako miejsca produkcji audiowizualnej”, a nie, jak Pan twierdzi, „promocja polskich produkcji”. Nie ma więc żadnej „zasadniczej różnicy”, po prostu nie zdołał Pan przeczytać krótkiego przecież tekstu ze zrozumieniem.

Z poważaniem
Dariusz Wieronieczny

„Zapomniany obóz”, Monika Odrobińska, „DRz” 42/2021

W materiale „Zapomniany obóz” („Do Rzeczy” nr 42/447) omyłkowo podpisałam bohaterów zdjęcia jako „dzieci Potulic”. Fotografia została wykonana w obozie w Potulicach, ale po 1945 r., gdy wydział Więziennictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego powołał tam Centralny Obóz Pracy dla Niemców. Za błąd najmocniej przepraszam.

Monika Odrobińska

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nie wszystko Mata, co się świeci



PIOTR SEMKA

Co to się działo, co to się działo! Lewicy pół z oburzenia się skręcało – tak, trawestując dawny przebój Wojciecha Młynarskiego, można opisać medialną burzę po kontrakcie reklamowym młodego rapera Maty z koncernem McDonalda.

Pierwszy zareagował aktywista miejski Jan Mencwel, który zagrzmiął: „To było do przewidzenia, że Mata podpisze kontrakt reklamowy [...]. Ale że reklamuje POTRÓJNEGO cheesburgera w kraju z problemem z otyłością dzieciaków, gdzie ludzie jedzą dwa razy za dużo mięsa, a jego hodowla niszczy planetę, wybiło żenado-metr”. Równie oburzona była celebrytka Paulina Młynarska: „Co ty, Mata, czytać nie umiesz? Nie wiesz, co śmieciowe żarcie lubi z ludzkim zdrowiem, nie wiesz, co to jest cukrzyca i zawał? To ma być twoja kontestacja? Pod tym szyldem?”. Maja Staśko, publicystka Krytyki Politycznej, zakupiła w McDonalddie specjalny zestaw sygnowany nazwiskiem popularnego rapera, żeby przed kamerą pokazać, jak jako weganka bardzo brzydzi się mięsnym hamburgerem i kawą z naturalnym mlekiem.

Mniej więcej w tym samym czasie ojciec Maty, Marcin Matczak, frontman protestów przeciwko PiS-owskiej reformie wymiaru sprawiedliwości, zalażał za skórę lewicy, krytykując dzisiejszą młodzież. „Wątpię, aby tacy ludzie byli gotowi pracować 16 godzin na dobę, żeby osiągnąć sukces. Indywidualne powodzenia bardzo często służą im potem jako uzasadnienie zmian systemowych”. Na Matczaka spadły gromy za to, że chce orać młodymi do upadłego i kpi z „owocowych czwartków”. W malowniczą polemikę z Matczakiem seniorem wdał się nawet Adrian Zandberg, lider skrajnie lewicowej Partii Razem.

Przyznam się, że obserwując ten niesnaski, zwróciłem uwagę na jeden istotny ich rys. Gdyby Matczakowie – ten stary i ten młody – trzymali się rytualnej poprawności politycznej lewicy, dalej cieszyliby się statusem nieskalanych niczym bojowników o wolność. Gdyby ojciec nie sławił wielogodzinnego „zasuwu”, który tak miły był Leszkowi Balcerowiczowi, nikt by się go nie czepiał. Gdyby Mata reklamował np. ce-

skie kliniki aborcyjne, wysławiano by z szacunkiem na lewicy jego odwagę. Bo przecież wcześniej rozmaite wysoki obu panów nikogo w obozie postępu nie oburzały. W 2018 r. stary Matczak niedwuznacznie groził, że zadba, żeby na studiach córki znanego blogera Matki Kurki dowiedziano się o tym, kim jest jej straszny pracowniczy tata, nikogo to w obozie wolności nie oburzyło. Z kolei gdy na niedawnym koncercie Maty na lotnisku Bemowo „głos młodego pokolenia” skandował do upadłego hasło „...ć PiS”, to liberalne media z zachwytem relacjonowały ten seans nienawiści.

To ciekawy przykład powrotu marksistowskiego myślenia. Nie istnieje moralność uniwersalna, a jedynie oceniać możemy czyjeś zachowanie pod kątem tego, czy przybliży emancypację i postęp. Z tego punktu widzenia, gdy Mata wzywa parodziejęciotysięczny tłum do wulgarnego hasła przeciw prawicy, postępuje słusznie. A jak zachęca dzieciaki do jedzenia wołowiny, to zasługuje na najbardziej srogie potępienie. Czego jeszcze nie rozumiecie? ©©

LIU NAJLEPIEJ GRAŁ CHOPINA

Kanadyjczyk Bruce (Xiaoyu) Liu otrzymał pierwszą nagrodę na zakończonym w ubiegłym tygodniu XVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina. – Mam poczucie, że w obecnej grupie laureatów odnaleźliśmy pianistów, którzy potrafią nas zarówno głęboko wzruszyć, jak i olśnić – mówiła przewodnicząca jury Konkursu Chopinowskiego Katarzyna Popowa-Zydroń. Wśród wyróżnionych znalazł się też Polak. Jakub Kuszlik został nagrodzony za najlepsze wykonanie mazurków. (luz) ©©



FOT. DAREK GOLIŃSKI/MPF

PGNiG Mecenaszem Teatru

...w **Twoim** domu



To ważne, żeby dbać o tradycję, kulturę i sztukę.
Dlatego bycie mecenaszem, obecnego od lat
w Waszych domach **Teatru Telewizji**,
to dla nas zaszczyt.



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Paroksyzmy ratuszowe

Pogróżki Rafała Trzaskowskiego wobec Marszu Niepodległości stały się już rytuałem. Co roku Trzaskowski oznajmia buńczucznie, że nie pozwoli, co roku musi pozwolić, bo na szczęście od jego decyzji stowarzyszenie Marsz Niepodległości może się odwoływać, a policja mu nie podlega i co roku już w trakcie marszu rozwiązuje go pod idiotycznym pretekstem. Potem sąd stwierdza, że decyzja o rozwiązaniu manifestacji była bezzasadna, a użyte przez ratusz argumenty fałszywe, co nie przeszkadza Trzaskowskiemu sięgać po te argumenty ponownie.

Wydawałoby się, po takiej obsuwie jak rozwiązanie marszu pod pretekstem „eksponowania zakazanych symboli ideologii

totalitarnych”, po którym ludzie Trzaskowskiego przez kilka dni mozolnie przeglądali tysiące zdjęć, aby jakiś taki symbol znaleźć, aż ogłosili, a następnie wskazali mediom i sądowi uczestnika w koszulce z przekreślonym (przekreślonym!) sierpem i młotem... No właśnie, wydawałoby się. W tym roku wiceprzewodniczący PO najbezpieczniej znowu jedzie tekstem, że marsz się nie może odbyć, bo nie wolno pozwoić, by na ulicy obnoszono faszystowskie symbole. Chociaż to i tak mniej śmieszne niż pierwsze wypowiedzi Trzaskowskiego, w których zapowiedź zakazania marszu uzasadniał „zagrożeniem epidemicznym”. Dosłownie nazajutrz po tym, jak uczestniczył w wiecu swojej partii na placu Zamkowym, gdzie, jak twierdzili

on i jego ludzie, zebrać się miało „sto tysięcy” ludzi. I nie czyni błaznowania Trzaskowskiego mniej błazeńskim fakt, że w istocie było ich tam cztery razy mniej – na małym placu słóceniu byli ciasno i nie mieli maseczek.

Kiedyś mnie ta ciągła obstrukcja i nienawiść peowskiego ratusza przeciwko patriotycznej manifestacji irytowała, potem już tylko śmieszyła, dziś zaczynam ją doceniać. Przynajmniej nie grozi marszowi los żołnierzy wyklętych, których spontaniczny kult został z wielką szkodą upaństwowiony i zrytualizowany. Marszowi, którego PO nienawidzi, a PiS nie lubi, taki los nie grozi, pozostanie własnością młodych ludzi, którzy go dla siebie stworzyli, a nie oficjalną. Zapraszam więc – jak co roku. © ©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Ren płynie do Tybru

Franciszek zainspirował, jak pisałem tydzień temu, Pawła Kowala do opracowania ustawy homoseksualnej, warto również spojrzeć na inne konsekwencje papieskich przyzwalających wypowiedzi. Politycy (niektórzy) robią swoje, a (niektórzy) biskupi – swoje. Ostatni etap niemieckiej Drogi Synodalnej ogłosił, że dla par homoseksualnych „można i należy znaleźć odrębne formy błogosławieństwa”, aby „były nie tylko umocnieniem dla kochających się par, lecz także dla rodziców i przyjaciół, którzy będą im w życiu towarzyszyć”.

Przekonanie, że najistotniejszym wymiarem rzeczywistości są subiektywne odczucia, pragnienia i zadowolenie, zawody i smutki,

to czysty naturalizm. To podejście doskonale zresztą streszcza tytuł niemieckiego dokumentu synodalnego: „Życie w udanych związkach. Żyć miłością w seksualności i partnerstwie”. Społeczeństwa konsumpcyjnego nie trzeba przekonywać do takich „ideałów”, a już na pewno nie wymaga to pomocy Kościoła.

Tym, którzy szukają „umocnienia” w relatywizacji katolickiej etyki seksualnej, można tylko przypomnieć słowa Chrystusa, pokazujące prawdziwą stawkę naszego losu: „Kto chce zachować swoje życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, ten je zachowa. Bo cóż za korzyść ma człowiek, jeśli cały świat zyska, a siebie zatraci lub

szkodę poniesie?” (Łk 9, 24–25). Właśnie w uświadamianiu obecności tego, co niewidzialne, w mówieniu o tym, co „niezrozumiałe”, Kościół objawia światu Boga. To jest jego powołanie. I skoro o powołaniu mowa, to powtórzę raz jeszcze: czas na list Episkopatu (albo po prostu listy pasterskie poszczególnych biskupów) na temat herezji szerzącej się na granicy dwóch polskich metropolii. Po pierwsze – dla obrony wiary, bo jasna i pełna świadomość kryzysu Kościoła jest koniecznym warunkiem odnowy Kościoła. A po drugie – ze względu na warunki życia w dzisiejszej Europie bez granic, w której tym bardziej idee granic nie mają. © ©

Choć nasze marki znane są na całym świecie, to czujemy się przede wszystkim polską firmą

Dlaczego Polska jest tak istotnym rynkiem dla Coca-Cola HBC?

Choć jesteśmy jedną z najbardziej znanych firm międzynarodowych, to czujemy się polską firmą. 94 proc. produktów z portfolio Coca-Cola sprzedawanych w naszym kraju jest produkowanych w polskich zakładach. Tu zatrudniamy ludzi, tu płacimy podatki i współpracujemy z polskimi dostawcami.

Opublikowany niedawno raport dotyczący wpływu społeczno-ekonomicznego Coca-Cola w 2020 r. pokazał, że Coca-Cola mocno angażuje się w rozwój polskiej gospodarki.

Oczywiście, zapewniamy 1,8 tys. miejsc pracy w samym systemie firm Coca-Cola w Polsce. Nasza działalność wspiera 12,6 tys. stanowisk w innych przedsiębiorstwach, co oznacza, że dzięki jednemu miejscu pracy w ekosystemie spółek Coca-Cola powstaje prawie sześć stanowisk w innych branżach, m.in. w transporcie, cukrownictwie, rolnictwie i handlu. W 2020 r. zapłaciliśmy prawie 379 mln zł podatków, z czego 90 proc. z nich trafiło do budżetu centralnego, a 10 proc. do budżetów jednostek samorządowych.

W 2018 r. Coca-Cola ogłosiła także ambicję „Świat bez odpadów”. Jakie działania na rzecz ochrony środowiska podejmuje Wasza firma?

Przed wszystkim dążymy do zamknięcia obiegu opakowań – do 2030 r. chcemy zbierać i w pełni przetwarzać dokładnie tyle opakowań, ile trafia od nas w ręce konsumentów. W 2020 r. w Polsce już co drugie opakowanie po naszych produktach zostało zebrane i poddane recyklingowi. Ale potrzebujemy budowy nowego i efektywnego systemu, by móc osiągnąć planowane 100 proc. Przy obecnych wyzwaniach klimatycznych kluczowe jest zmniejszanie śladu węglowego



W ostatniej dekadzie Coca-Cola, na którą składają się dwie spółki, zainwestowała w Polsce ponad 1 mld zł. Tylko w 2020 r. wygenerowała ponad 3 mld zł wartości dodanej dla gospodarki. – Widzimy bardzo duży potencjał inwestycyjny w Polsce i jesteśmy gotowi inwestować pod warunkiem, że będziemy mieli stabilne i przewidywalne otoczenie regulacyjne – mówi Jaak Mikkel, dyrektor generalny Coca-Cola HBC Polska i Kraje Bałtyckie

go oraz oszczędzanie wody, dlatego ogłosiliśmy właśnie osiągnięcie celu zerowej emisji netto w całym naszym łańcuchu wartości do 2040 r. W ostatnich latach w Polsce i krajach bałtyckich firma ograniczyła emisję CO₂ o 45 proc., wymieniając blisko 6 tys. chłodziarek w punktach sprzedaży na modele energooszczędne czy też wykorzystując w zakładach zakupioną energię elektryczną pochodzącą w 100 proc. ze źródeł odnawialnych. Zakłady Coca-Cola HBC w Polsce spełniają również najwyższe standardy w ramach międzynarodowego standardu Alliance for Water Stewardship (AWS), dotyczącego odpowiedzialnego gospodarowania wodą – włącznie z jedynym w Polsce najwyższym, platynowym certyfikatem.

W raporcie poświęciliście także sporo miejsca na pokazanie realiów prowadzenia przedsiębiorstwa w Polsce oraz potencjalnych wyzwań, z którymi mierzą się inwestorzy. Jak Coca-Cola ocenia otoczenie regulacyj-

ne dla działalności biznesu w naszym kraju?

Żeby móc prowadzić biznes, planować inwestycje i rozwijać się w sposób zrównoważony, potrzebne jest stabilne i przewidywalne otoczenie regulacyjne, szczególnie że inwestycje planujemy na kilka lat do przodu. Dużym wyzwaniem był dla nas drugi pod względem wysokości na świecie podatek cukrowy (a właściwie napojowy), który płacimy w Polsce od początku 2021 r. Mieliśmy niecały rok, żeby się przygotować na jego wprowadzenie, a jego wpływ finansowy na naszą działalność jest bardzo duży.

Obecnie kluczową dla nas kwestią jest nowy pakiet legislacyjny dotyczący zarządzania odpadami opakowaniowymi, w tym nowelizacja ustawy o gospodarce opakowaniami i odpadami opakowaniowymi (potocznie nazywanej Ustawą ROP) oraz wyczekiwany projekt ustawy o systemie depozytowo-ka-

ucyjnym. Chcemy wziąć pełną odpowiedzialność za odpady opakowaniowe po produktach, które wprowadzamy na rynek, co jest podstawowym założeniem rozszerzonej odpowiedzialności producenta. Dobry system ROP to taki, w którym organizacje producentów nie tylko finansują zbiórkę i sortowanie odpadów opakowaniowych, które trafiają od nich do konsumentów, lecz także czuwają nad jakością tych procesów tak, aby do recyklingu trafił odpowiednio przygotowany surowiec wtórny.

Duże szanse widzimy w efektywnym systemie depozytowo-kaucyjnym i bardzo się cieszymy, że Ministerstwo Klimatu i Ochrony Środowiska zapowiedziało już legislację w tym zakresie. Ja sam pochodzę z Estonii, gdzie od 2005 r. funkcjonuje obowiązkowy i powszechny system depozytowy na opakowania po napojach. Podobnie jak na Litwie i od przyszłego roku na Łotwie. W tych systemach osiąga się poziomy zbiórki i recyklingu opakowań w granicach 90 proc. Warto podobne efekty osiągnąć w Polsce, dlatego przy tworzeniu legislacji, która ma wpływ na nasz biznes i ma znaczenie w kontekście naszych planów inwestycyjnych, głosy producentów powinny być wysłuchane i brane pod uwagę.

Jakie są priorytety działań koncernu w Polsce na kolejny rok?

Chcemy dalej mieć pozytywny wpływ na otoczenie społeczno-ekonomiczne i minimalizować nasz wpływ na środowisko, dlatego będziemy kontynuować prace nad realizacją ambicji „Świat bez odpadów”. Pod kątem biznesowym mamy w planie wprowadzenie nowych produktów i ulepszenie ich składu, aby nasza oferta produktowa odpowiadała na różne potrzeby konsumentów i różne okazje.

Za nami ważny europejski tydzień, bo premier Mateusz przemawiał w Strasburgu, był szczyt unijny i w ogóle przeciąganie liny. Mało kto wie, że dla polskich europosłów najbardziej ekscytujący punkt programu miał miejsce po debacie w europarlamentcie. Chodzi o lunch. Prawdziwy wspólny lunch z prawdziwym premierem Mateuszem. Po niejednym policzku popłynęła łza wzruszenia.

Po wyznaniu szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego, że w pewnych prywatnych sytuacjach śpiewali razem z Pawłem Kukizem piosenki, pół Polski zastanawia się, o jakie dokładnie utwory chodziło. Informujemy więc, że udało nam się to ustalić. Otóż nie były to kompozycje Pawła Kukiza. Chodzi o – jak to ładnie ujmie Paweł, naczelny kukista – piosenki patriotyczne.

Mamy wiadomość dla niedowiarków wątpiących w to, czy Kaczyński SWP w ogóle lubi i umie śpiewać. Otóż i jedno, i drugie. Byliśmy świadkami, jak śpiewał chóralnie, ze szklanką piwa w dłoni, utwory ze śpiewnika lwowskiego. Uwaga, czynił to między innymi w chórze z Ryszardem Legutką. Mamy nie tylko pamięć i świadków, mamy nawet zdjęcia. Fakt, że liczą ponad 10 lat.

Ale idzie zmiana w Europie. Cyngle z portalu OKO.press wpadły w popłoch, że konserwatysta Petr Fiala będzie teraz premierem Czech. Zainwestowały więc w zakup jego ostatnich książek wydanych w Pradze, by ujawnić jego straszne poglądy: lubi Orbána, Kaczyńskiego, a nie lubi eurokratów. Głupia sprawa, dwie książki Fiali ukazały się po polsku. W tym „Koniec beztróski. O Europie, demokracji i polityce, jakiej nie chcemy”. Szczególnie z tej ostatniej można się wszystkiego dowiedzieć.

Powyższy casus pokazuje doskonale kłopot ze współczesnymi socjalistami-internacjonalistami. Po pierwsze, zawsze robią wszystko prawą nogą przez lewe ucho, a nie jak ludzie, czyli normalnie. Po drugie, nigdy nie przegapią okazji, żeby zamiast u Polaka wydać pieniądze u obcego. Wydawanie pieniędzy u Polaka jest bowiem zanadto ksenofobiczne i na-

cjonalistyczne. Zwłaszcza gdy to Ośrodek Myśli Politycznej. A jeszcze jedno: według OKO.press koronnym dowodem straszności Fiali jest cytowanie Legutki. Kurtyna.

Pamiętacie zapewne zdarzenie sprzed poprzedniego tygodnia, kiedy to popsuła się w Sejmie maszyna do głosowania. Otóż popsuła się ona niejako na życzenie PiS-owskich przystawek. Ogólnie rzecz biorąc, przystawki zażądały w zamian za podniesienie łapek jeszcze jednego ministra. Kaczyński SWP uznał jednak, że przy ich skromnej liczebności to już gruba przesada. A jak naczelnik ma zły humor, to i maszyna do głosowania może mieć też swoje humory.

dwaj panowie



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

WSenacie tymczasem doszło do małego zgrzytu dyplomatycznego. Ambasador Turcji umówił się na pogaduszki z szefem komisji spraw zagranicznych, czyli niejakim Klichem Bogdanem. Cholera wie, czy szef komisji zapomniał o terminie, czy może zasnął. Dość, że po pół godzinie czekania turecki dyplomata się wściekł i sobie poszedł. A pomyśleć, że ongiś to Turcy czekali na przybycie pośła Lechistanu. I był to wtedy gest przyjaźni.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Pewnie słyszeliście, że bezobjawowy konserwatysta Paweł Kowal jeszcze od Budki otrzymał zadanie napisania projektu ustawy o związkach partnerskich. Po tym, jak Borysław popadł w niełaszkę, Kowal ruszył do Złego Donalda z Sopotu, by dowiedzieć się, jakie są jego życzenia co do kształtu projektu. Niestety, kiedy wreszcie udało mu się pojawić przed obliczem Tuska, usłyszał, że ma się z tym pomysłem czym prędzej oddalić. Nie udało nam się ustalić, czy padło przy okazji ulubione słowo Marty Lempart.

Ta ostatnia informacja w sumie bardzo nas zasmuciła. Nie dlatego, że czujemy sympatię do Borysława i jego pomysłów albo do tzw. homomażeństw jako takich. Ale już ostrzyliśmy sobie apetyt na publiczne występy politycznego związku partnerskiego Kowal/Poncyłjusz, bo to właśnie duo miało pracować nad projektem ustawy. Sami przyznacie – to tak, jakby narodowców skierować do prac nad poszerzeniem Unii Europejskiej. W kwestiach progresywnych obyczajowo obaj panowie mają mniej więcej podobne kwalifikacje.

Àpropos Złego Donalda z Sopotu – jednak jest mściwy. I to jak! Stary-nowy szef PeŁo w partyjnej centrali nie zajął wcale gabinetu po Borysławie Budce. Kazał sobie wyrychtować pieczarę na piątym piętrze, którą zajmował wcześniej Grzegorz Skorpion Schetyna. Natomiast plotki, jakoby Tusk przyozdobił ten gabinet głowami pokonanych wrogów wewnętrznych, nie polegają na prawdzie. Jeszcze.

Wprokuraturze przeczytano projekt Nowego Ładu. A że prokuratorzy potrafią nie tylko czytać akty prawne, lecz także liczyć – no to policzyli. To, co im wyszło, nie poprawiło nikomu humorów. Gorzej. Obliczyli bowiem, że ich płace nie tyle ulegną zamrożeniu, ile wręcz spadną. W przypadku rekordzistów może to oznaczać, że fiskus im zabierze dodatkowe 40 tys. rocznie. Jak się domyślacie, zapanowały nastroje protestowe. Ziobro – co prawda – robi, co może, by fiskalna siekiera oszczędziła jego podwładnych, ale, jak wiecie, nie ma on chemii z premierem Mateuszem. ©©

Poznań



HORYZONT

NARAMOWICE

RODZINNA INWESTYCJA

www.horyzont-naramowice.pl



PRESTIŻOWA INWESTYCJA

www.wilda-corner.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 882 818 848

eprasa.pl aeb85a8db8

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Szczesny Potocki zapewnia w TVN24,
ze jak go bardzo ładnie
poprosimy, to zapyta
carycę Katarzynę,
co się da zrobić
ws. rozbiorów...



C E Z A R Y K R Y S Z T O P A

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

0 Zjednoczonym Królestwie Islamskim

W Leigh-on-Sea w hrabstwie Essex 15 października w kościele metodystów 17 ciosami nożem zamordowany został konserwatywny poseł sir David Amess. Zabił go 25-letni Brytyjczyk urodzony w Somalii, fanatyk islamski Ali Harbi Ali.

Głośny mord zadaje kłam postępowej teorii socjologicznej o tym, że islamscy zamachowcy to ofiary biedy i ciemnoty wynikające z nierówności szans w niesprawiedliwym, a często rasistowskim społeczeństwie bogatych państw Zachodu, która popchnęła ich w ramiona porażającej propagandy sfanatyzowanych brodaczy. Ali Harbi Ali to wykształcony syn byłego doradcy premiera Somalii

Harbiego Ali Kullane, który mieszka w Londynie w luksusowej dzielnicy londyńskich VIP-ów w mieszkaniu wartym co najmniej 2 mln funtów.

Ponoć morderca znajdował się na liście brytyjskich służb jako osobnik niebezpieczny i potencjalny islamski terrorysta. Pytanie, dlaczego nie został zatrzymany, zanim dokonał zbrodni, nie ma wielkiego sensu. Brytyjskie służby monitorują, jak widać, z nie najlepszym skutkiem, aż 30 tys. agresywnych islamistów, spośród których – zdaniem wywiadu – aż 3,5 tys. może w każdej chwili dokonać zamachu terrorystycznego. Można chyba śmiało wnosić, że dla brytyjskich służb o wiele groźniejszy od islamistów jest mój sąsiad z łamów „Do Rzeczy” – Rafał A. Ziemkiewicz.

Muzułmanie mają się w UK świetnie. Pobudowali już ponad 1,6 tys. meczetów i posiadają własny wymiar sprawiedliwości religijno-obyczajowej. Trybunały islamskie zajmują się problemami rodzin poligamicznych (choć niby w UK poligamia jest zabroniona), wydają wyroki dyskryminujące kobiety, a też wymierzają kary za poślubienie niewiernego. Trzeba oddać, że islamieści w dzielnicach brytyjskich miast, które uważają za własne, uczciwie ostrzegają tabliczkami: „Tu panuje prawo szariat”. Jeszcze trochę i tabliczki nie będą potrzebne. Z badań demograficznych wynika, że za 10 lat w UK większość będą stanowić muzułmanie. Allah akbar. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Nowość!

abp Fulton J. Sheen

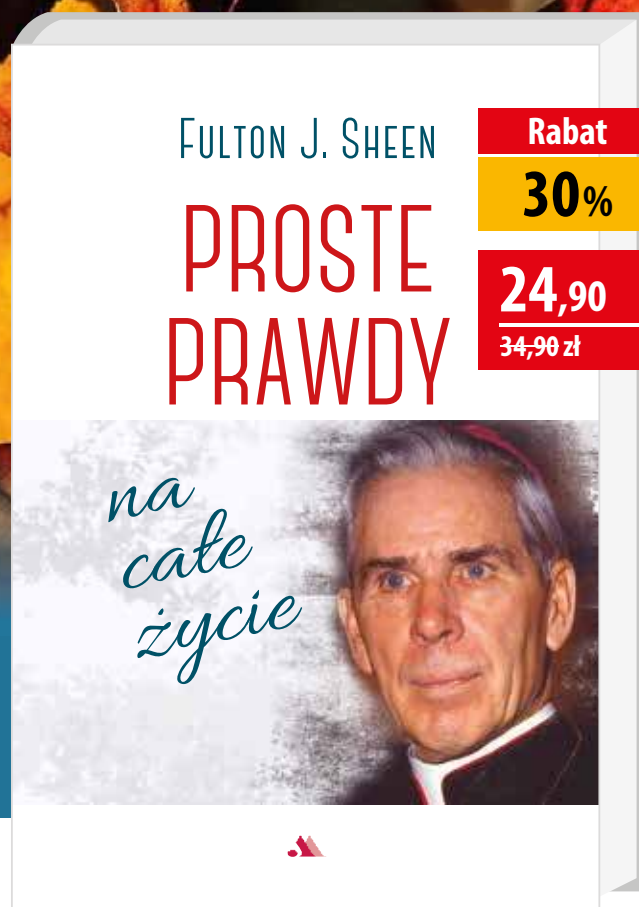


abp Fulton J. Sheen

W pełni czasu

WYDAWNICTWO AA, 12×19, s. 192, miękka

KOD: 643715



abp Fulton J. Sheen

Proste prawdy na całe życie

WYDAWNICTWO AA, 12×16, s. 224, zintegrowana

KOD: 644101

*Wielkie skarbnice praktycznej mądrości
jak żyć po chrześcijańsku w tym czasie
i w takim świecie, jaki został nam dany*



FOT. PAMEŁ GROMKOWA

EDZIA I WIRUSY

Edzia Górniak opowiedziała „Faktowi”, jak to było, kiedy prawie 20 lat temu nagrywała swój trzeci album zatytułowany „Perła”. Okazuje się, że nie było łatwo. Podobno ktoś wprowadził Edzię w błąd, nie mówiąc jej, że wszystko jest nagrywane na pirackim oprogramowaniu. – Pracowaliśmy na pirackim programie, o czym nie wiedziałam. Jak skończyłam nagrania, to komputer skasował cały materiał. Wprowadził się wirus, który zjadł całą płytę, i nie mieliśmy żadnego backupu. Okazało się, że ta osoba nie miała takiej wiedzy i świadomości, pod jaką się podpisała. Pracując na pirackich programach, to jest bardzo nieodpowiedzialne, więc dostałam zapaści, bo wiedziałam, że kolejnego budżetu nie dostanę. Cała ta praca kilku miesięcy po prostu poszła do kosza. Totalnie się załamalam – wspominała. To tłumaczy, dlaczego Edzia wypiera ze świadomości istnienia jakichkolwiek wirusów! Ona pracowała w ten sposób traumę sprzed 20 lat!

AAAAA... ASYSTENTKĘ ZATRUDNIĘ

Blogerko-celebrytka Anna Skura stwierdziła, że nie radzi już sobie z codziennymi obowiązkami, i postanowiła znaleźć sobie asystentkę. W tym celu stworzyła listę swoich oczekiwań i wymagań, mówiąc, że inspirowała się filmem „Diabeł ubiera się u Prady” z Meryl Streep w roli głównej. A że Anna Skura to nie Meryl, to i ogłoszenie brzmi jak brzmi. A zatem Anna szuka osoby „z dobrą energią i życzliwej, która nie plotkuje i nie knuje intryg” oraz „kieruje się w życiu sercem”. Na razie same konkrety! Dalej jest o tym, że „praca jest zwirowana, czasem nieprzewidywalna”. Gdyby zaś ktoś się zastanawiał, co znaczy koordynacja spraw organizacyjnych, to Skura odpowiada, że może to znaczyć wszystko – „od robienia zakupów do biura po asystowanie w zagranicznych sesjach zdjęciowych, kreowanie nowego contentu, asortymentu w sklepie, wymyślanie wspólnych projektów i koordynowanie ich, pomoc w prywatnych sprawach”. – Jeżeli załatwisz helikopter podczas huraganu, to na pewno właśnie ciebie potrzebujemy – zachęca celebrytka. Ale uwaga, to dopiero pierwszy etap rekrutacji. W następnym trzeba będzie wykonać wymyślone przez Annę Skurę zadanie. Jakże? Jeszcze nie wiadomo. – Może to będzie zorganizowanie helikoptera, a może obróbka zdjęcia albo przygotowanie krótkiej prezentacji. Może to będzie załatwienie pana elektryka czy wywozu elektrośmieci, czyli zmywarki. A może przygotowanie i opracowanie scenariusza sesji nowej kolekcji – czytamy w ogłoszeniu. Ale nie martwcie się, jeśli przerażają was te wyśrubowane kryteria! Jest i dobra

wiadomość – już na samym wstępie ogłoszenia pani Skura pisze, że imię i znak zodiaku przyszłej asystentki są dla niej bez znaczenia! Więc głowa do góry! I ty masz szansę na pracę marzeń! Bo każdy przecież marzy o tym, by móc załatwiać wymianę zmywarki Annie Skurze, prawda?

WIĘZIENIE GWARANCJĄ SUKCESU

Tymczasem Dagmara Kaźmierska, jedna z bohaterek cyklu „Królowe życia”, napisała książkę. O swoim życiu. Bo o czym innym? Píše tam między innymi o swoim kryminalnym epizodzie. – Nie będę opowiadać bzdur, że byłam na wczasach w Ameryce. Nie zamierzam też ronić teraz krokodylich łez. One nie zmażą tego, co było – pisze o swoim pobycie w więzieniu. – Królową byłam zawsze. Od wielu lat wiem, jak smakuje sława. W Kotlinie Kłodzkiej znali mnie wszyscy. Nie ma się czym chwalić, kryminał to nie pierwszy rząd w operze. Ale gdybym udawała, że tego nie było, byłabym hipokrytką – dodaje. Píše też, że odsiadka dobrze jej zrobiła, bo to właśnie dzięki niej trafiła na ekrany telewizorów w całym kraju. – Zdawałam sobie sprawę, że igram z prawem. Wiedziałam, że prędzej czy później będę musiała za to zapłacić. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Gdyby nie więzienie, nie trafiłabym do telewizji [...]. Teraz zna mnie cała Polska – stwierdza. Więzienie gwarancją medialnego sukcesu. Nie ma chyba boleśniejszej recenzji dzisiejszego świata show-biznesu.

NA ŚCIANCE W SWETRZE

Tymczasem biedna celebrytka Julia Wieniawa przeżywa prawdziwy dramat. Otóż nie zdążyła się przebrać na premierę filmu i na ścianie wystąpiła w dżinsach i swetrze. Rozumiecie powagę sytuacji? Zrozumiała ją sama Wieniawa, która niepytana i nieproszona poczuła silną potrzebę wytłumaczenia się, jak do czegoś takiego mogło w ogóle dojść. – Stylizacja pod tytułem: „Dobra... Nie zdążę wrócić na chatę ze studia się przebrać, ale na szczęście

marynarka od Łukasza Jemioła zrobi robotę” – czytamy na jej Instagramie. Cóż, chyba jednak marynarka od Jemioła roboty nie zrobiła, a zdjęcie Wieniawy w dżinsach i swetrze (jak jakiś plebs, strasznie!) i potrzeba tłumaczenia się z tego przejdą do historii. Kabaretu. ©



FOT. MATEUSZ GRÓDZKI/EAST NEWS

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2021

NAGRODY



W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

**LAUREATÓW POZNAMY
NA GALI 16 LISTOPADA 2021 r.**

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNER



PARTNER HONOROWY





MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, nasze korpo wdrożyło niebinarny system pracy i trochę pracujemy z home office, a trochę ze zwykłego office. No i skutkiem tego częściej, niż byśmy chcieli, obserwujemy Nowego z Tarnowa i jego zwyczajne.

No i wyobraźcie sobie, jaka siara. Wchodzimy dzisiaj do biura i widzimy, jak Nowy pieczołowicie przeciera swojego laptopa jakąś zwykłą ściereczką do czyszczenia urządzeń elektronicznych.

Cóż, może my nie mamy najnowszego makbooka, ale za to pooszczędzaliśmy, nie posłaliśmy przez kilka weekendów na piwo, to i mamy – kupiliśmy sobie ekskluzywną ściereczkę do czyszczenia ekskluzywnego sprzętu elektronicznego. Myślmy też nad uruchomieniem zrzutki i zakupem drugiej. Wiemy, trochę fanaberia, ale taka to nasza skłonność do markowych gadżetów.

A Nowy niech dalej przeciera swojego starego lapsa jakąś ściereczką z dyskontu czy rękawem koszuli. Ale niech nie twierdzi przy okazji, iż jest równy nam xD

Martwi nas i szokuje, iż ostatnio coraz częściej dochodzą do nas głosy, ba – coraz więcej się o tym mówi w mediach, iż mężczyźni są jakoby dyskryminowaną grupą w tym kraju.

Tymczasem każda normalnie myśląca osoba doskonale rozumie, iż biały heteroseksualny mężczyzna to najbardziej uprzywilejowana persona, co wynika z samego faktu bycia białym i heteroseksualnym.



Widzimy jakieś pokrętne uzasadnienia, iż mężczyźni np. żyją krócej, dłużej pracują itd. No sorry, ale ktoś musi dłużej pracować, iżby wносить wkład do wspólnej puli na świadczenia społeczne i emerytury. A że chorują? Niech jedzą mniej mięsa i piją mniej wódki, to będą zdrowsi.

My np. pomimo faktu posiadania biologicznych cech męskich nie utożsamiamy się z tymi problemami, iż nie chcemy tworzyć fałszywego wrażenia, iż bycie białym heteroseksualnym (pracujemy nad tym) mężczyzną to cokolwiek innego niż przechodzenie przez życie w sposób uprzywilejowany kosztem waginoosób oraz innych mniejszości.

Kochani, of kors my się nie znamy na takich rzeczach jak kopalnie, węgiel, szkody środowiskowe itd. Zostawiamy to kucom z polibudy bez wyobraźni, którzy nie potrafią sobie wyobrazić koncepcji 57 płci.

Niemniej czujemy się w obywatelskim obowiązku, iżby zabrać głos w sprawie kopalni Turów. Otóż, jak wiecie, strona czeska chce jej zamknięcia, a rząd tego kraju cuduje i zamknąć jej nie chce.

Co więcej, rząd tego kraju postanowił zrobić na złość Czechom i chce sprawdzić, czy kopalnia Jänschwalde, która znajduje się w Niemczech, ale należy do czeskiej firmy, nie szkodzi przygranicznym gminom w tym kraju.

Trudno sobie wyobrazić bardziej małostkowe zachowanie i jest nam z tego powodu po prostu wstyd. Chce nam się krzyczeć i wyjść na ulice, ale mamy problem ze znalezieniem rymu do „Turów”

i co za tym idzie – stworzeniem chwytliwego hasła do skandowania.

W każdym razie naszym zdaniem rząd tego kraju zachowuje się jak rozwydrzony kilkulatek, który zamiast zrobić coś, czego oczekują od niego starsi i mądrzejsi, stara się jeszcze jakoś zrobić im na złość i pokazać, co to nie on. Stanowczo potępiamy takie zachowanie, zdecydowanie to nie ten kraj powinien pokazywać w Europie, co to nie on.

Mamy rewolucyjny pomysł na walkę z pandemią, trochę na bazie doświadczeń z państw zachodniej Europy, trochę z Australii i Nowej Zelandii.

Otóż proponujemy, iżby brak certyfikatu szczepienia uniemożliwił wyjście z domu na szczepienie. No i cyk, kolejny problem związany z nadmierną aktywnością rozwiązany. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOAM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Do kobiety w taki sposób?

Radek, weź trochę na wstrzymanie. Przecież wiesz, że nam takie rzeczy nie pomagają. Jaka ona jest, to każdy widzi. Ale do kobiety w taki sposób? Słabo.

A weź, Donald, nie mogę na babsko patrzeć.

Ja to rozumiem, ja też na wiele osób nie mogę patrzeć. Ale co ty chcesz być drugim Sterczewskim? No przecież wiesz, że to idiota. Ja się Sterczewskim nie zajmuję.

Ja wiem. Ale robisz nam problemy. Poza tym co to za pomysł z tym przetłuszczonym łbem? Ma przetłuszczony! Widziałem!

Ostatnio windą razem jechaliśmy.

No to nie wiem, bo jak ja ją ostatnio spotkałem niedawno, to akurat miała fryz całkiem w porządku i żadnego przetłuszczenia. Może akurat głowę umyła.

Wiesz, ty też doskonały nie jesteś. O, łupież ci się tu osadził, posypał. Łupież?! Gdzie?! Masz lusterko jakieś? ©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Ludzie będą się kiedyś wstydzić jedzenia nabiątu”.

SYLWIA SPUREK, europosłanka, w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”



STRAŻNIK PAMIĘCI

2021



PARTNER
GŁÓWNY





Traktat akcesyjny Polski (razem z dziewięcioma innymi krajami) do Unii Europejskiej podpisano w Atenach 16 kwietnia 2003 r. Od lewej: ówczesny premier Leszek Miller, ówczesny prezydent Aleksander Kwaśniewski i ówczesny minister spraw zagranicznych Włodzimierz Cimoszewicz FOT. ROMANIDAS/REPORTER

Chyba nigdy politycy tyle nie mówili o narodowej suwerenności i tożsamości, o twardej obronie zasad i interesów, jak wtedy, gdy agitowali za przyłączeniem Polski do Unii Europejskiej. Na przedakcesyjnym finiszu, za rządów premiera Millera, gdy największą partią opozycji była Platforma Obywatelska, Sejm RP podjął uchwałę „w sprawie integracji Polski z Unią Europejską”: „Chcemy Unii Europejskiej będącej silnym związkiem suwerennych państw narodowych, szanującym bogactwo kultur i narodowych tożsamości. Chcemy współtworzyć wspólnotę narodów, opartą na zasadach pomocniczości i solidarności [...], domagamy się [...] dotrzymania zasad równości

szewicz. W czasie sejmowej debaty nad zgłoszonym przez Prawo i Sprawiedliwość projektem „gwarancyjnej” uchwały „w sprawie suwerenności polskiego prawodawstwa w dziedzinie moralności i kultury” zapewniał, że nie ma żadnej potrzeby zastrzegać, że „polskie prawodawstwo w zakresie moralnego ładu życia społecznego, godności rodziny, małżeństwa i wychowania oraz ochrony życia nie podlega żadnym ograniczeniom w drodze regulacji międzynarodowych”. „Nie ma żadnych podstaw do tego, aby się obawiać – mówił minister – że prawo europejskie kiedykolwiek będzie wkraczało w te obszary regulacji. To jest prawnie niemożliwe”.

i „wszystko, co jest fundamentalne, pierwotne, traktatowe w Unii Europejskiej [...], zaprzecza możliwości ingerencji organów międzynarodowych w dziedzinę narodowej moralności i kultury”, nawet w projekcie Konstytucji dla Europy Unia „wyrzeka się kompetencji ponadnarodowych w dziedzinie moralności i kultury i dlatego budzi nasze zaufanie”.

Potem w 2016 r., podczas czarnej rewolucji na ulicach naszych miast – sam przebrany na czarno – siedział na sali Parlamentu Europejskiego i słuchał przemówień, w których posłowie z innych państw nie tylko krytykowali społeczny projekt ustawy „Stop aborcji”, lecz także atakowali totalnie istniejące polskie ustawodawstwo

Suwerenność czy euromaskarada



Marek Jurek

Pora zapytać, na czym ma polegać polska polityka w Unii Europejskiej, skoro ciągle galwanizowany consensus nie daje nam wobec niej żadnej alternatywy

szans i sprawiedliwości, wypisanych na sztandarach Unii Europejskiej. Wzywamy Rząd Rzeczypospolitej Polskiej do twardej negocjacji w ostatniej fazie rozmów”. Na koniec jednak w uchwale znalazło się dyskretnie wyjaśnienie głębszych motywów „twardości w ostatniej fazie”: „Treść i styl ostatniej rundy negocjacji będzie miał wpływ na wyniki referendum roku 2003”.

Tak właśnie – zgodnie ze starą walewsowską formułą „Za, a nawet przeciw” – powstał najważniejszy „europejski standard polskiej polityki”: unijna treść, która najlepiej się sprzedaje w narodowym opakowaniu.

SEJM NIE MUSI SIĘ POWTARZAĆ

Polską dyplomacją w tym czasie kierował były premier Włodzimierz Cimoszewicz.

Dziś Włodzimierz Cimoszewicz jest posłem do Parlamentu Europejskiego. Dwa lata temu poparł rezolucję „Zdrowie seksualne i reprodukcyjne oraz prawa w tej dziedzinie w UE w kontekście zdrowia kobiet”, wzywając Polskę i inne państwa Unii Europejskiej „do zapewnienia powszechnego dostępu do bezpiecznej i legalnej aborcji”. Ostateczny sens „powszechności legalnej aborcji” wyjaśnia dobrze pedoseksualna rezolucja Parlamentu z 2019 r., głosząca, że umożliwienie legalnych „aborcji ma zasadnicze znaczenie dla [...] zdobycia bezpiecznych doświadczeń seksualnych” przez młodych. Tę rezolucję również Cimoszewicz poparł.

Janusz Lewandowski w debacie nad uchwałą gwarancyjną zapewniał, że w Europie „łączą nas wspólne wartości”

chroniące życie, któremu w czasach akcesji europejskiej, w swojej deklaracji ideowej, Platforma Obywatelska nadała sens wręcz uniwersalny: „prawo winno ochraniać życie ludzkie, tak jak czyni to obowiązujące dziś w Polsce ustawodawstwo”. W żadnym momencie nikt z kolegów Lewandowskiego nie podniósł się, by przypomnieć, że sprzeciw PO wobec ustawy „Stop aborcji” nie może oznaczać zgody na rzucanie przeciw Polsce hasła w rodzaju „prawo do własnego ciała”, atakujące nie tylko deklarowane zasady ich partii, lecz także wprost porządek konstytucyjny Rzeczypospolitej, zdefiniowany Orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego z 28 maja 1997 r.

Sama zaś uchwała Sejmu „w sprawie nienaruszalności suwerennych kompetencji państwa w dziedzinie moralności

„i kultury” została wiosną 2003 r. przyjęta w ramach najszerszego konsensusu, przy jedynie 25 głosach przeciwnych i ośmiu wstrzymujących się. Niemal nigdy nie była potem przywoływana publicznie dla potwierdzenia wobec zagranicy stanowiska Polski w sprawie integracji europejskiej i statusu naszego państwa w Unii, dla przeciwstawienia się takim pomysłom jak wniosek szefowej unijnej dyplomacji, Federiki Mogherini, o wspólne stanowisko Rady Europejskiej (czyli wszystkich rządów UE) w sprawie „praw reprodukcyjnych”. Owe dwa słowa – „niemal nigdy” – oznaczają chwalebny wyjątek, który miał miejsce 15 lat po przyjęciu polskiej uchwały gwarancyjnej w przemówieniu premiera Mateusza Morawieckiego na forum Parlamentu Europejskiego 4 lipca 2018 r.

TUSK NA WOJNIE Z UE

Nicejski sposób głosów, z którym wchodziliśmy do Unii Europejskiej, czynił Polskę jednym z sześciu wielkich państw Unii, o sile głosu – w ramach mechanizmu międzyrządowego – niemal (bo w 93 proc.) identycznej z Niemcami lub Francją. Dzięki „spłaszczonemu”, wzmacniającemu słabsze państwa systemowi głosowania wprowadzał sytuację, że żadna z większościowych decyzji Rady Europejskiej nie mogła być podjęta bez zgody wyzwolonych krajów Europy Środkowej. Żeby ująć rzecz bardziej konkretnie: ani polityka antyprzemysłowa, ani imigracyjna nie mogłyby być narzucane państwom naszego regionu w ramach tamtego po-

krótco potem znalazł się w licznym gronie polityków (ze współzałożycielami PO Andrzejem Olechowskim i Maciejem Płażyńskim na czele), których Donald Tusk z partii się pozbył. Z dzisiejszej perspektywy więc o wiele ciekawsze są „wczesno-unijne” deklaracje samego Tuska, zasadniczo podejmujące stanowisko Rokity.

W czasie debaty na temat Konstytucji dla Europy, w grudniu 2004 r., Tusk ostro potępiał postkomunistyczny rząd, poganiający Sejm do ratyfikacji Konstytucji dla Europy, zarzucał mu „niepatriotyczny egoizm”, uruchamianie „propagandowej wrzawy”, aby „przykryć” polityczne porażki w kraju (był to czas parlamentarnego śledztwa w sprawie Rywina), „mystyfikację europejską” poprzez wmawianie społeczeństwu, że rzeczowa dyskusja o nowym traktacie europejskim to spór o to, „czy jesteśmy za Unią Europejską czy przeciw”. Donald Tusk ostro bronił wówczas prawa do debaty europejskiej, do krytyki propozycji unijnych i występował przeciw populistycznemu straszeniu – jak się to dziś określa – polexitem.

Tusk zresztą nie tylko krytykował rząd Belki, lecz także analizował sytuację Polski w Europie. Wyjaśniał, że „nieratyfikowanie traktatu konstytucyjnego nie zostawia Polski ani Europy w jakiejś dramatycznej puście”, bo przecież chodzi o obalenie pozycji Polski wynikającej z traktatu nicejskiego, a jeśli traktat nawet upadnie, to Unia Europejska – przekonywał Tusk – będzie trwać „w takich realiach prawnych, które Polsce bardziej sprzyjają niż te, które są zapisane w traktacie konstytucyjnym”. Opowiadał

wał jej charakter. Mówił o „niezrozumiałym dla Polaków wyrzeczeniu się chrześcijaństwa w zapisach traktatu konstytucyjnego”. Najostrej atakował „nadmierną biurokratyzację życia Unii Europejskiej”, bo traktat konstytucyjny „czyni Unię Europejską jeszcze bardziej socjalistyczną”, a – jak zapewniał – „Platforma Obywatelska nie będzie wspierać socjalizmu z żadną twarzą – ani europejską, ani krajową”.

Tak wyglądała polityka PO w czasach, gdy woleli śmierć od Konstytucji dla Europy. Z takim programem Platforma wygrała pierwsze wybory do Parlamentu Europejskiego. Drugie miejsce zajęła w nich jeszcze mocniej krytykująca eurokonstytucję Liga Polskich Rodzin. Polacy zdecydowanie opowiedzieli się przeciw europejskiemu federalizmowi, a krótko potem Konstytucję dla Europy odrzucili Francuzi i Holendrzy. W Unii Europejskiej ogłoszono „czas refleksji”, kanclerz Merkel już zapraszała Benedykta XVI na obchody 50-lecia traktatów rzymskich do Berlina, wydawało się, że możemy spokojnie „trwać” w „realiach prawnych, które Polsce bardziej sprzyjały”.

Cóż się więc stało, że nie minęły cztery lata, a Polska znalazła się wśród kilku państw najszybciej uruchamiających ratyfikację traktatu lizbońskiego, który powtórzył wszystkie kluczowe zapisy Konstytucji dla Europy, rezygnując jedynie z jej szumnej nazwy? I że jeszcze wcześniej Sławomir Nowak, jeden z najbliższych współpracowników Donalda Tuska, zapowiedział, że w ogóle będziemy pierwszym państwem Unii, które traktat lizboński ratyfikuje.

Otóż w beczce sarmackiego miodu, którą Donald Tusk postawił na sejmowej mównicy, już w czasie debaty nad eurokonstytucją była łyżka unijnego dziegciu. Choć bowiem wzywał, by traktować naszą obecność w Unii jako „ciągłe, permanentne napięcie na rzecz obrony polskich interesów i polskiej pozycji”, jednocześnie zaznaczał, że być może, mimo tych wszystkich wytkniętych szkód dla naszego kraju – będzie trzeba ratyfikować Konstytucję dla Europy, bo „Polska nie może, nie powinna być tym państwem, które bierze na siebie całą odpowiedzialność za zdarzenia wokół traktatu konstytucyjnego”. Jak się okazywało – nasza narodowa niezależność kończyła się tam, gdzie zaczynał się konsensus unijnego establishmentu. Wtedy kończyła się na retoryce, dziś nawet retoryka jest niewłaściwa. „Mystyfikacja

Cóż się stało, że nie minęły cztery lata, a Polska znalazła się wśród kilku państw najszybciej uruchamiających ratyfikację traktatu lizbońskiego, który powtórzył wszystkie kluczowe zapisy Konstytucji dla Europy, rezygnując jedynie z jej szumnej nazwy?

rzędu. Jednak funkcją pozycji, chwilowo przyznanej Polsce i innym państwom naszego regionu, była jedynie zachęta krajów Europy Środkowej do akceptacji wszystkich rygorów akcesji, zakładającej na przykład perspektywiczną zapowiedź zrzeczenia się swych walut narodowych. Zachęta spełniła swą rolę i szybko ją wycofano. Ale po drodze jeszcze rozegrał się spektakl sprzeciwu i to wtedy padło słynne hasło: „Nicea albo śmierć!”.

Zaliczyć je należy na poczet politycznego dorobku Jana Rokity, który jednak

się więc za maksymalnym opóźnieniem ratyfikacji, z nadzieją, że w międzyczasie „któryś z krajów [starej] »piętnastki« w procedurze referendalnej nie ratyfikuje traktatu konstytucyjnego” i Konstytucja dla Europy „przestanie mieć rację bytu”. I z emfazą dodawał, że „dziwi się”, iż znaleźli się wśród polskich polityków „entuzjaści traktatu konstytucyjnego, który osłabia, a nie wzmacnia pozycję polityczną Polski w Europie”.

Tusk zresztą nie ograniczał się do kwestii pozycji Polski w UE, lecz także krytyko-

europiejska”, czyli przedstawianie każdej dyskusji na temat Unii jako początku jej opuszczenia, stała się bowiem dużo lepszym paliwem w walce z rządem niż niegdyś, w innej konfiguracji politycznej, kwestionowanie tej polexitowej chimery.

JEŚLI UNIA, TO CO?

Nie, nie brakuje słowa „nie” w tym podtytuł. Pytanie odwrotne („Jeśli nie Unia, to co?”) słyszymy bez przerwy od przeszło 20 lat. Teraz więc pora zapytać, na czym ma polegać polska polityka w Unii Europejskiej, skoro ciągle galwanizowany consensus nie daje nam wobec niej żadnej alternatywy. Jarosław Kaczyński od lat powtarza, że „być w Europie to znaczy być w Unii Europejskiej, nie ma innego sposobu”, a „ci, którzy twierdzą inaczej”, są „politycznymi awanturnikami i szkodnikami”. Niedawno zaś jeszcze raz powiedział, że „jednoznacznie widzimy przyszłość Polski w Unii Europejskiej”, choć „jednocześnie chcemy pozostać suwerennym państwem”. Biorąc pod uwagę, że dziś politycy bardziej niż tworzeniem instytucji zajmują się tworzeniem emocji, warto ustalić, jaki jest sens tej „chęci suwerenności”. Jeśli bowiem chodzi o politykę, a nie jedynie o powtarzanie ad usum populi pięknego słowa „suwerenność”, to trzeba (po pierwsze) ustalić, do czego chcemy używać suwerennej władzy Rzeczypospolitej, czyli w jakiej polityce nie wolno Polsce przeszkadzać, i (po drugie) – należy tę politykę prowadzić.

Unie polityczne w ogóle można zawieść z państwami o zbliżonych interesach, które to państwa są przynajmniej otwarte na wartości zasadnicze dla naszego. Jeśli pamięta się o tej prostej zasadzie, to należy budować opinię europejską, czyli dobrą recepcję polskiej polityki, czy szerzej – Państwa Polskiego w Europie. Władze Rzeczypospolitej nie mogą milczeć wobec oficjalnych ataków ze strony władz UE na nasz kraj, przeciwnie – powinny je wykorzystywać do budowania korzystnego dla naszego kraju nurtu opinii europejskiej. Nurtu wspierającego suwerenność państw, szanującego dziedzictwo chrześcijańskie i naturalny porządek moralny. Na każdy atak na polskie prawo powinna być dumna, poważna i symetryczna odpowiedź reafirmującą nasze ustawodawstwo. Na ataki ze strony Komisji Europejskiej – odpowiedź rządu; na rezolucje Parlamentu Europejskiego – odpowiadające im uchwały Sejmu. Nie ma usprawiedliwienia dla

Nie można nie doceniać Parlamentu Europejskiego. To instytucja o bardzo wielkiej sile destrukcji

milczenia Sejmu wobec aborcyjnych czy pedoseksualnych rezolucji Parlamentu Europejskiego, wprost atakujących polskie prawo. Rzeczpospolita nie może się wstydzić ustaw, które od lat chronią nasz ład społeczny. I – powtórzę – chodzi o poważne deklaracje właściwych instytucji Rzeczypospolitej, a nie o pokrzykiwania partyjnych harcówników.

W Sejmie RP, najlepiej w komisji do spraw Unii Europejskiej, trzeba powołać podkomisję praw podstawowych, która zajęłaby się systematyczną rejestracją naruszania praw podstawowych w instytucjach i państwach UE. Doroczna prezentacja raportu podkomisji, autoryzowana przez Sejm, powinna być zasadniczym instrumentem polskiej polityki praw człowieka. Oczywiście przy zachowaniu „zasady pomocniczości”, bo uniwersalne zasady realizować powinny same suwerenne państwa, ale z zastrzeżeniem prawa ciągle ocenianej Polski – do oceniania innych, w imię naprawdę naszych wartości.

Należy wypowiedzieć genderową konwencję stambulską, a sześciu państwom Unii, które jej nie ratyfikowały, zaproponować zawarcie Międzynarodowej Konwencji Praw Rodziny. Trudno kwestionować międzynarodowe ataki na życie, rodzinę, wychowanie, jeśli jednocześnie jesteśmy stroną umowy międzynarodowej, która dla tych ataków jest podstawą.

Polska prowadzi politykę środkowo-europejską, ale trzeba ją podnieść na wyższy poziom i nadać jej ramy instytucjonalne. Powinniśmy zawrzeć traktat państwowy z Węgrami, analogiczny do akwizgrańskiego, między Niemcami a Francją. Traktat ten powinien być od początku otwarty dla udziału innych zainteresowanych krajów. Należy też wykorzystać mechanizm „współpracy wzmocnionej”, opisany w traktatach europejskich, do podjęcia systematycznej, sektorowej współpracy z szerszym gronem państw Europy Środkowej.

Nie można nie doceniać Parlamentu Europejskiego. To instytucja o bardzo wiel-

kiej sile destrukcji. Przez pięć lat pracy tam za swe najbardziej podstawowe zadanie uważałem przypominanie Parlamentowi, że jest organem traktatowym, wykonującym w ramach ogólnych uprawnień Unii szczegółowe kompetencje sobie powierzone, a nie reprezentacją jakiegoś ludu europejskiego, stojącą ponad państwami i traktatami, które zawarły. Tymczasem tak właśnie Parlament widzi swoją rolę. Tym bardziej że jego formalnym uprawnieniem jest udzielanie inwestytury Komisji Europejskiej i kontrola jej składu. Jakże to ma konsekwencje praktyczne, widzieliśmy w 2004 r. przy sprawie Buttiglione, gdy ten formalny przedstawiciel Włoch nie mógł wejść do Komisji, bo prywatnie wyznał, że „jako katolik” homoseksualizm uważa za grzech. Parlament jest w stanie narzucać ton Unii Europejskiej i pilnować brzegowych warunków jej wywrotowego konsensusu.

Jeśli chcemy więc tę jego rolę przełamać, a przede wszystkim przełamać ów wywrotowy konsensus, to potrzebne jest powołanie silnego, szerokiego klubu prawicowej opozycji w Parlamencie Europejskim. Lipcowa deklaracja w sprawie przyszłości Europy, podpisana przez przywódców europejskiej prawicy (z Jarosławem Kaczyńskim, Viktorem Orbánem, Marine Le Pen, Santiago Abascal, Giorgiá Meloni), jest dobrym wstępem do zacieśnienia współpracy parlamentarnej, do powołania wspólnego klubu parlamentarnego, ale nie można z tym zwlekać. Polsce i bliskim nam krajom potrzebne jest zarówno solidarne, wzajemne wsparcie, jak i metodyczna opozycja na forum Unii, a nie jedynie sporadyczne oświadczenia.

Te trzy kierunki (aktywne kształtowanie konserwatywnej opinii w Europie, pogłębiona współpraca środkowoeuropejska, solidarność prawicy w Parlamencie Europejskim) to konkretne formy suwerennej polityki w strukturach europejskich. Mogą poprawić pozycję i wpływ Polski, mogą też zmniejszyć szkodliwe oddziaływanie instytucji unijnych. Suwerenność to nie fetysz, musi mieć konsekwencje. Polska powinna mieć oczywiście świadomość warunkowości naszego udziału w Unii Europejskiej. Jeśli jednak w niej jesteśmy, to dla aktywnej polityki – polityki, a nie symulujących ją gestów – żadnej alternatywy nie ma. Jeśli oczywiście chcemy, by narodowa forma nie kryła politycznej pustki, ale zawierała rzeczywiście narodową treść.



Rafał A. Ziemkiewicz

Europejscy biurokraci uważają, że kryzys związany z koronawirusem to idealny moment na zmianę UE w superpaństwo. Na Polsce dokonują egzekucji, żeby inne kraje zobaczyły, że nie ma wyjścia

Do roku 2025 zbudowane zostaną „Stany Zjednoczone Europy” – zapowiadał u szczytu swej kariery Martin Schulz, wówczas były przewodniczący Parlamentu Europejskiego oraz lider niemieckiej SPD. I choć błyskotliwa kariera Schulza skończyła się nieoczekiwanie i smutno, to nie ulega wątpliwości, że nie rzucił wtedy słów na wiatr i że zapowiadana przez niego budowa federacyjnego „państwa europejskiego” jest nadal prowadzona, więcej – jest głównym planem i osią działania eurokracji.

Jak się buduje „stany zjednoczone”? Te w Ameryce Północnej, przez samych ich twórców nazwane „unią” (w świadomości przeciętnego Amerykanina jest „państwo”, w którym żyje, niefortunnie przetłumaczone u nas kiedyś jako „stan”, oraz właśnie „unia”, czyli instytucje federalne), powstały dzięki dwóm decyzjom.

Po pierwsze – połączył je zaciągnięty przez wszystkie wyzwolone kolonie dług, do którego obsługi trzeba było stworzyć bank centralny z prawem emisji wspólnej waluty. Po drugie – połączono je zasadą, że prawo niższego rzędu nie może być sprzeczne z prawem wyższego rzędu, nad czym czuwają sądy, z Sądem Najwyższym na czele. Demokratyczne

legislatywy hrabstwa czy stanu mogą uchwalić, co chcą, ale każdy obywatel ma też prawo te uchwały zaskarżyć i jeśli sąd stwierdzi sprzeczność z prawem federalnym lub konstytucją USA, to są one po prostu nieważne.

Nietrudno zauważyć, że właśnie te dwie wielkie zmiany próbuje się dziś metodą faktów dokonanych przeprowadzić w Europie. Widać też, że determinacja eurokratów, a także – jak pokazała antypolska debata w Parlamencie Europejskim – wielkiej części polityków europejskiej lewicy, by to osiągnąć, jest bardzo duża. Wydają się oni działać w niewzruszonym przekonaniu, że stworzenie europejskich „stanów zjednoczonych” jest absolutną, dziejową koniecznością i nieuchronnością, a także w przekonaniu, że można je zbudować „teraz albo nigdy”.

POGLĄDOWA EGZEKUCJA

Dlaczego teraz albo nigdy? Po pierwsze dlatego, że państwa europejskie sparaliżowała epidemia paniki, wywołanej strachem przed koronawirusem, która to panika pokazała wielką gotowość obywateli Europy do wyrzeczenia się elementarnych wolności za obietnicę bezpieczeństwa. Po drugie zaś, bo nadarzyła się okazja do wykreowania wroga, bardzo wygodnego z punktu widzenia socjotechniki i marketingu politycznego, którego pognębienie wydaje się łatwe. A owo pognębienie stworzy precedens do uznaniowego nadzorowania przez przekształcającą się w „europejski rząd” Komisję Europejską gospodarowania funduszami ze wspólnego długu oraz do wprowadzenia zasady nadrzędności prawa Unii, jako prawa wyższego rzędu, nad prawem krajów członkowskich. Przy czym „prawo Unii” nie oznacza tu oczywiście litery traktatów stanowią-

cych podstawę Unii jako stowarzyszenia suwerennych państw, ale swobodną interpretację ogólnikowych zapisów tych traktatów dokonywaną w wyrokach TSUE i zarządzeniach KE oraz Rady Europejskiej.

Polska doskonale nadaje się, by na niej właśnie dokonać poglądowo egzekucji, która ustawi do pionu pozostałe państwa, jeśli nie wszystkie, to przynajmniej te z naszego regionu. Nie jest do tego ani za silna, jak Francja czy Niemcy, ani za mała, jak Węgry, od dawna ma na Zachodzie skutecznie zepsutą opinię, jej ponížanie i publiczne atakowanie jest łatwym sposobem robienia europejskiej kariery i jest wątpliwe, żeby ktoś chciał jej bronić. Ponadto polski rząd dopuścił się kardynalnego politycznego błędu i sam się „podłożył”, ogłaszając hucznie wielki polityczny program oparty na funduszach z europejskiego długu, zanim uzyskał pewność, że fundusze te otrzyma. Przede wszystkim zaś tylko w Polsce istnieje tego rodzaju opozycja, gotowa jawnie występować przeciwko własnej ojczyźnie, sama prześcigać się w oskarżeniach wobec niej najbardziej zawziętych wrogów obcojęzycznych i na wiele sposobów legitymizować każde pozatraktatowe działania budowniczych „stanów europejskich” jako oczekiwane przez Polaków wyzwolenie spod władzy niedemokratycznego „reżimu” i przywrócenie „praworządności”.

Co charakterystyczne, wspomniana debata w PE pokazała, że wspierający operację okazania na polskim przykładzie wyższości budowanego państwa unijnego nad państwami krajowymi skłonni są bardzo popierać poparcie Polaków dla opozycji. Niemiecki europoseł dziękował „setkom tysięcy Polaków”, którzy jakoby na wezwanie Tuska wyszli na ulice manifestować swe poparcie dla



W ubiegłym tygodniu premier Mateusz Morawiecki dawał odpór oskarżeniom wobec Polski w Parlamencie Europejskim. FOT. DATI BENDO/EU/EC

Europy

UE – w istocie największa warszawska manifestacja przyciągnęła 25 tys. uczestników, a miażdżąca większość z szumnie obwieszczonych 120 innych stanowiły kilkunastoosobowe pikietki. Europejscy sojusznicy „opozycji totalnej” wydawali się też brać za dobrą monetę twierdzenia europosłów PO, że w tej chwili popiera ich 84 proc. polskiego społeczeństwa.

Ta wiara oparta jest na prostej manipulacji: za „popieranie opozycji” uważa ona deklaracje poparcia dla polskiego członkostwa w UE. W istocie te sondaże nie są wiele warte i w dużym stopniu zależą od sposobu zadania pytania. W przeprowadzonym kilka lat temu w całej UE badaniu Eurostatu „Czy widzisz przyszłość swojego kraju w UE czy poza nią?” społeczny potencjał polexitu okazał się wyższy (48 proc.) niż pozostania w UE za wszelką cenę (46 proc.).

SCENARIUSZ WŁOSKI?

Politycy zachodni zdają się tego nie dostrzegać. Wierzą, że możliwe jest powtórzenie sukcesu, który eurokraci odnieśli kiedyś we Włoszech, najpierw, przy użyciu manipulacji na rynku finansowym doprowadzając do kryzysu we Włoszech, na fali którego odsunęto od władzy Silvio Berlusconi, a potem wymuszając nominowanie na premiera Włoch powolnego wobec eurokracji Matteo Renzi. Analogiczny scenariusz w Polsce, z Tuskiem w roli polskiego Renzi, byłby wymarzony dla budowy europaństwa, ponieważ – tak jak w czasie rozbiorów, do których aluzjnie nawiązał w debacie Guy Verhofstadt – polskie władze pod jego kierownictwem bez wątplenia same zatwierdziłyby formalnie zrzeczenie się suwerenności. Oczywiście demonstracyjne rzucenie na kolana obecnych władz, bez ich wymiany, też byłoby dla „stanów” korzystne.

W grze jest też trzeci scenariusz – wymuszenie polexitu, co eurokraci uznaliby zapewne za korzystne pozbycie się „hamulcowego” utrudniającego budowanie „stanów”, choć dla gospodarek unijnych, zwłaszcza dla niemieckiej, mogłoby to być bolesne. Ale nie podejrzewajmy ludzi, którzy poważnie traktują postulat planu „Fit for 55”, o przejmowanie się gospodarką.

Nie idzie tu więc o „praworządność” ani „strefy wolne od LGBT”, ani „prawa reprodukcyjne” (czyli mówiąc po ludzku – aborcję) czy inne kwestie, w których konkretnie próbują władze Unii wymusić na Polsce poddanie się zasadzie wyższości prawa Unii nad krajowym. Chodzi właśnie o przekształcenie UE w superpaństwo.

W istocie sytuacja przypomina nieco tę na naszej wschodniej granicy, gdzie Polska, chcąc nie chcąc, musi chronić granicę Unii, a jednocześnie jest za to bezwzględnie atakowana przez jej polską agenturę wpływu. W walce o „praworządność” zmuszeni jesteśmy, wbrew większości Parlamentu Europejskiego, władzom Unii i niektórym krajom, na czele z Holandią, próbującą sobie przydać atakami na Polskę znaczenia, by bronić dobrze pojętego interesu państw zachodnioeuropejskich.

SZALONA MRZONKA BIUROKRATÓW

Rzecz w tym bowiem, że plan stworzenia „stanów zjednoczonych Europy” na wzór USA jest groźną, szaleńczą mrzonką biurokratów od lat całkowicie oderwanych od rzeczywistości i nastrojów społecznych w państwach członkowskich. Ci, którzy wspólny europejski dług na poczet „odbudowy po epidemii” otwarcie nazywają „europejskim momentem hamiltonowskim” (chodzi

o Alexandra Hamiltona, który jako sekretarz skarbu przy prezydencie Washingtonie przeprowadził zjednoczeniową operację finansową), zdają się kompletnie nie pojmować, że wzorce połączenia 13 zbuntowanych brytyjskich kolonii w Ameryce, praktycznie jednolitych kulturowo i o krótkiej historii, nijak mają się do szaleńczego pomysłu poddania centralnemu zarządzaniu przez polityków niemających do tego żadnej demokratycznej legitymacji państw europejskich, których odmienności kształtowały się przez tysiąc, dwa tysiące lat osobnych historii, które mają własne różne kultury, języki i zwyczaje.

Co więcej – zasada „prawo federalne ponad krajowym” sprawdziła się w kraju, który poza tym jednym zastrzeżeniem, że nie wolno podejmować działań sprzecznych z konstytucją, oferował swym obywatelom i lokalnym społecznościom całkowitą wolność i swobodę kształtowania swego życia. Tymczasem Europa dąży do budowy raczej „związków socjalistycznych republik europejskich”, w których postulowany rząd federalny miałby prawo wtrącać się w najbardziej prywatne szczegóły ludzkiego życia, narzucać centralne plany gospodarcze i prowadzić na szeroką skalę zabiegi inżynierii społecznej, mającej wychować społeczeństwo nowego typu i stworzyć nowego typu gospodarkę.

Nie trzeba wielkiej wiedzy, by zrozumieć, że jest to plan powtórzenia na ogromną skalę eksperymentu jugosłowiańskiego, który musi się zakończyć katastrofą – wielką „bałkanizacją” żyjących dziś pokojowo narodów. Jest to doprawdy perspektywa przerażająca, która, jeśli okaże się, że nie jesteśmy w stanie temu szaleństwu zapobiec, powinna skłaniać nas do opuszczenia przepoczwarzanej na taką modłę Unii.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Pogranicze w ogniu



Maciej Pieczyński

Co do tego, że Białoruś prowadzi przeciwko Polsce wojnę hybrydową, nie ma wątpliwości. Granicy strzegą nie tylko pogranicznicy, lecz także wojsko i terytorialsi. Co tam robią i czy grozi nam „gorący” konflikt zbrojny?

Jeśli są przypadki mierzenia z broni do naszych żołnierzy, jeśli niszczy się zasieki i zabezpieczenia na granicy, to jest to oczywisty akt agresji i tego nie można zostawić tak sobie i udawać, że tego nie ma. Trzeba stwierdzić, że jesteśmy w stanie wojny, że Białoruś

jest agresorem, i wezwać ją, w formie ultimatywnej, do zaprzestania tego typu działań” – tę propozycję rozwiązania kryzysu na granicy złożył, na antenie Polskiego Radia 24, były wiceszef MON prof. Romuald Szeremietiew. Wypowiedź ta padła na początku października. Nic

nie wskazuje na to, by polskie władze planowały zastosować tak radykalne środki. Komentarz Szeremietiewa odbił się jednak szerokim echem w białoruskich mediach. Mińsk nieustannie prowokuje na granicy. Białorusini mierzą z broni do polskich pograniczników, przeładowują broń, padły już nawet pierwsze strzały. Na szczęście – ze ślepej amunicji. Słowem – Łukaszenka robi wiele, by sprowokować nerwową reakcję strony polskiej i doprowadzić do konfliktu granicznego, o którego wywołanie będzie próbował oskarżyć Warszawę. Sytuacja jest napięta.

Od początku września granicy z Białorusią pilnują już nie tylko pogranicznicy, lecz także żołnierze – zarówno Wojsk



budowane są posterunki obserwacyjno-ochronne – informuje mjr Nabzdzyk.

REAKCJA NA NOWE ZAGROŻENIA

Dziennikarz „Rzeczpospolitej” Marek Kozubal twierdzi, że „na tym terenie wojsko ćwiczy warianty działania w sytuacji realnego zagrożenia wybuchem konfliktu zbrojnego”. – Wskazani przeze mnie żołnierze nie wykonują innych zadań, natomiast w poprzednich tygodniach na korzyść zadań realizowanych przez jednostki 16. DZ swoje zadania szkoleniowe i wsparcia zrealizowały wydzielone siły i środki z 25. Brygady Kawalerii Powietrznej – mówi oficer prasowy 16. DZ.

Żołnierze nie tylko pilnują granicy, lecz także ćwiczą. Na początku października szef MON informował o ćwiczeniach, które odbywały się w Orzyszu, Szudziałowie, Nowej Dębie i Białej Podlaskiej, w których brali udział m.in. żołnierze z 6. Brygady Powietrznodesantowej im. gen. bryg. Stanisława Sosabowskiego i 25. Brygady Kawalerii Powietrznej. Podczas konferencji, zorganizowanej przez portal Defence24, dowódca operacyjny Rodzajów Sił Zbrojnych generał broni Tomasz Piotrowski przyznał: „W obliczu wojny hybrydowej w tej chwili nie ma już miejsca na tradycyjne ćwiczenia poligonowe, czyli w miejscach, które dobrze znamy, lecz w środowisku naturalnym, czyli w miejscach, gdzie można współpracować ze służbami i z organizacjami pozarządowymi, by móc umieć zwalczać nowe zagrożenia”.

Na granicy służą również Wojska Obrony Terytorialnej. – Gros zadań wykonują żołnierze brygad, w których rejonie wprowadzono stan wyjątkowy, czyli 1. Podlaskiej Brygady OT oraz 2. Lubelskiej Brygady OT, jednakże brygady te są wspierane osobowo i sprzętowo przez inne brygady WOT (np. delegując bezzałogowce rozpoznawcze, maszty oświetleniowe czy też łodzie płaskodenne) – mówi „Do Rzeczy” płk Marek Pietrzak, rzecznik prasowy Wojsk Obrony Terytorialnej. Każdego dnia na granicy służy ok. 800 terytorialsów. Ta liczba zmienia się w zależności od tego, jak bardzo Straż Graniczna w danym momencie potrzebuje wsparcia.

Wojska Obrony Terytorialnej pomagają w obronie granicy z Białorusią w ramach operacji pod kryptonimem Silne Wsparcie. Mariusz Błaszczak na początku września zarządził podniesienie gotowości bojowej WOT. „W razie potrzeby nawet 23 tys. terytorialsów może w każdej chwili zaangażować się w operację »Silne

Lądowych, jak i Wojsk Obrony Terytorialnej.

– Obecnie w rejonie granicy polsko-białoruskiej znajduje się ok. 4,7 tys. żołnierzy, w tym 2,7 tys. żołnierzy z 16. Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej oraz żołnierzy ze specjalistycznych jednostek inżynierskich i saperskich, a także ok. 2 tys. żołnierzy z 12. Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej – mówi „Do Rzeczy” mjr Marek Nabzdzyk, oficer prasowy 16. Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej. – W związku z utrzymującą się presją migracyjną na wschodniej granicy państwowej żołnierze 16. Dywizji Zmechanizowanej i 12. Dywizji Zmechanizowanej udzielają wsparcia

Straży Granicznej, chroniąc granicę kraju i nie dopuszczając do jej przekroczenia przez migrantów, wykorzystując m.in. posterunki obserwacyjno-ochronne oraz prowadząc wspólne patrole piesze i mobilne ze Strażą Graniczną wzdłuż granicy Polski z Białorusią na wskazanych odcinkach, drogach dojazdowych do i wzdłuż granicy kraju – dodaje.

Ponadto żołnierze budują ogrodzenie w postaci zapory inżynierskiej – dwupółmetrowego płotu. – Obecnie powstało 135 km płotu pionowego i 151 km zapory poziomej, równolegle budowana jest siatka leśna, która chroni zwierzęta przed okaleczeniem (zbudowano 245 km, po obu stronach). Jednocześnie

FOT. WIKTOR TUDORCHKO/SPUTNIK RUSSIA/EAST NEWS

■ Wsparcie« i ochronę granic. Podjąłem decyzję o zmianie statusu gotowości WOT do natychmiastowego stawienia. Żołnierze pojawiają się w jednostkach nawet sześć godzin po ewentualnym wezwaniu” – ogłosił wówczas na Twitterze szef MON.

Operacja „Silne Wsparcie” oficjalnie trwa od 3 września. Jej celem jest „wzmocnienie odporności społeczności lokalnych w rejonie przygranicznym na zagrożenia o charakterze hybrydowym”. WOT ma więc w założeniu pomagać zarówno Straży Granicznej, jak i mieszkańcom pogranicza. 6 października oficer prasowy Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej płk Marek Pietrzak podsumował pierwsze tygodnie operacji. Początkowo działania żołnierzy WOT były skupione na bezpośrednim kontakcie z samorządowcami, przedstawicielami lokalnych społeczności, np. sołtysami, a także mieszkańcami terenów objętych stanem wyjątkowym. Działania te realizowali żołnierze Zespołu Oceny Wsparcia – wielokrotnie wcześniej wykorzystywanych, np. przy okazji usuwania skutków sytuacji kryzysowych.

„Żołnierze ZOW realizowali działania nawet w 90 miejscowościach każdego dnia. Efektem tych działań było wiele wniosków i obserwacji, które w tym czasie spływały do dowództwa WOT. Wynikały one z nowej sytuacji, z jaką przyszło się zmierzyć mieszkańcom terenów przygranicznych” – poinformował płk Pietrzak. Jak informuje rzecznik dowództwa WOT, żołnierze zrealizowali część potrzeb, wyrażonych we wnioskach ze strony mieszkańców. Przykładowo terytorialiści doświetlili nie tylko konkretne odcinki samej granicy, lecz także tereny małych miejscowości przygranicznych, gdzie do tej pory oświetlenia brakowało. WOT uruchomił też specjalną telefoniczną linię wsparcia. Przez całą dobę mieszkańcy mogą dzwonić pod numer 800 100 115 i prosić np. o pomoc psychologiczną. Infolinia rzeczywiście działa – nie ma problemu, aby w kilka chwil się dodzwonić.

Terytorialiści doradzają też pracownikom lokalnych samorządów w sferze cyberbezpieczeństwa. Zadania te wykonują eksperci WOT z Zespołu Działań Cyberprzestrzennych. Są to specjaliści z branży informatycznej – żołnierze, którzy pełnią ochotniczą służbę wojskową, a na co dzień pracują w sektorze cyberbezpieczeństwa. Kilka razy w tygodniu przeprowadzają dla urzędników gminnych i powiatowych szkolenia na temat: cyberbezpieczeństwa, aktualnych zagrożeń i ataków, dezinformacji,

Obecność wojska na granicy powinna zarówno pomóc w zatrzymaniu napływu nielegalnych imigrantów, jak i zapewnić bezpieczeństwo militarne w przypadku poważniejszych działań białoruskich służb

sposobów oceny wiarygodności informacji, elementów wojny hybrydowej oraz bezpieczeństwa systemów teleinformatycznych. Specjalne zespoły wojskowych mają być gotowe do przeprowadzenia audytów bezpieczeństwa w lokalnych urzędach.

ŚCISŁA WSPÓŁPRACA

WOT i SG wspierają się wzajemnie. „Straż Graniczna zna doskonale teren, właściwości i specyfikę działań na granicy, z kolei Lubelska Brygada OT udostępnia dodatkowe siły i sprzęt wojskowy” – czytamy na stronie internetowej 2. LBOT. Przez cztery lata istnienia jednostki lubelscy terytorialiści szkolili się również w zakresie wykonywania zadań w ochronie granicy. Według oficjalnych komunikatów przez całą dobę, siedem dni w tygodniu żołnierze 1. Podlaskiej Brygady OT wspierają funkcjonariuszy Straży Granicznej w ochronie granicy z Białorusią. Współdziałanie odbywa się zarówno na lądzie, jak i w powietrzu. Zadania terytorialsów można streścić w hasła „Lokalizuj – Izoluj – Zabezpiecz – Przekaż”. Żołnierze WOT patrolują pogranicze w poszukiwaniu nielegalnych imigrantów, których następnie przekazują funkcjonariuszom Straży Granicznej. Każdego dnia realizują po kilkanaście takich patroli. Terytorialiści udzielają imigrantom pomocy, dostarczają jedzenie oraz wodę i opiekują się nimi do czasu oddania ich w ręce pograniczników. W skład patroli wchodzi żołnierze przeszkoleni z zasad udzielania pierwszej pomocy. „Sprawność i szybkość współdziałania ma tu szczególne znaczenie, zwłaszcza teraz, gdy w rejonie przygranicznym panują niskie temperatury. Dlatego na wyposażeniu patroli znajdują się m.in. plecaki medyczne oraz dodatkowy zapas folii NRC zapobiegających wychłodzeniu organizmu. Terytorialiści ujawniają także kurierów, którzy pomagają imigrantom w nielegalnym przekroczeniu granicy” – pisze kpt. Łukasz Wilczewski,

oficer prasowy 1. Podlaskiej Brygady OT w komunikacie dla mediów.

Odcinek granicy, przebiegający wzdłuż rzeki Bug, patrolują żołnierze na łodziach. Bezpośrednio przy granicy pracują operatorzy masztów oświetleniowych, które pomagają obserwować sytuację. WOT wspiera Straż Graniczną również z powietrza przy użyciu bezzałogowych statków powietrznych FlyEye. Drony wyposażone są w kamery dzienne i termowizyjne, są więc z powodzeniem wykorzystywane również w nocy. Informacje zbierane przez operatorów dronów przekazywane są pogranicznikom. Jak informuje kpt. Łukasz Wilczewski, Grupa Rozpoznania Obrazowego zajmuje się m.in. nakierowaniem funkcjonariuszy SG na grupy imigrantów, ujawnianiem koczowisk po stronie białoruskiej czy lokalizowaniem grup imigrantów, którzy już nielegalnie przekroczyli granicę. To nie wszystko. W województwie lubelskim funkcjonują patrole konne WOT. „Są one szczególnie przydatne w trudnych warunkach terenowych. Program wykorzystania koni m.in. do juczania jest pilotażowo rozwijany przez 2. Lubelską Brygadę OT” – informuje kpt. Wilczewski. Współpraca WOT i SG trwa zresztą już od prawie trzech lat. Od lutego 2019 r. 1. Podlaską Brygadę OT oraz Podlaski Oddział Straży Granicznej łączy porozumienie o współdziałaniu. Szczególnie intensywnie porozumienie to było realizowane w 2020 r. Wtedy to terytorialiści wspólnie z pogranicznikami patrolowali granicę po tymczasowym przywróceniu kontroli granicznej w związku z wybuchem pandemii koronawirusa.

„MUR DLA ŻYCIA”

Obecność wojska na granicy powinna zarówno pomóc w zatrzymaniu napływu nielegalnych imigrantów, jak i zapewnić bezpieczeństwo militarne w przypadku poważniejszych działań białoruskich służb. A tymczasem przez parlament przechodzi projekt budowy trwałej, już nie prowizorycznej zapory na granicy z Białorusią. Jak stwierdziła na portalu DoRzeczy.pl Zuzanna Dąbrowska, będzie to „mur dla życia” – bo z jednej strony zapewni bezpieczeństwo mieszkańcom strefy przygranicznej, z drugiej zaś strony niemożliwa do pokonania „na dziko” granica zniechęci potencjalnych imigrantów do jej przekraczania, a zatem skończy się również kryzys humanitarny. A bez „żywych tarcz” Łukaszenka na granicy będzie całkowicie bezbronny. I straci możliwości prowokowania konfliktu granicznego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Jak motyl Odczarować mity

Rak jajnika jest jednym z najczęściej występujących nowotworów złośliwych u kobiet.¹

Owiany mitami, które trzeba odczarować.

Nikt nie zrobi tego lepiej niż one – „Niebieskie Motyle”.

Poznaj historię siedmiu delikatnych, ale zarazem silnych i walecznych kobiet, które w książce „Jak motyl. Odczarować mity” dzielą się swoimi historiami o życiu z rakiem jajnika i nadziei. Towarzyszą im opowieści lekarzy, którzy wspierają je w walce z chorobą.

Wydawca:



Patronat:



1. Didkowska J., Nowotwory złośliwe w Polsce w 2017 roku.

Ani „dywanik”, ani rzymskie wakacje



FOTO: VATICAN MEDIA / JANS LUKAS AGENCY / FORUM



Piotr Semka

Dezorientacja, brak wiedzy, jakie są nowe trendy w Watykanie, i wreszcie autentyczna troska o laicyzację Polski. Tak można zdefiniować atmosferę, która towarzyszyła wizytom kolejnych grup polskich biskupów w Stolicy Apostolskiej

Poprzednia wizyta ad limina w 2014 r. odbywała się w zupełnie innej atmosferze. Był to dopiero początek pontyfikatu papieża Franciszka, a polski Kościół znajdował się wtedy jeszcze przed burzami związanymi z ujawnianiem przypadków pedofilii i zamykania takich spraw pod dywan. Teraz biskupi przybywali do Wiecznego Miasta po półtora roku problemów z pandemią, ataków na Kościół, które eksplodowały przy okazji

strajku kobiet, i wreszcie w obliczu coraz wyraźniejszej tendencji modernizmu w polityce obecnego pontifexa.

Atmosferę podgrzewały też media liberalne, które mają ambicje bycia katalizatorem zmian w Kościele. Już samemu ogłoszeniu informacji, że do wizyty polskich biskupów dojdzie we wrześniu, towarzyszyły sensacyjne doniesienia, że „papież wzywa polskich hierarchów w trybie pilnym”. Pomagało to w tworzeniu przekonania, że „episkopat narozrabiał i teraz Franciszek wzywa biskupów na dywanik”. Najbardziej żądni upokorzenia polskiego episkopatu snuli dywagacje, czy w wypadku polskich hierarchów papież Franciszek zastosuje tzw. wariant chilijski, czyli presję na podanie się do dymisji wszystkich biskupów.

Tymczasem prawda jest taka, że do wizyty miało dojść w zeszłym roku, ale koronawirus pokrzyżował te plany. Dlatego do wyjazdu do Rzymu doszło dopiero teraz, choć istotnie polski episkopat jest jednym z pierwszych na liście zaproszeń do Stolicy Apostolskiej. Każdy taki wyjazd zawiera w sobie wiele różnych elementów. Od obowiązku odwiedzania najważniejszych miejsc w Rzymie związanych

z wiarą, takich jak grób św. Piotra czy św. Jana Pawła II, poprzez wizyty w kongregacjach watykańskich, wreszcie do spotkań z samym Ojcem Świętym. Tego typu wizyty, które w momencie, gdy piszę te słowa, odbyły już trzy grupy biskupów, są otoczone naturalną aurą pewnej poufności. To, co o nich wiadomo, możemy wnioskować jedynie z oficjalnych deklaracji i rozmów „off the record” z uczestnikami wyjazdu. Jaki z tych sygnałów wyłania się obraz aktualnej sytuacji Kościoła w Polsce? W pierwszej grupie biskupów najwięcej wypowiedzi pozwalających spojrzeć za kulisy wygłosił przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski (KEP).

PODYSKUTUJMY O PROBLEMACH

Sposób, w jaki media relacjonowały wizyty biskupów, był dobrym przykładem, jak we współczesnym świecie informacje o życiu i problemach Kościoła filtrowane są przez media liberalne, tak by eksponować to, co samowolnym informatorom o życiu w Kościele odpowiada, a jednocześnie spychać na margines to, co do pozytywnej propagandy zmian nie pasuje. Doskonałym przykładem są wypowiedzi abp. Stanisława Gądeckiego, przewodniczącego

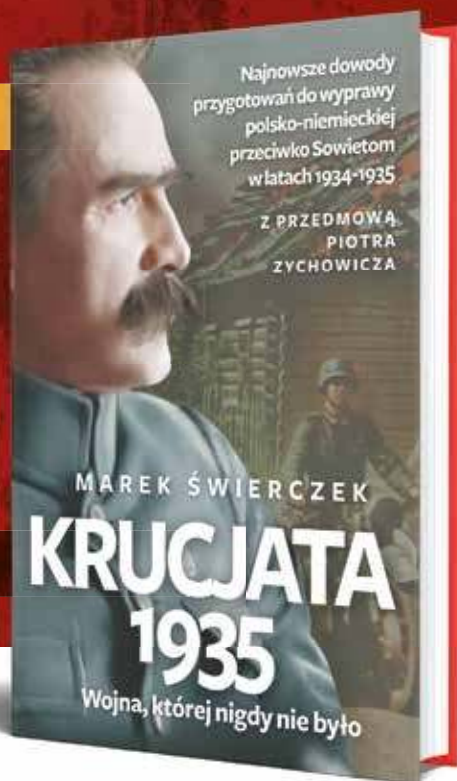
REKLAMA

Nowa książka Marka Świerczka

KRUCJATA 1935

Najnowsze dowody przygotowań do wyprawy polsko-niemieckiej przeciwko Sowieciom w latach 1934-35

Z przedmową Piotra Zychowicza



PATRONAT MEDIALNY:



■ KEP, które pojawiły się w czasie wizyty pierwszej grupy hierarchów. Abp. Gądecki, wypowiadając się dla Radia Watykańskiego, poinformował, że w trakcie rozmów w Kongregacji Nauki Wiary poruszono kwestie braku niuansowania kar kościelnych wobec biskupów za tolerowanie lub zamykanie pod dywan przypadków pedofilii. Biskupi wskazywali, że bardzo często decyzje Stolicy Apostolskiej są niejasne albo zrównujące bardzo różne wypadki co do stopnia odpowiedzialności.

Wypowiedź ta wywołała pełne oburzenia reakcje publicystów zaangażowanych w dyskusję o przypadkach molestowania w Kościele. Przykładowo Tomasz Terlikowski oskarżył biskupów o „brak nawrócenia duszpasterskiego i klerykalizm, który zabija wspólnotę”. Z kolei jedna z ofiar wykorzystywania seksualnego przez kapłanów, Robert Fidura pisał, że „słowa o niewspółmierności kar wymierzanych sprawcom wykorzystywania seksualnego i kryjących ich biskupów są całkowicie odklejone od rzeczywistości – chyba że za obraz rzeczywistości weźmie się opinię »dworu« otaczającego przewodniczącego KEP”.

Te niezwykle nerwowe reakcje są efektem wyczulenia na trwające latami zjawisko bądź bagatelizowania tragedii ofiar, bądź tego, co Franciszek nazywał »kościelną kulturą tajemnicy«, czyli tendencji do załatwiania sprawy po cichu, bez odpowiedniego uszanowania podmiotowości wykorzystywanych ofiar. Jednak sam fakt, że biskupi w trakcie rozmowy z urzędnikami Kongregacji Nauki Wiary wskazują na potrzebę rozróżniania różnego stopnia winy, nie jest niczym dziwnym. Przecież niedawno kontrowersje wywołała obecność abp. Sławoja Leszka Głódzia na beatyfikacji prymasa Stefana Wyszyńskiego i s. Róży Czackiej. A przecież to, że Głódź formalnie mógł pojawić się na uroczystości, wynikał z tego, że dekret watykański zabraniał abp. Głódziowi uczestnictwa w uroczystych mszach na terenie tylko swojej diecezji, co zresztą były gdański metropolita skwapliwie wykorzystał.

O takich sprawach biskupi muszą rozmawiać z instytucją, która wydaje takie wyroki. To, co można zarzucić abp. Gądeckiemu, to to, że powinien bardziej sobie zdawać sprawę z drażliwości tematu. Podobnie było z krzywą wypowiedzi metropolity poznańskiego, który odważnie wskazywał w rozmowach w Sekretariacie Stanu, że Stolica Apostolska wizje na temat podporząd-

kowania polskiego Kościoła PiS-owi czerpie bardzo często z bardzo nieobiektywnych tekstów włoskich mediów. Taka wypowiedź była raczej dowodem troski abp. Gądeckiego co do tego, by kwestie te rozpatrywać w rzeczywistej skali, a nie na podstawie emocjonalnych niekiedy wypowiedzi księży, którzy sympatyzują raczej z obozem opozycji. Ale, co charakterystyczne, wtedy duża część polskich mediów liberalnych przedstawiła to jako sensację i bunt, pisząc, że abp Gądecki atakuje Watykan.

I wreszcie trzeci przypadek. Arcybiskup Gądecki skrytykował postanowienia Synodu Biskupów, który w czasie jego pobytu zaczął się w Rzymie – w wypowiedzi na antenie Radia Watykańskiego wyraził swoje głębokie obawy co do tekstu dokumentu podsumowującego pierwszy tydzień obrad Synodu. Podkreślono wprawdzie, że Kościół kategorycznie nie zgadza się na zrównanie praw związków homoseksualnych z prawami małżeństw, ale w innych miejscach tekstu pojawił się zapis o walorach, jakie osoby homoseksualne mogą zaoferować wspólnocie chrześcijańskiej. W innym fragmencie, który dotyczy dzieci wychowywanych przez homoseksualne pary, przypomniano, że w ocenie tego problemu najważniejsze są „potrzeby i prawa najmłodszych”. Gądecki powiedział: „Punkty, które dotyczą powierzenia parom jedнопłciowym wychowywania dzieci, są sformułowane nieco w taki sposób, jakby pochwalały tę sytuację. To też jest minus tego tekstu, który zamiast być zachętą do wierności, wartości rodziny, wydaje się akceptować wszystko tak, jak jest. Powstaje też wrażenie, że dotąd nauczanie Kościoła było niemiłosierne, podczas gdy teraz zacznie się nauczanie miłosierne”.

Wypowiedź abp. Gądeckiego była jedynym przykładem krytycznej troski o to, by nauczanie Kościoła nie szło w kierunku przyjmowania retoryki politycznej poprawności. Większość biskupów unikała kwestii kontrowersyjnych, natomiast chętnie podejmowała wątki, które – jak być może sądzono – mogą być dobrze przyjmowane w Watykanie. Jest to odbicie szerszego problemu, który anonimowo skomentował jeden z księży obserwujących wizytę ad limina na miejscu: „Klimat, który panuje obecnie w Stolicy Apostolskiej, to atmosfera czujnego wyłapywania nowych i często niejasnych doktrynalnie wypowiedzi papieża Franciszka, skojarzona z atmosferą

niepewności i częstych dymisji nakazywanych przez pontifexa. Ta atmosfera braku pewności, w którym kierunku pójdą zmiany, powoduje w większości wypadków konformizm, a w innych dość fatalistyczną bierność, która kryje często szok zmianą priorytetów Watykanu”.

Ten częściowy paraliż wynika też z ogłuszenia wielu biskupów skokowym wzrostem agresji wobec Kościoła, którego najlepszym symbolem był incydent niedawnego ścięcia piłą mechaniczną krzyża na uroczystej mszy dla polskich hierarchów w bazylice Laterańskiej. Jak na biskupa, który całkiem niedawno został upomniany przez Komisję ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów KEP w sprawie formy celebracji eucharystii na stadionie w Łodzi, był to bardzo potrzebny metropolicie łódzkiemu gest wsparcia ze strony jego przyjaciół w Watykanie. Na konferencji prasowej w Stolicy Apostolskiej 20 października 2021 r. wystąpił wraz z bp. Piotrem Jareckim, warszawskim biskupem pomocniczym. Postawił on tezę, że polscy hierarchowie są dziś adresatami „dość mocnej krytyki płynącej z wewnątrz i zewnątrz Kościoła”. Jak wyjaśnił, chodzi o mniej lub bardziej adekwatne reakcje kościelnych przełożonych na wykorzystywanie seksualne małoletnich przez księży. Jak wskazał abp Ryś, przedmiotem krytyki jest także „mniejsze lub większe uwikłanie biskupów i księży w politykę albo nierealizowanie modelu relacji państwo – Kościół, o którym mówi konkordat, opartych na zasadzie autonomii i współpracy obu podmiotów”. Jak podkreślił: „Dość często [tu, w Watykanie – przyp. P.S.] spotykamy się z taką opinią, która jest pewnie słuszna, że jako episkopat nie nauczyliśmy się jeszcze w ogóle przyjmować krytyki, pewnie dlatego, że w czasach wcześniejszych, sięgających późnych lat 80., episkopat i Kościół były chronione przed krytyką. Teraz żyjemy w czasach wolności słowa, kiedy polityczna rola Kościoła zasadniczo się skończyła”.

TO IDZIE NOWE

W tej sytuacji po rolę promotora „nowych czasów” sięgnął abp Grzegorz Ryś. W trakcie wizyty biskupów został obdarzony przywilejem wygłoszenia homilii na uroczystej mszy dla polskich hierarchów w bazylice Laterańskiej. Jak na biskupa, który całkiem niedawno został upomniany przez Komisję ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów KEP w sprawie formy celebracji eucharystii na stadionie w Łodzi, był to bardzo potrzebny metropolicie łódzkiemu gest wsparcia ze strony jego przyjaciół w Watykanie. Na konferencji prasowej w Stolicy Apostolskiej 20 października 2021 r. wystąpił wraz z bp. Piotrem Jareckim, warszawskim biskupem pomocniczym. Postawił on tezę, że polscy hierarchowie są dziś adresatami „dość mocnej krytyki płynącej z wewnątrz i zewnątrz Kościoła”. Jak wyjaśnił, chodzi o mniej lub bardziej adekwatne reakcje kościelnych przełożonych na wykorzystywanie seksualne małoletnich przez księży. Jak wskazał abp Ryś, przedmiotem krytyki jest także „mniejsze lub większe uwikłanie biskupów i księży w politykę albo nierealizowanie modelu relacji państwo – Kościół, o którym mówi konkordat, opartych na zasadzie autonomii i współpracy obu podmiotów”. Jak podkreślił: „Dość często [tu, w Watykanie – przyp. P.S.] spotykamy się z taką opinią, która jest pewnie słuszna, że jako episkopat nie nauczyliśmy się jeszcze w ogóle przyjmować krytyki, pewnie dlatego, że w czasach wcześniejszych, sięgających późnych lat 80., episkopat i Kościół były chronione przed krytyką. Teraz żyjemy w czasach wolności słowa, kiedy polityczna rola Kościoła zasadniczo się skończyła”.

Jeszcze wyraziściej wypowiadał się bp Jarecki, który na konferencji watykańskiej mówił: „Kościół nie życzy sobie, by mieć polityczną reprezentację. Nie życzy sobie też obrony politycznej”. Te ostre słowa pomocniczego biskupa warszawskiego omijały jednak ważną okoliczność. Politycy są także członkami wspólnoty Kościoła i nie może im być obojętne, czy promowane są zasady prawne, które mogą uderzać w prawa obywatelskie ludzi wierzących. Biskup Jarecki zwrócił też uwagę jeszcze przed przybyciem do Watykanu, że w dyskusji, którą zainicjować ma Synod Archidiecezji Warszawskiej, „jeżeli środowiska LGBT wyrażą wolę zaangażowania w Synod”, nie zostaną one wykluczone z debaty.

ZMIANY, ZMIANY, ZMIANY

Media miały problem z podsumowaniem wyników wizyt polskich biskupów. Media katolickie tzw. środka skupiały się raczej na podkreśleniu, że nadzieje liberałów na ostrą reprimendę papieską się nie sprawdziły. Trochę racji było też w obserwacjach, że biskupi odetchnęli, że nikt nie będzie ich poddawał ostrej reprimendzie. Skłoniło to wielu hierarchów do dość prze-

słodzonych opowieści o tym, jak papież potraktował ich po ojcowsku, jak dobroliwie pochylał się nad ich problemami.

Z kolei zwolennicy kościelnej rewolucji z lewej strony zareagowali na dość spokojną atmosferę wizytacji wyraźną irytacją. „Miał być dywanik, były rzymskie wczasy” – tak komentował wizytę polityk Platformy Obywatelskiej. Nie szczędził on ostrych słów wobec postawy Franciszka w stosunku do biskupów: „Jeśli patrzymy, co się dzieje w polskim Kościele, to widzimy, że liczba hierarchów, przeciwko którym toczą się procesy w Rzymie, jest największa. I tutaj pojawia się moje wielkie rozczarowanie Franciszkiem: zupełnie sobie odpuścił Kościół w Polsce”.

Kolejnym tematem, który nie pojawił się w wypowiedziach biskupów wracających z Rzymu, była kwestia zbliżającego się Synodu Kościoła Katolickiego. Wielu hierarchów w wypowiedziach „off the record” wskazuje, że zachęty papieża do wielkiej dyskusji, w której uczestniczyć mają i wierzący, i niewierzący, są tak bardzo niejasne, że sami mają problemy z przygotowaniem synodów w swoich diecezjach. Jeden z księży bacznie obserwujących polski episkopat mówi: „Mam

wrażenie, że wśród biskupów są dwie grupy: ci starsi zakładają, że trzeba jakoś ten synod przetrwać, a potem biskupi i tak robią, jak będą uważać. Wierzą, że jeśli swoim lokalnym świeckim pozwolą na wygadanie się, to rozładują się emocje, a o tym, jakie będą zmiany, zadecydują sami hierarchowie. Druga grupa, której przedstawicielami są biskupi zbliżeni do wrażliwości »Więzi« i »Tygodnika Powszechnego«, wykorzystuje poczucie kryzysu Kościoła do lansowania hasła „wszystko trzeba zbudować od nowa”. Tyle że przypominają prezenterów na dyskotekę, którzy puszczają takie piosenki, jakie goście chcą usłyszeć. A polityka podlizywania się gustom współczesnego pokolenia na Zachodzie nie przyczyniła się bynajmniej do zaludnienia kościołów”.

Ale kościelnych modernizatorów w Polsce takie doświadczenia z Zachodu zapewne niespecjalnie obchodzą. Najbliższe pół roku może być czasem dyskusji w polskim Kościele. Pytanie: W jakim stopniu do tej dyskusji włączą się konserwatyści? Bo to, że skorzystają z tej okazji modernizatorzy, nie ulega żadnej wątpliwości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Gdy boli całe ciało

Gdy cierpimy na przewlekłe, rozlane bóle całego ciała, których przyczyny nie potrafimy ustalić, to należy rozważyć, czy nie jest to fibromialgia – choroba, która występuje coraz częściej i na którą w Polsce cierpi ponad półtora miliona osób.

Leczenie fibromialgii, poza stosowaniem odpowiednich leków, poza psychoterapią i fizjoterapią, powinno również obejmować odpowiednią dietę, w tym unikanie pokarmów, które sprzyjają tworzeniu związków mogących wzmacniać odczuwanie bólu (np. cukier) oraz stosowaniu odpowiednich suplementów diety.

Do takich preparatów należy właśnie **Myalgan+** suplement diety opracowany specjalnie dla cierpiących na fibromialgię. Ta naturalna formuła dostarcza 4 ekstrakty roślinne z liści stokrotki i winogron, nasion oliwki oraz

owocu ananasa, które m.in. wykazują działanie antynocycetywne* i pobudzają własną zdolność organizmu do skutecznego uśmierzania objawów fibromialgii. Myalgan dostarcza również 2 aminokwasy: tryptofan – niezbędny do produkcji neurohormonów: serotoniny i melatoniny, których w fibromialgii zazwyczaj brakuje oraz taurynę – aminokwas który jest neuroprzekaźnikiem i który reguluje pobudliwość i napięcie mięśniowe, poprawia metabolizm komórek układu nerwowego, poprawia funkcje poznawcze i proces uczenia się, działa korzystnie w chorobach degeneracyj-

nych układu nerwowego i wspomaga regenerację tkanek.

*Działanie antynocycetywne polega na zmniejszeniu przewodzenia bólu, które w fibromialgii jest nadmierne.



Informacje: Phytomedica Polska, tel. 22 651 75 40, info@phyto-medica.pl, <http://myalgan.pl>, <http://fibromialgia.info.pl>

Kreatywne

statystyki Ministerstwa Zdrowia



Masowe szczepienia przeciw COVID-19 stały się w Polsce, podobnie jak w większości krajów Zachodu, główną, a nawet jedyną ośią strategii walki z wirusem. Przekonywanie do zaszczepienia jak największej liczby ludzi nie zawsze odnosi zamierzony skutek, dlatego rządzący uciekają się do coraz to nowych metod, mających „zachęcić” niezdecydowanych lub po prostu przymusić tych, którzy zdecydowanie odmawiają zaaplikowania sobie antycovidowego preparatu. Wiele już napisano o kuriozalnych formach



Agnieszka Golańska-Bault

Jedną z ważniejszych broni w akcji promocji szczepień odgrywają statystyki, a ich kreatywne, czyli manipulatorskie używanie pozwala na promowanie każdej wygodnej w danym momencie tezy

zachęt i nacisku poprzez dezawuuującą sceptyków w sprawie szczepień przeciw COVID-19 pogardliwą narrację promo-

waną w mediach ustami tzw. covidowych ekspertów i polityków, o żenujących loteriach fantowych i bonusach czy

która w przekazie medialnym sięga, a jakże, niemal 100 proc. Sprawa manipulacji danymi to jednak wątek na tyle szeroki i skomplikowany, że na potrzeby tego krótkiego tekstu zajmę się tylko jednym elementem codziennej propagandy uprawianej przez ministra Niedzielskiego i jego akolitów.

PORÓWNUJĄC NIEPORÓWNYWALNE

Od kilku tygodni na facebookowym profilu Ministerstwa Zdrowia w każdy piątek pojawiają się komunikaty informujące nas o liczbie zakażeń, liczbie zgonów oraz procentowym udziale w tychże osób zaszczepionych. Opierając się na tych zestawieniach, 20 września minister zdrowia Adam Niedzielski zapewniał: „Udział osób zaszczepionych w nowych zakażeniach wynosi 0,9 proc., czyli 99,1 proc. nowych zakażeń to są ludzie niezaszczepieni [...]”. Podobna prawidłowość dotyczy zgonów: odsetek osób, które zostały zaszczepione, a umarły z powodu COVID-19, wynosi 1,8, czyli 98 proc. zgonów od stycznia dotyczy osób niezaszczepionych”. Ten fragment wypowiedzi ministra cytowany był przez kolejne dni we wszystkich większych mediach, niezależnie od sympatii politycznych (wszak przekonanie o konieczności „wyszczepienia” populacji łączy dziś najbardziej zażartych politycznych wrogów). Czyż konsumenci radiowych i telewizyjnych przekazów i czytelnicy mainstreamowej prasy mogą mieć zatem jakiegokolwiek wątpliwości, że niezaszczepienie się jest po prostu formą samobójstwa? W większy dysonans poznawczy wpadli natomiast użytkownicy Internetu i mediów społecznościowych, gdzie nie brak ludzi bacznie przyglądających się działaniom rządu oraz jego polityce komunikacyjnej. W sieci zawrzało, a osoby posiadające elementarną wiedzę matematyczną zaczęły prowadzić swoje małe śledztwo w sprawie szczepionkowych statystyk, które niechybnie doprowadziło ich do odkrycia dużej manipulacji. Na czym ona polega?

W swoich zestawieniach Ministerstwo Zdrowia podaje liczbę wszystkich zakażonych koronawirusem oraz liczbę zakażonych zaszczepionych, a także liczbę wszystkich zmarłych na COVID-19 oraz liczbę osób zmarłych w pełni zaszczepionych (osobą zaszczepioną jest w tym zestawieniu osoba zaszczepiona podwójną dawką lub pojedynczą dawką szcze-

o otwartym szykanowaniu niezaszczepionych i segregacji sanitarnej, która ich dotyka (na razie w Polsce obecna w formie „light”).

Tymczasem mało kto zwraca uwagę na fakt, że jedną z ważniejszych broni w akcji promocji szczepień są statystyki, a ich kreatywne, czyli manipulatorskie używanie pozwala na promowanie każdej wygodnej w danym momencie tezy. Oczywiście przesłaniem, którym od miesiąca nieustannie karmią nas Ministerstwo Zdrowia i jego urzędnicy, jest wysoka skuteczność szczepionek,



Wciągająca niczym kryminał Camilli Läckberg



30 lat
WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Pionki Johnson po 14 dniach, licząc od zaaplikowania pełnego cyklu szczepienia). W zestawieniu zlicza się wszystkie przypadki zakażeń i śmierci od momentu, gdy w Polsce zaczęto podawać drugą dawkę szczepionki. Jak łatwo sprawdzić, miało to miejsce już w połowie stycznia tego roku. I tak, zdaniem Ministerstwa Zdrowia, jako że w okresie od stycznia do 24 września COVID-19 stwierdzono u 1 412 317 osób, a 13 958 z nich było w pełni zaszczepionych, to odsetek osób zaszczepionych zakażonych wynosi 0,98 proc. Owszem, w takim ujęciu tak... ale przecież nawet dla statystycznie średnio rozgarniętego laika takie zestawianie nie ma sensu. Nie ma sensu po pierwsze dlatego, że w szczytowym momencie wiosennej fali, to jest w marcu i w kwietniu, gdy codziennie notowano między 12 tys. a 35 tys. zakażeń, a w wyniku infekcji umierało każdego dnia kilkaset osób, odsetek osób w pełni zaszczepionych był bardzo niski, w marcu na poziomie 4 proc., a w kwietniu ok. 8 proc. Tymczasem od początku roku do końca kwietnia, gdy szczepienie raczkowało i siłą rzeczy chorowali niemal wyłącznie niezaszczepieni, odnotowaliśmy w Polsce łącznie 1 594 762 przypadki zakażeń, czyli 93 proc. wszystkich zakażeń w tym roku. Podobnie ma się rzecz ze zgonami: aż 82 proc. zgonów covidowych (38 545 osób) przypada na okres od początku roku do końca kwietnia.

JAK JEST NAPRAWDĘ?

Porównywać należy rzeczy porównywalne, a jedynym sensownym zestawieniem, mówiącym nam cokolwiek o liczbie zakażonych koronawirusem wśród zaszczepionych, jest analiza danych z ostatnich kilku tygodni. Od lata w naszej populacji mamy do czynienia z dwiema liczbami niemal równymi grupami osób zaszczepionych w pełni i niezaszczepionych, zatem analiza jest ułatwiona. Poza tym dopiero od czerwca pojawił się w Polsce nowy wariant wirusa zwany wirusem delta, zdaniem naukowców bardziej zaraźliwy i przełamujący skuteczniej ochronę indukowaną szczepieniem. Taką analizę przeprowadzono na łamach portalu „Najwyższy czas” w artykule „Wielki manipulator Niedzielski. Jaka jest prawdziwa statystyka osób zaszczepionych wśród zakażeń i zgonów?”, a wyliczenia zostały następnie omówione przez posłów Konfederacji 29 września na konferencji prasowej w Sejmie. Opierając się na danych publikowanych co tydzień

przez Ministerstwo Zdrowia, posłowie wyliczyli, że np. w tygodniu od 10 do 16 września w Polsce „odnotowano 3957 nowych zakażeń wirusem SARS-CoV-2, a wśród nich było 1107 w pełni zaszczepionych. To 28 proc. [...] W dniach od 10 do 16 września odnotowano 56 zgonów, z czego 10 stanowili w pełni zaszczepieni. To 17,9 proc.”.

Na reakcję Ministerstwa Zdrowia nie trzeba było długo czekać, choć znów nie miała ona nic wspólnego z podjęciem merytorycznej dyskusji. Urzędnicy ministerstwa zaatakowali Krzysztofa Bosaka, zarzucając mu manipulację, subiektywne i wybiórcze zestawianie danych (sic!), brak odpowiedzialności, zniechęcanie do szczepień. Ponownie też przywołano dane o 99-procentowej skuteczności antycovidowych zastrzyków. Tymczasem każdy kolejny tydzień przynosi informację o tym, że w oficjalnych statystykach, przemilczanych przez MZ, liczba osób w pełni zaszczepionych wśród zakażonych i zmarłych z powodu SARS-CoV-2 systematycznie rośnie. W ostatnim tygodniu (od 1 do 8 października) zaszczepieni stanowili już 34 proc. zakażonych i 23 proc. zmarłych na COVID-19.

Uważni obserwatorzy praktyk statystycznych MZ wskazują jednocześnie na kilka elementów, które każą przypuszczać, że i te oficjalne dane są danymi nierzetelnymi i niedoszacowanymi. Zwracają m.in. uwagę na fakt, że przez cały okres wakacji, zgodnie z danymi MZ, osoby zaszczepione były testowane 2,7 raza rzadziej niż niezaszczepieni, przy czym odsetek pozytywnych testów w obu grupach to 0,47 proc. w przypadku niezaszczepionych i 0,35 proc. w przypadku zaszczepionych.

Czy dysproporcja ta wynikała jedynie z wakacyjnego testowania przy podróżowaniu za granicę, którym podlegali wyłącznie niezaszczepieni, czy też w jakiejś mierze jest skutkiem rozporządzenia Rady Ministrów z 6 maja 2021 r. w sprawie ustanowienia określonych ograniczeń, nakazów i zakazów w związku z wystąpieniem fali epidemii? Zgodnie z tym aktem prawnym osoby zaszczepione nie podlegają obowiązkowemu testowaniu w publicznych placówkach zdrowia, takich jak przychodnie czy szpitale. Lekarze praktycy i sami pacjenci zauważają również, że w sanitarnej praktyce zaczyna upowszechniać się schemat diagnozowania grypy u osób zaszczepionych oraz systematycznego testowania pod kątem COVID-19 osób niezaszczepionych z objawami grypowymi.

pionych z objawami grypowymi.

Grypa rzeczywiście powróciła, a Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego poinformował w ostatnim tygodniu o zarejestrowaniu niemal 116 tys. przypadków grypy lub podejrzeń tej choroby. I jest to poziom nieco wyższy niż zapadalność na tę chorobę w latach przedcovidowych w analogicznym okresie roku. Średnia zachorowalność w skali kraju wynosi 43 przypadki na 100 tys. osób. Najwięcej przypadków notuje się w województwach lepiej czy wręcz najlepiej „wyszczepionych”, np. woj. mazowieckim (58 na 100 tys.), wielkopolskim (74 na 100 tys.) i pomorskim (129 na 100 tys.). Stygmatyzowane jako rejon oporne na propagandę dobrodziejstwa szczepień i szczególnie narażone na kolejne fale zakażeń koronawirusem województwa: lubelskie, podlaskie, świętokrzyskie, opolskie czy warmińsko-mazurskie w przypadku grypy notują wyniki znacznie poniżej średniej krajowej (ok. 25 przypadków na 100 tys.), a robiące za narodowego „antyszczepionkowca” podkarpackie odnotowuje jedynie 11 przypadków grypy na 100 tys. (11 razy mniej niż pomorskie). Czy ta dysproporcja w rozkładzie obu chorób ma coś wspólnego z diagnozowaniem i ewidencjonowaniem przypadków koronawirusa w Polsce?

WAŻNE PYTANIA

Te i inne pytania powinny głośno wybrzmiewać w przestrzeni publicznej, a minister zdrowia i jego urzędnicy powinni być na każdej konferencji prasowej zasypywani przez dziennikarzy dociekliwymi pytaniami o skuteczność i bezpieczeństwo szczepień. Tak się jednak niestety nie dzieje, a debata publiczna w tej materii sprowadzana jest do historycznych występowania pani Krystyny Jandy, nawołującej do natychmiastowego wprowadzenia szczepionkowego apartheidu, skandalicznych wynurzeń prof. Środy o wymieraniu „niezaszczepionej gawiedzi” oraz gróźb kolejnych rządowych ekspertów medycznych. Ministerstwo Zdrowia zarzuca nieodpowiedzialność wszystkim tym, którzy polemizują z oficjalną narracją wokół szczepień, a samo w złej wierze wprowadza Polaków w błąd co do rzeczywistej skuteczności akcji masowego „wyszczepiania”, uzasadniając zmanipulowanymi danymi kolejne pomysły na walkę z pandemią, ignorując przy tym nawet własne dane.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

CAŁA PRAWDA O KOŚCIELE W HOLANDII

KARD. WILLEM JACOBUS EIJK
W ROZMOWIE Z ANDREA GALLIM

BÓG ŻYJE

— W —
HOLANDII

„Czy jednak Syn Człowieczy znajdzie
wiarę na ziemi, gdy przyjdzie?” Łk 18, 8

esprit



Gdybym miał wymienić europejskich duchownych, których widziałbym w przyszłości na Stolicy Piotrowej, na czele Kościoła, to kard. Willem J. Eijk byłby bardzo wysoko na takiej liście. Może nawet na pierwszym miejscu. Holandia to kraj, który kojarzymy z odrzuceniem chrześcijaństwa i z upadkiem kultury katolickiej. Ta opinia wydaje się jednak uproszczona. Owszem, Kościół w Holandii jest dziś niewielki, ale zachowuje żywą wiarę i kard. Eijk jest tego Kościoła twarzą.

Tomasz Rowiński
dziennikarz i publicysta

Odbierz
dodatkowy rabat*

-5%

na hasło:
DO RZECZY

~~29,90~~
17,90

Zamówienia telefoniczne można składać: pn-pt 8:00-16:30
12 263 37 09, 12 395 70 72. Przez internet na **esprit.com.pl**.
Zamówienia na kwotę 99 zł lub więcej — przesyłka gratis.

* Kod rabatowy jest ważny do 15 listopada 2021 r.



P.Morgan

大成 D

Prawie jak Isabel



Agnieszka Niewińska

Żona ministra zadebiutowała w „Top Model”. I choć odpadła w trzecim odcinku, to medialny serial z jej udziałem trwa

Mąż mnie zabije – rzuciła do kamery Marianna Schreiber i ruszyła paradnym krokiem na wybieg programu „Top Model”. Tak małżonka ministra w KPRM Łukasza Schreibera weszła do show-biznesu. Od jej debiutu w nadawanym przez TVN show dla aspirujących modelek i modeli minęły niemal dwa miesiące, a jej w mediach jest pełno. „Marianna Schreiber całkowicie nago”, „Zdradziła, czy zamierza się rozwieść z mężem”, „Miesiąc temu dodała zdjęcie z błyskawicą” – krzyczą internetowe nagłówki.

Swoją Instagram pani Schreiber zasypuje prowokującymi zdjęciami, plotkarskie serwisy raczy opowieściami o tym, jak na wieść o jej udziale w „Top Model” zareagował małżonek. W „Gazecie Wyborczej” podzieliła się z kolei refleksją o tym, że „większość polityków z PiS-u ma żony, które ich obsługują”. Żaliła się też na niedogodności w życiu towarzyskim wynikające z faktu bycia żoną politykiem PiS: „Ile ja już

przez aborcję straciłam... Pisały do mnie dziewczyny: »Jak możesz się godzić?«”.

NASTOLETNI MARZENIA

Ostatnio zasiadła na kanapie w programie Kuby Wojewódzkiego, którego szczególnie interesowały tajemnice alkowy państwa Schreiberów. „Szybko wylądowaliście w łóżku?” – drażył Wojewódzki. Schreiber nieco zakłopotana unikała odpowiedzi. „Nie wiem, czy mój mąż życzyłby sobie, żeby mówić, że ma bardzo duży temperament” – tłumaczyła się. W końcu się poddała. „Skoro ja jestem z Warszawy, a mój mąż z Bydgoszczy i nasze pierwsze spotkanie to był przyjazd mojego męża, to pomyśl, czy mogliśmy to zakończyć rozmową przy kawie” – wypaliła.

Pani Marianna swoją medialną aktywnością realizuje jakieś nastoletnie marzenia. Jej wypowiedzi bardziej pasują mi do licealistki, i to z pierwszej klasy – ocenia Sławomir Jastrzębowski, właściciel serwisu salon24.pl i były redaktor naczelny „Super Expressu”. – Jak każdy

ma prawo do tego, żeby zaistnieć w mediach, ale dla ministra żona zachowująca się w ten sposób jest kulą u nogi. Niespecjalnie przychylny PiS-owi TVN, w którym występuje, zaciera ręce – dodaje.

Doktor Sergiusz Trzeciak, specjalista w dziedzinie komunikacji strategicznej z firmy Trzeciak|Chmal, nie ma wątpliwości, że minister Schreiber znalazł się w kłopotliwej sytuacji. – Nie sądzę, by medialna aktywność żony miała mu zrujnować karierę polityczną, ale z pewnością mu w niej nie pomoże. Zważywszy na to, że nie ma wpływu na działania małżonki, obrał najlepszą w tym położeniu strategię – niekomentowania. Pozostaje jedynie czekać, aż temat medialnie wygaśnie – ocenia dr Trzeciak.

Zaznacza, że pokazanie małżonka, który stojąc krok z tyłu, wspiera polityka, nie ma własnych ambicji zaistnienia w polityce czy w mediach, może mieć korzystny wpływ na wizerunek. Sytuacja się komplikuje w przypadku żony czy męża polityka, po którego aktywności można spodziewać się wszystkiego.

Poważne komplikacje dotknęły byłego premiera Kazimierza Marcinkiewicza. Jego burzliwy związek z o 22 lata młodszą Izabelą Olchowicz znaną jako Isabel relacjonowały wszystkie media. Zresztą para podsycala zainteresowanie mediów. Kiedy gruchnęła wieść o rozwodzie, Isabel nie szczędziła mediom szczegółów dotyczących związku z byłym premierem.

W 2015 r. jej wyznania drukowane były w odcinkach. – Potrafiliśmy cały dzień spędzić razem w domu i nie wychodzić z sypialni – chwaliła się. Media latami wałkowały ich spór o alimenty. Przy okazji ostatnich wyborów do europarlamentu spekulowano, że Marcinkiewicz znajdzie się na liście Koalicji Europejskiej. Ostateczni nie wystartował. Miało mieć to związek z jego kłopotami w życiu prywatnym.

Historia byłego premiera Kazimierza Marcinkiewicza jest książkowym przykładem na to, jak romans rozgrywany na oczach mediów może zniszczyć wizerunek polityka. Choć trzeba zaznaczyć, że na to, jak Polacy postrzegają Marcinkiewicza, miała wpływ nie tylko medialna aktywność jego byłej już żony, lecz także fakt, że był żonaty, nawiązując z nią romans, który eksponował w mediach – podkreśla dr Trzeciak.

Polska polityka zna i takie sytuacje, kiedy mąż zrezygnował z działalności politycznej po tym, jak zdecydowała się na nią

FOT. ADAM JANOWSKI/REPORTER

jego żona. Tak było w przypadku Jana i Nelly Rokitów. W 2007 r., tuż przed ogłoszeniem składu list wyborczych PO (Rokita po partyjnej batalii znalazł się na krakowskiej liście), wybuchła polityczna bomba. Nelly Rokita otrzymała nominację na doradcę prezydenta Lecha Kaczyńskiego ds. kobiet. Tego samego dnia Jan Rokita ogłosił, że wycofuje się z polityki. – Muszę uszanować decyzję mojej żony. Ona poświęcała się dla mnie wiele razy, teraz moja kolej – tłumaczył. Nelly Rokita w tym samym roku wystartowała do Sejmu z list PiS.

Z polityki wyeliminować potrafią nie tylko polityczne ambicje drugiej połówki, lecz także ekscesy. Coś na ten temat wiedzą posłowie PiS, którzy zostali bohaterami tzw. afery madryckiej. Adam Hoffman, Adam Rogacki i Mariusz Antoni Kamiński pobrali z sejmowej kasy środków na podróż samochodem do Madrytu na posiedzenie Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Poecieli jednak tanimi liniami, zabierając na pokład żony. Te wszczęły awanturę, bo – jak relacjonował mediom jeden z pasażerów – chciały wypić na pokładzie własny alkohol. Doszło do scysji i przepychanek z personelem pokładowym. Relacje trafiły do

mediów. Dziennikarze ustalili także, że udział posłów w madryckich obradach był marginalny. W efekcie trzech posłów zostało usuniętych z PiS na wniosek samego Jarosława Kaczyńskiego.

O Mariuszu Antonim Kamińskim było zresztą głośno nie tylko za sprawą afery madryckiej, lecz także byłej żony Anny Kamińskiej, która chciała go postawić przed Trybunałem Stanu za to, że zdradził ją z partyjną koleżanką. Rozpoczęła nawet zbieranie podpisów pod obywatelskim projektem ustawy, wedle której za udowodnioną w sądzie zdradę parlamentarzyście miałyby grozić Trybunał Stanu.

Złośliwości byłemu mężowi nie szczędziła też w mediach Maria Nowińska, była żona Janusza Palikota. Ten w odwecie miał jej nawet odciąć wodę i prąd. „Janusz Palikot nie ma żadnych poglądów politycznych. Znam go od 20 lat i to wiem. Odnalazłby się w każdej partii w zależności od potrzeby” – mówiła w „DGP” w 2009 r.

NA BAKIER Z PRAWEM

Wywiady udzielane przez byłych małżonków to jeszcze nie najgorsze, co może czekać polityka. Przekonali się

o tym ci, którzy w tabloidach oglądali zdjęcia swoich małżonków z zapikslowanymi twarzami. Męża z czarną przepaską na oczach musiała oglądać w tabloidach posłanka PO Marzena Okła-Drewnowicz. Wystawił on lewe faktury na 6,6 mln zł. W 2014 r. usłyszał wyrok dwóch lat więzienia w zawieszeniu na pięć lat i grzywnę 25 tys. zł. – Nigdy bym nie pomyślała, że będę przez coś takiego w stanie przejść. Zawaliło mi się życie – mówiła po latach posłanka Okła-Drewnowicz, dodając, że już wówczas była z mężem w separacji.

Opinii publicznej w pamięć bardziej niż problemy z prawem zdają się jednak zapadać wizerunkowe wpadki drugich połówek. Tak jest w przypadku Aleksandry Miller, żony byłego premiera Leszka Millera. Na pierwszym medialnym planie pojawiła się w zasadzie raz – kiedy z wizytą w Polsce gościła japońska para cesarska. Premierowa na spotkanie włożyła letnią sukienkę z napisami „sexy”, „love”, „cute” i przykryła tym polityczny wymiar wizyty. Po 20 latach wciąż się to pani Miller wypomina.

Czy za dwie dekady media będą jeszcze pamiętać o Mariannie Schreiber?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

55210 Andrea Hult
00542 Louis
525140 Gerardo Sol
2345
18 Maria Novik

BRUDER-KHIL
heih-ma

NAGRODA PUBLICZNOŚCI
MIEDZYNARODOWY FESTIWAL FILMOWY
TRANSATLANTYK 2020

70th International
Berlinale Special
Gala

Niewiarygodna historia inspirowana życiem

POUFNE LEKCJE PERSKIEGO

TYLKO W KINACH
od 29 października

emplik wprost

na:Temat polki.pl

Wolność, równość, morderstwo



Piotr Gociek

Wszyscy oglądają serial „Squid Game”. Wszyscy na nim zarabiają i o nim dyskutują. To świetnie zrobiona rozrywka, która tylko udaje mądrą

Między mnożącymi się na ekranie egzekucjami, upiornie cukierkową scenografią i chwytliwym hasłem „bogaci to dranie” dotyka serial „Squid Game” paru ciekawych kwestii. Wątpię jednak, by widzowie mieli czas się nad nimi zastanawiać, bo widać już, że południowokoreański hit serialowy Netflix’a zaczął funkcjonować jako tzw. fenomen fanowski. Świadczy o tym choćby internetowy wysyp strojów

na Halloween inspirowanych kostiumami z serialu, seria gadżetów w Walmarcie, turecka gra na smartfony i tak dalej. Ekstaza fanowska wyklucza refleksję, chodzi o fun, fun, fun. Niczym fani Naomi Klein zakładający koszulki z logo „No logo” miłośnicy „Squid Game” rzucili się ochoczo w wir zarabiania pieniędzy – dla innych. Dla bogaczy, którzy im tego kalmara rzucili na pożarcie. Dla Netflix’a i jego licencjodawców. Sprawiając, że mało oryginalna teza serialu: biedak dla pieniędzy zrobi wszystko, błędnie przy definiującej nasze czasy frazie: „Biedak nie przegapi żadnej okazji, żeby dać komuś na sobie zarobić”.

NADCIĄGA K-DRAMA

Popularność „Squid Game” wystrzeliła błyskawicznie po premierze, produkcja w ciągu dwóch tygodni stała się najpopularniejszym produktem w ofercie Netflix’a, przebijając sukces „Bridgertonów” i wskakując do czołówki najchę-

niej oglądanych seriali w niemal stu krajach. Polska nie jest wyjątkiem. Nie mam danych statystycznych, ale śmiem twierdzić, że szczególnie chętnie południowokoreańskie ciasteczko chrupią młodzi – od dwóch znajomych, niezależnie od siebie, usłyszałem, że ich synowie (lat 16 i 13) dopytują: „Tato, a czemu nie oglądasz »Squid Game«?”.

Twórca serialu nazywa się Hwang Dong-hyuk i przez długie lata nie mógł znaleźć partnerów do produkcji swego wymarzonego projektu. Dla jednych był zbyt dziwaczny, dla innych za mało oryginalny, dla jeszcze innych nie gwarantował zainteresowania widzów. Teraz, po sukcesie dzięki ryzyku, które podjął Netflix, bez wątplenia czeka nas kolejna fala koreańskiej inwazji – rozrywkowa K-drama może być równie chwytliwa jak K-pop.

Kto mówi o braku oryginalności, ten ma rację, bo pomysł jest mocno wyeksplloatowany – na tyle, że to już pewien format fabuły i rozgrywki w grach

wideo: battle royale, czyli krwawa bitwa „wszyscy ze wszystkimi” dopóty, dopóki nie ocala tylko jeden. Forma zmagania do ustalenia, drużynowe, w pojedynkę, wszyscy naraz albo etapami. Kto pamięta japońskie filmy „Battle Royale”, ten wie, o czym mowa. Były i podobne mangi, były horrory, a w naszym kręgu kulturowym trzeba wspomnieć nawet nie tyle o „Uciekinierze” z Arnoldem Schwarzeneggerem (1987), ile o prowokacyjnym opowiadaniu Roberta Sheckleya z 1953 r. „Siódma ofiara”, w którym odbywały się krwawe łowy na ludzi (w kinowej wersji z 1965 r. była to już „Dziesiąta ofiara”, a główną rolę zagrał Marcello Mastroianni). Wspomnijmy też prowokacyjną powieść Stephena Kinga „Długi marsz” (wydaną pod pseudonimem Richard Bachman), w której bohaterowie biorą udział w pieszym pochodzie przez Amerykę – najwolniejsi zabijani są na miejscu, a na mecze na zwycięzcę czekają wielkie pieniądze.

Bohaterowie „Squid Game” otrzymują podobną propozycję od tajemniczych organizatorów tytułowej gry składającej się z sześciu rund. 456 uczestników trafia w miejsce odosobnienia, gdzie czeka na nich do zdobycia 45,6 mld wonów (na nasze, przy kursie 1 zł = 33 wony, to będzie 1,4 mld zł). Zwycięzca może być tylko jeden, reszta – co... ich popioły użyżnią ziemię małej odosobnionej wyspy. Kto poszedłby na takie ryzyko (gwoździści – w chwili podpisywania kontraktu bohaterowie nie mają świadomości, że piszą się na śmierć)? Ludzie, którzy są przekonani, że znaleźli się w sytuacji bez wyjścia.

Skaptowani gracze nie tylko nie mają nic do stracenia, lecz także zwykle toną w gigantycznych długach i znikąd nie mogą spodziewać się ratunku. Spójrzmy na najważniejsze figury tej historii: nałogowy hazardzista, który utracił z tego powodu żonę i opiekę nad córką. Jego dawny przyjaciel, gwiazda uniwersytetu, postrzegany jako gwiazda biznesu, a tak naprawdę oszust ścigany przez policję. Mafioso uciekający przed twardszymi od siebie bandziorami. Dziewczyna, która uciekła z Korei Północnej, a teraz potrzebuje pieniędzy, by przeszmugłować na południe swoją matkę. Obiecała to braciowski przetrzymywanemu w przytułku.

Serial zbudowany jest na wzór amerykańskich hitów „Prison Break” czy „Orange Is the New Black” – owszem, obserwujemy dynamikę społeczności

w zamknięciu i na tym tle losy wybranych bohaterów, ale w ruch ich emocje wprawiane są wydarzeniami spoza tego mikroświata. Hwang Dong-hyuk dużo miejsca poświęca na historie stojące za najważniejszymi postaciami opowieści – i dobrze, bo to pozwala szybko widzowi nawiązać z nimi emocjonalną więź. Wtedy idiotyczna, w gruncie rzeczy, historia o mordowaniu się dla zysku i ku cudzej rozrywce nabiera ludzkiego wymiaru: mamy komu kibicować, mamy kogo opłakiwać.

Wzorowane na dziecięcych zabawach kolejne rundy krwawej gry są okrutne, szczyt emocji osiągają jednak w odcinku szóstym, za sprawą rozgrywki prościutkiej, lecz prowadzącej do czegoś dużo gorszego niż bieg pod lufy karabinu albo wrzucanie się nawzajem w przepaść. Łatwo poświęcić kogoś obcego – a co, jeśli aby przeżyć, będziesz musiał nie tylko oddać osobę bliską, lecz także jeszcze odpowiednio ją w tym celu oszukać? Z drugiej strony pamiętamy, że w prawdziwym świecie, poza grą, większość uczestników nie miała najmniejszego problemu z nieustannym oszukiwaniem własnych żon, matek, dzieci. Trafili więc do piekła, ku któremu sami wcześniej ochoczo postawili pierwsze kroki.

DIABELNA SPRAWNOŚĆ

Są dwa miejsca, w których „Squid Game” wspina się na wyżyny – pierwsze właśnie wskazałem. Drugie to chwila, w której tajemniczy nadzorca gry, eliminując najsłabsze ogniwa spośród strażników (tak, nie dałoby się tych igrzysk śmierci przeprowadzić bez odpowiedniego nadzoru), mówi wprost coś bardzo zastanawiającego. Główną winą oszustów jest nie to, że chcieli sobie na boku dorobić, ale to, że zanieczyścili środowisko gry, pomyślane w taki sposób, by wszyscy byli równi i mieli takie same szanse na sukces. Byłby więc twórca kalmarowego koszmaru żonierzem utopijnej idei? Zwolennikiem hasła francuskiej rewolucji „wolność, równość, braterstwo”, który chce... No właśnie... Przypomnieć o nim? Wykpić? Udowodnić, że się zdegenerowało?

Twórca serialu szybko jednak porzuca ten trop, krwawa rozrywka jest ważniejsza, ważniejsze jest mało odkrywcze przesłanie, że świat pełen jest zbyt wielkich nierówności, chciwość prowadzi do

zguby, a bogacze nie dość, że nie zastępują na to, co mają, to jeszcze są zwyrodnialcami. Upajają się cudzą krzywdą, traktują biedaków jak bydło na rzeź, nie wspominając o upodobaniu do drogich cygar i trunków oraz homoseksualnych perwersjach (jak gejołubny Netflix to przepuścić?).

Czy człowiek jest z natury zły czy wręcz przeciwnie – szlachetność i altruizm mogą zwyciężyć? Nie musimy oglądać dziewięciu odcinków koreańskiej jatki, żeby przypomnieć sobie odpowiedź na to pytanie: szlachetność, altruizm, miłość potrafiły wygrać w Auschwitz czy w gułagu. Rzadko, bo rzadko, ale potrafiły. W sumie w „Squid Game” dzieje się podobnie. Ale psychodrama zamiast

na tle obozowych drutów i bydlęcych wagonów rozgrywa się na tle bajecznie kolorowych scenografii kolejnych krwawych zawodów. Odzianym w identyczne drelichy uczestnikom w drodze na arenę towarzyszą dźwięki „Nad pięknym modrym Dunajem” Straussa. Cóż, Rudolf Hess, komendant niemieckiej fabryki śmierci w Auschwitz,

też lubił głośno posłuchać klasyki. Nie trzeba być obrzydliwie bogatym, by mieć biedaków na proch, by puszczać ich z dymem przez krematoryjne kominy.

Prawdy o naturze zła nie da się zamknąć w potępieniu niesprawiedliwości społecznej formułami z oscarowego „Parasite” czy teraz ze „Squid Game”. Horrendum wymyślonej przez złowrogich bogaczy gry nie polega na tym, że zmuszono w niej ludzi do zabijania się dla pieniędzy. W pewnym sensie każdego dnia zabijamy się po trochu, żeby utrzymać swoje rodziny, żeby zarobić na własne utrzymanie. Jednak prawdziwe życie, w odróżnieniu od „Squid Game”, jest grą o sumie niezerowej i to jest w nim piękne. Nie da się zamknąć w formule „czyjś zysk jest zawsze czyjąś stratą”. Prawdziwe życie dopuszcza współpracę, dopuszcza nietypowe dodawania: dwa plus dwa potrafi przynieść nieoczekiwane siedem albo siedemnaście. Dopuszcza altruizm, miłość, poświęcenie w inny sposób niż śmierć. Dopuszcza cud. Dlatego metafora z koreańskiego serialu, jakkolwiek chwytliwa, jest mocno chybiona. To tylko rozrywka. Diabelnie sprawnie zrobiona, ale tylko rozrywka. Ta zaś nie musi być mądra – za to często taką udaje.





FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CINEMAN

Glina czy łajdak



★★★★★

REŻ. JOE
CARNAHAN
„POD
OSTRZAŁEM”
(„COPSHOP”)
USA 2021

wyst. Frank Grillo,
Gerald Butler,
Alexis Louder

Choć jest to kryminał rozgrywający się w czasach współczesnych (Internet, komórki etc.), to całość stylizowana jest na kino klasy B z lat 70. XX w. Najciekawszą próbę tego typu zawdzięczamy w ostatnich latach Quentinowi Tarantino („Death Proof”). Joe Carnahan nie jest reżyserem tak wybitnym, ale „Narc”, „As w rękawie” czy ostatnio „Poziom mistrza” udowadniały, że zna się na filmowej robocie. I dostarcza kinomanom czystej, napędzanej adrenaliną rozrywki.

Uciekający przed płatnym zabójcą spec od brudnych interesów (Frank Grillo) wpada na pomysł, by ukryć się przed pościgiem za

kratami policyjnego posterunku. Nokautuje policjantkę, więc rzeczywiście czeka go cela. Cóż z tego, kiedy ścigający go profesjonalista (Gerald Butler) nie odpuszcza – udając pijaka, taranuje policyjny samochód i też trafia do aresztu. Dwa metry od zwierzyny, tyle że zamkniętej w innej klatce. Tak zaczyna się spirala przemocy i kłamstwa, z której nikt nie wyjdzie nietknięty. Zwłaszcza że różne inne podejrzane rzeczy dzieją się i na posterunku, i w wielkim świecie.

Najważniejszą figurą w tej rozgrywce okaże się młoda i uparta policjantka Valerie (Alexis Louder), która musi odpowiedzieć sobie na dwa podstawowe pyta-

nia: „Jakim wartościom służy?” i „Komu można zaufać?”. Świat, który odkryje Valerie, składa się głównie z rozmaitych odcieni szarości i podłości – czy warto więc ryzykować życie, by go naprawić? W imię czego? Odznaka policjantki zobowiązuje, owszem. A poza tym?

Przed wszystkim jednak „Pod ostrzałem” to kawał zręcznej, filmowej rozrywki, świetnie opowiedzianej i sprytnie wymyślonej. Akcja niemal w całości zamknięta została w murach policyjnego posterunku. Nie osiąga co prawda intensywności „Nędznych psów”, ale zaskakuje częściej, niż można się było spodziewać. Jest to historia, którą mógłby napisać Elmore Leonard, a wyreżyserować Guy Ritchie: dobre dialogi, wyraziste postacie, lekkie przymrużenie oka. Na drugim planie wyróżnia się Toby Huss w roli kitera, który każdym swoim słowem i gestem przypomina nam, co różni zawodowca od psychopaty. A krótka opowieść Valerie o tym, kim był jej pradziadek, zaskoczy każdego. ©©



NOWE SERIALE: „INWAZJA”

Nie należy mylić tego serialu ani z „Inwazją” z roku 1997 na podstawie powieści Robina Cooka, ani z wariacją na temat „Inwazji porywaczy ciała”, którą była produkcja z 2005 r. Simon Kinberg, scenarzysta i wzięty producent (m.in. „Marsjanin”, „Deadpool” czy „Elysium”), proponuje coś, co można nazwać „Dniem Niepodległości”

na poważnie. Ziemia staje w obliczu ataku obcych. W mozaikowej opowieści zwykli ludzie poddani ciężkiej próbie muszą odkryć w sobie siłę woli i talenty, by stawić czoła zagrożeniu. W jednej z ról głównych wciąż niedoceniany Sam Neill. ©©

• „Inwazja”
(„Invasion”), USA 2021



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 3 „Brytania” („Britannia”), Wielka Brytania 2021

• sezon 2 „Locke & Key”; USA 2021

• reż. Aron Gaudet i Gita Pullapilly
„Królowe przekrętu” („Queenpins”), USA 2021



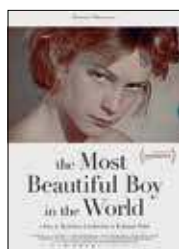
Spowiedź anioła

VOD
MDAGPL

Dokumentalny aneks do „Śmierci w Wenecji” wpisuje się (być może niechcący) w modę na demaskowanie molestatorów, cenionych dotąd za coś innego. Kryteria są dość swobodne, co pozwala posadzić na ławie oskarżonych niemal wszystkich luminarzy X muzy. Delatorom chodzi o pieniądze, a jeszcze bardziej o przypomnienie światu o swym istnieniu. Björn Andrésen to trochę inny przypadek. Zagrał u Viscontiego, chociaż o karierze filmowej nie marzył. Jeśli miał jakiś talent, to muzyczny.

Reżyser, gej i komunista, zachwycał się młodocianym aniołem śmierci, ale nie tknął go palcem i swoim przybocznym też zabronił. Można się zgodzić, że udział

15-latką w projekcie o podtekście homoseksualnym był już sam w sobie niestosowny. Björn miał jednak specjalną opiekunkę, na planie filmowym gościła też jego babcia. A rodzice? Tu dochodzimy do sedna. To nie rola zimnego jak posąg Tadzia pograyła gwiazdę „Śmierci w Wenecji”.



★★★★★

REŻ. KRISTINA LINDSTRÖM, KRISTIAN PETRI „NAJPIĘKNIEJSZY CHŁOPIEC NA ŚWIECIE” („VÄRLDENS VACKRASTE POJKE”) SZWECJA 2021

Owszem, światowa sława namieszała mu w głowie, jednak to rodzinne tragedie i sekrety sprawiły, że w dorosłym życiu sobie nie poradził. Dziś przedwcześnie postarzały, brodaty i długowłosy abnegat ze śladami dawnej urody trochę się pozbierał. Spotyka się z ludźmi, wrócił do aktorstwa. Ten film jest właściwie zapisem autoterapii, oby zwieńczonej sukcesem. Szkoda człowieka. ©©

Wiesław Chełmniał



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BELFER TEŻ CZŁOWIEK

KINO

Kolejny skutek równoprawnienia: kobiety domagają się prawa do kryzysu wieku średniego. Anglistka z Nysy dosyć ma towarzystwa cierpiącej na demencję matki, dwóch niewydarzonych synów (z których jeden zdążył już spłodzić potomstwo) tudzież męża, dobrotliwego aż do wymiotów. Gdy czuje potrzebę resetu, wyprawia się do pustego mieszkania po rodzicach, gdzie pali zioło i podejmuje jurnego kochanka. Czasu jednak zatrzymać się nie da... Łukasz Grzegorek ma z kolei talent do pokazywania życia jako sumy drobnych zdarzeń, tworzenia wiarygodnych postaci oraz dobrą rękę do aktorów. Zwycięskiej drużyny się nie zmienia, więc oglądamy prawie ten sam skład co w „Córce trenera”. Plus Jaromira Nohavicy, który znalazł robotę w niskim barze. Szkoda tylko, że reżyser nie dopilnował scenarzysty. Fabuła słabo się klei, a wątek nękającego nauczycielkę stalkera szantażysty należało sobie po prostu darować.



wyst. Agata Buzek, Jacek Braciak, Adam Woronowicz

★★★★★

REŻ. ŁUKASZ GRZEGOREK „MOJE WSPANIAŁE ŻYCIE” POLSKA 2021

O DWÓCH TAKICH

KINO

Byli jak bracia, choć inne zrodziły ich matki. Narcyz resztę życia chciał spędzić w klasztorze – jak na człowieka średniowiecza i ascetę przystało. Złotousty miał we krwi wólcę i mało był odporny na cielesne pokusy. Noblista Hermann Hesse, który historię ich trudnej przyjaźni wymyślił, też uważał się za tułacza i od ślicznotek nie stronił. Powieść, wydana w 1930 r., jest w gruncie rzeczy filozoficznym traktatem. Nielatwym do sfilmowania, zwłaszcza dla reżysera banalisty. Ruzowitżki wybrnął z tego ambarasu, rozwijając pawia ogon anegdota rodem z „Dekameronu”, czasem dających do myślenia, częściej jednak trywialnych. Z konfrontacji dwóch radykalnie odmiennych postaw życiowych zrobił nafaszerowany anachronizmami gejski melodramat. Następnej ekranizacji „Narcyza i Złotoustego” możemy już nie doczekać, więc polecam wizytę w bibliotece. ©©



wyst. Jannis Niewöhner, Sabin Tambrea, André Hennicke

★★★★★

REŻ. STEFAN RUZOWITZKY „NARCYZ I ZŁOTOUSTY” („NARZISS UND GOLDMUND”) NIEMCY 2020

recenzuje Wiesław Chełmniał

GRA TYGODNIA: „FAR CRY 6”

Może nie jest to „Far Cry” najlepszy, ale zdecydowanie jeden z najpiękniejszych. Tropikalna Yara mogłaby być rajem, gdyby nie to, że w piekło zamieniły ją rządy tyraństwa. Fikcyjny, ale – czego nie ukrywają twórcy – mocno wzorowany na Kubie kraj trzyma w swych

zakrawionych łapskach Anton Castillo, dyktator z pochodzenia. A my wcielamy się w bojownika lub bojowniczkę ruchu oporu i rzucamy wyzwanie zbrodniczemu reżimowi. Gra to przyjemna, widoki na nowej generacji robią wrażenie, ale tytuł raczej niczym nie zaskoczy fanów



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

serii. Czy to jednak wada? Każdy musi odpowiedzieć sobie na to pytanie sam. ©© Radosław Wojtas

- Gatunek: Akcja, FPP
- Platforma: XSX, XONE, PS5, PS4, PC
- Producent, wydawca: Ubisoft

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Gorzka proza Wildsteina

Bohater opowiadania „Lew” otwierającego najnowszą książkę Bronisława Wildsteina jest intelektualistą, filozofem, ale również szarą eminencją departamentu integracji europejskiej we francuskim MSZ, zafascynowanym wizją stworzenia łańciskiego imperium. I oto przez znajomego publicystę „L’Humanité” poznaje radcę sowieckiej ambasady do spraw, a jakże, kultury, który zasypuje go komplementami, wskazuje na to, że idea „Lwa Aleksandrowicza” jest niemal tożsama z polityką prowadzoną przez jego ojczyznę, jak wiadomo powszechnie, miłującą pokój jak żaden inny kraj, a w końcu nieśmiało proponuje, by swoje pomysły przedstawił w formie pisemnej. No bo jaki jest sens, żeby on swoim zwierzchnikom nieudolnie streszczał genialne pomysły wielkiego myśliciela? A przy okazji może mógłby wskazać, kto w gmachu przy Quai d’Orsay popiera tę wielką ideę, a kto jest jej przeciwny, jak układają się siły i tak dalej. To żadna działalność szpiegowska, a skąd! A że za zamówioną pracę należy się zapłata, to chyba oczywiste.

„Czekałem na tę propozycję – opowiada ten entuzjasta europejskości – bo wiedziałem, że idea łańciskiego imperium bez sowieckiej pomocy ma mniejsze szanse. W Moskwie muszą zrozumieć, że nie ma powodu głosić europejskiej rewolucji, kiedy jej światowy wariant zginął ostatecznie w Meksyku pod ciosami czekana dziesięć lat wcześniej. Geniusz Stalina ujawnił się nie tyle w personalnym załatwieniu sprawy, ile w zrozumieniu konieczności tego jeszcze w latach dwudziestych oraz w konsekwencjach, które autor potrafił z tego rozumowania wyprowadzić”.

Co było dalej? Rzekomy radca będzie miał kolejne prośby, ot, by poznał jednego z MSZ-owskich dyrektorów z młodym, uroczym



FOT. MICHAŁ WODZNIK/EAST NEWS

entuzjastą. Taka towarzyska uprzejmość... No i proszę, ta zaprogramowana znajomość przeradza się w związek uczuciowy sfinalizowany, niestety, samobójstwem kochliwego dyrektora. Czyżby miał zastrzelić się z miłości? Bądźmy poważni.

Bronisław Wildstein w „Lwie”, który mógłby posłużyć za kanwę interesującego politycznego thrillera, streścił ważny fragment europejskich dziejów, w której nierzadko pycha prowadziła do zdrady stanu, a żądza pieniądza do szpiegostwa. Przy okazji kreśląc znakomite sylwetki protagonistów opowiadanej historii w sam raz nadających się do nieprzypadkowo przypominanych w „Lwie” współczesnych „Charakterów” Jeana de La Bruyère’a. Swoją drogą, właśnie po pół wieku wznawionych przez Państwowy Instytut Wydawniczy, tę samą oficynę, która wydała nową książkę Wildsteina.

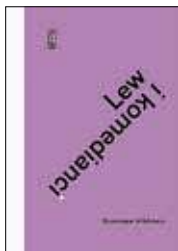
Składają się na nią trzy opowiadania i dwa utwory sceniczne, nieco na wyrost nazwane przez wydawcę komediami. Owszem, i „Komedianti”, i „Głos innego świata” korzystają z konwencji groteskowej, ale w dramatach tych słychać te same nuty co w prozie, przebiega się ta sama gorzka refleksja nad współczesnym światem, w tym także nad dzisiejszą Polską.

A rzeczywistość skrzeczy, i to obrzydliwie. Prawa człowieka stały się pustym frazesem, służącym wyłącznie jako wytrych sędziom

wydającym wyroki obrażające wprawdzie inteligencję, ale będące w zgodzie z obowiązującymi trendami w polityce i nauce. Profesor Haman z „Kryształowego gmachu” sumituje się przed swymi brukselskimi przyjaciółmi za to, że nie zdecydował się reprezentować gejów w sprawie przeciw państwu, które uniemożliwia im wzięcie ślubu. Ba, odradził im nawet występowania na drogę prawną. Teraz już postąpiłby inaczej, bo widzi, że mają szansę wygrać. Sędziowie przecież staną na wysokości zadania...

Jakuba Kandego z opowiadania „Babel”, wykładającego na uniwersytecie socjologię religii, dopada kryzys w trakcie zajęć ze studentami, gdy nie może dokończyć zdania, które przedtem zawsze gładko przechodziło mu przez usta: „Religia jest fenomenem społecznym”. Nagle pojmuje cały banał kryjący się za tym stwierdzeniem, rzuca wszystko, wyjeżdża nad morze, gdzie spotyka się z ludźmi podobnymi sobie, których rozmaite zdarzenia wyrzuciły z życiowych kolein i teraz usiłują na powrót skleić swoje zerwane związki z rzeczywistością. Ale porozumieć się nie potrafią... Bóg pomieszał im języki, choć w tym opowiadaniu wszyscy posługują się polszczyzną.

Śledząc dokonania Bronisława Wildsteina na niwie dziennikarskiej i politycznej, zawsze widzę w nim przede wszystkim człowieka pióra. A w jego wcale nie małym dorobku pisarskim, kto wie, czy nie najwyższą cenę opowiadania właśnie, że przypomnę tu przede wszystkim „Przyszłość z ograniczoną odpowiedzialnością” z 2003 r. Pamiętam oczywiście, że później była sławna powieść „Dolina nicości”, ale nie zmienia to faktu, że obecnie z niekłamana satysfakcją przeczytałem tom „Lew i komedianti”. Ta forma literacka wyraźnie „leży” autorowi i dobrze, że do niej sięgnął. Z powodzeniem. ©©



★★★★★

BRONISŁAW
WILDSTEIN„LEW
I KOMEDIANTI”PIW,
WARSZAWA 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

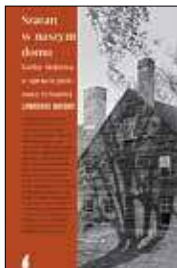
Zbrodnie pamięci

Gdyby ta książka była dziełem literackiej fikcji, autor zapewne usłyszałby zarzuty, że ponosi go wyobraźnia. W skrócie: zastępca szeryfa w hrabstwie Thurston Paul Ingram zostaje oskarżony przez córki, że gdy były małe, molestował je seksualnie. W 1988 r. dochodzi do procesu, Ingram trafia do więzienia na 20 lat. Koniec? Otóż nie, nic się tutaj nie zgadza, co ze szczegółami Lawrence Wright opisuje w książce „Szatan w naszym domu”. Wright to wytrawny reporter, wydano u nas m.in. jego znakomitą książkę „Droga do wyzwolenia” demaskującą scientologię.

Kwestii dziwnych jest kilka. Dlaczego po złożeniu zeznań wyglądających na wiarygodne córki Ingrama składają kolejne oświadczenia pełne absurdów? Paul miał być aktywnym satanistą, podobnie jego koledzy z pracy: razem organizowali satanistyczne orgie i uśmiercali masowo niemowlęta. Nic z tego podczas procesu się nie potwierdziło. Dlaczego sam Ingram zaczął składać obciążające go zeznania dziwnie podobne do fantazji z oskarżeń? Czemu przyznał się do satanizmu, orgii i tak dalej, skoro już pobiężne dochodzenie nie wykazywało, że sprawa kupy się nie trzyma? Idźmy dalej: skoro tyle było wątpli-

wości co do wiarygodności zarzutów, to dlaczego część z nich uznano – i wyceniono na 20 lat odsiadki – a inne odrzucono w całości? Co tu było dowiedzione, co było poszlaką, co podejrzeniem? Na koniec sam Ingram zaczął mówić o tym, że kłamał, gdy się sam obciążał. Czemu nie dano mu wiary, choć w wielu miejscach to, co mówił, zbieżne jest z reporterskimi ustaleniami Wrighta?

W centrum tej niesamowitej historii jest fenomen tzw. odzyskanych wspomnień – dziwaczного proceduru, kiedy to psychoterapeuci twierdzą, że wydobyli z podświadomości pacjentów pamięć o faktach, których ci nie byli świadomi. Kto i co komu tutaj wmówił? Po co? Dlaczego Ingram zareagował niczym bolszewik Rubaszow w „Ciemności w południe” Koestlera – niewinny, ale skoro partia twierdziła, że winny, to oczywiście uznał, że partia (w tym przypadku „specjaliści”) musi mieć rację.



★★★★★

LAWRENCE WRIGHT
„SZATAN
W NASZYM
DOMU”
WYDAWNICTWO
CZARNE 2021

Ofiarą prania mózgu podczas przesłuchań jest Ingram, ale po dwakroć ofiarami są jego dzieci, przemielone przez szarlatanów, przez proces, przez opinię publiczną i postawione w sytuacji, gdy prawdziwe przewiny sprawcy (jeśli miały miejsce) zniknęły w cieniu piramidy bzdur. ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Biografia »Roku 1984« Orwella” jest historią wykuwania się politycznych poglądów pisarza, kroniką powstawania słynnej powieści i zmieniającej się jej recepcji. Niestety, w polskiej edycji zrezygnowano z wkładki z ilustracjami.



DORIAN LYNSEY
„MINISTERSTWO
PRAWDY”
CZARNA OWCA

Autobiografii ciąg dalszy, czyli kontynuacja doskonale przyjętych tomów rozpoczętych książką „Lwy mojego podwórka”. Najnowsza część obejmuje okres od lat 60. XX w. do współczesności, w tym lata emigracji w Kanadzie.



JAROSŁAW ABRAMOW-NEWERLY
„PIÓREM
I PAZUREM”
PIW

Nowy album znakomitego rysownika łączy, tak jak „Plus Minus. Podręcznik do myślenia”, zaskakujące pomysły graficzne z celnymi aforyzmami i myślowymi paradoksami („Zawsze są dwa wyjścia: wyjście i brak wyjścia”).



JANUSZ KAPUSTA
„PION POZIOM”
ZYSK I S-KA

Klasyka horroru southern gothic pierwszy raz w Polsce. Przedwcześnie zmarły McDowell oprócz powieści grozy pisał też scenariusze. Według jego opowiadań powstały filmy Burtona „Sok z żuka” i „Koszmar przed świętami”. ©©



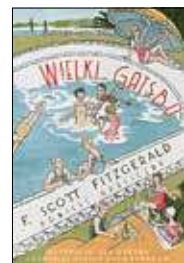
MICHAEL MCDOWELL
„ŻYWIOLAKI”
VESPER

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„WIELKI GATSBY”

Powieść graficzna stworzona dla wydawnictwa Simon & Schuster, stanowiąca komiksową adaptację arcydzieła F. Scotta Fitzgeralda. Fred Fordham, który napisał scenariusz, wcześniej udanie przełożył na język dymków m.in. powieść „Zabić drozda” Harper Lee. Za ilustracje odpowiada Aya Morton, uczestniczka kilku prestiżowych wystaw i autorka chwalonych ilustracji książkowych. „Pisząc



**AYA MORTON,
FRED FORDHAM**
„WIELKI GATSBY”
WYDAWNICTWO
JAGUAR 2021

»Gatsby'ego« Fitzgerald planował stworzyć coś niezwykłego i pięknego, prostego i misternie zdobionego” – przypomina Blake Hazard we wstępie. „Aya Morton osiągnęła podobny efekt w swoim dziele”. ©©

poleca Piotr Gociek



Staruszek Istebna

FOT. DANIEL FRANKOWSKI/FOTOREPORTERA

Występowali dla cesarza Franciszka Józefa na uroczystości 60-lecia jego panowania w 1908 r., tańczyli przed Ignacym Mościckim na prezydenckich dożynkach w Spale w 1933 r., uczestniczyli w nagraniach wielu audycji radiowych, a gdy wymyślono telewizję – bo to wynalazek młodszy niż oni – pojawiali się i tam. Zespół Istebna jest

jednym z najstarszych, niewykluczone, że najstarszym, wciąż działających zespołów regionalnych i świętuje w tym roku 120-lecie istnienia.

Nazwę wzięli od miejscowości w Beskidzie Śląskim, blisko trójstoku Polski, Czech i Słowacji. Wszystko zaczęło się w 1901 r., kiedy to – jak podaje portal Culture.pl – „górale Istebnej, Jaworzynki

i Koniakowa wystąpili na Przysłopiu pod Baranią Górą w myśliwskim zamczku, należącym do Habsburgów, gdzie na polowania często przyjeżdżał arcyksiążę Fryderyk. Naturalność i spontaniczność wykonywanych pieśni, tańców i muzyki urzekła cesarza tak, że zaprosił górali do Wiednia. Po kilku latach, w 1908 r., górale z Istebnej

na uroczystości 60-lecia panowania cesarza Franciszka Józefa zaprezentowali góralskie wesele”.

Zespół to zasłużony i nagradzany. W roku 2011 najwyższym wyróżnieniem w dziedzinie kultury ludowej – Nagrodą im. Oskara Kolberga „Za zasługi dla kultury ludowej”. Swym korzeniom Istebna pozostaje wierna, mając w repertuarze pieśni i tańce Beskidu Śląskiego, zwłaszcza tzw. Trójwsi Beskidzkiej (czyli trzech wiosek, o których już tu była mowa – Istebnej, Jaworzynki i Koniakowa). Mówi coś Państwu owiwniżki? Pewnie nie, bo to – jak się dowiedziałem za sprawą zainteresowania Istebną – taniec zalotny występujący tylko w „Trójwsi Beskidzkiej”. A za sprawą niezwykle ludzi podtrzymujących lokalne tradycje od wielu lat – poznawany w Polsce i na świecie. Niech nam żyją! © © **Radosław Wojtas**



GRZEGORZ BRZÓZOWICZ

NA SŁUCH

Z dużą pomocą przyjaciół

Carlos Santana wraca do sprawdzonej formuły i zaprasza do studia wpływowych przyjaciół.

„Tytuł albumu wynika z mojego przekonania, że rodzimy się z niebiańskimi mocami, które pozwalają nam czynić dobrodziejstwa i cuda” – tłumaczy Carlos. Sztab menedżerski postanowił jednak wspomóc cuda, ponieważ w ciągu dwóch dekad od spektakularnego sukcesu „Supernatural” (30 mln nakładu) rynek muzyczny zmienił się całkowicie. Dziś sprzedają się pliki z piosenkami, a nie albumy. Dlatego „Blessing & Miracles” skomponowano z nagrań, które mogą zaintrygować różnorodnych słuchaczy. A zatem Carlos przepięknie łąka na gitarze, a śpiewają: Chris Stapleton (country), G-Eazy (hip-hop), Salva-

dor Santana (latino), Corey Glover i Marc Osegueda (metal), Gayle Moran (jazz), Tommy Anthony (rock) i Rob Thomas (pop). Młodych odbiorców ma przyciągnąć gwiazdka Ally Brooke, a weteranów Stevie Winwood, który wykonał „Whiter Shade of Pale”. Lider wielkim gitarzystą jest, więc nie mogło też zabraknąć sześciostunowego pojedynku. W „American for Sale” wiosła krzyżują Carlos i Kirk Hammett z Metalliką.

Jako wielki fan twórczości Carlosa Santany, szczególnie tej z lat 70., jestem nieco rozczarowany. Jednak mimo wykalulowanego, komercyjnego charakteru przyznaję, że album broni się jako całość. Po prostu w czarowaniu na gitarze pozytywnych emocji nikt nie dorównuje temu 74-latkowi. © ©



★★★★★
SANTANA
„BLESSING & MIRACLES”
BMG



★★★★★
JAN BORYSEWICZ
„WSZYSTKIE
OBLICZA JANA
BORYSEWICZA”
AGORA

Podsumowując pół wieku na scenie, gitarzysta skompilował album z piosenek własnego autorstwa, które zaśpiewali różni wokaliści. Dostajemy nowe wersje „Nie wierz nigdy kobiecie (Piotr Fronciszewski)” i „Wciąż bardziej obcy” (JB) oraz dwie premierowe piosenki w wykonaniu lidera.



★★★★★
THE BEATLES
„LET IT BE (SUPER
SPECIAL DELUXE
EDITION)”
APPLE

Giles Martin (syn George’a, producenta Beatlesów) wielce udanie zmiksował oryginalną płytę. Na dodatkowych pięciu krążkach znajdziemy: studyjne jammy, niepublikowaną wersję albumu autorstwa producenta Glynisa Johnsa czy album w wydaniu surround. © ©

40 • LECIE

STANU WOJENNEGO
W POLSCE OPISANE
TWÓRCZOŚCIĄ
PRZEMYSŁAWA
GINTROWSKIEGO

13.XII.21

MECENASI
PROJEKTU



Jesteśmy oto w domu przedwojennych warszawskich Żydów: Beniamina i Lei, i w kilku odsłonach czasowych będziemy śledzić ich losy powiązane z losami ówczesnej elity politycznej i artystycznej. On – potomek chasydów (oczywiście z Biłgoraja), z temperamentu filozof. Ona – piękna, inteligentna muza artystów, koło której krzątają się najpoważniejsi bon vivanci (oczywiście i Lechoń, i Wieniawa-Długoszowski). Do mieszkania zaglądają dzieci, kochankowie obu małżonków, wpadła też dysputa filozoficzna wokół pojęć „fatalizm” i „woluntaryzm” (w dużym skrócie – czy być biernym, czy aktywnym uczestnikiem historii, gdzie tytułowym fatalistą jest Beniamin, a woluntarystką – Lea).

Zamysłem dramaturga, który od pewnego czasu zaparkował na przystanku „fresk historyczny”, było więc nałożenie trzech planów: małej historii rodziny na pograniczu środowisk ortodoksji i zasymilowanej inteligencji, wielkiej historii politycznej u schyłku międzywojnia – oraz filozofii, ścierania się rozmaitych postaw ludzkich w obliczu kataklizmu. Czyli ambitnie, ścigamy się tu np. z Tomaszem Manem i jego pamiętną formacją. Z jakim skutkiem?

Przede wszystkim razi nieprawdopodobieństwo fabuły oraz niepowstrzymane gadulstwo Słobodzianka. Nie mam nic przeciwko rozmowom o filozofii, nawet i na teatralnej scenie, ale do końca nie mogłem zrozumieć, jakim cudem koło nieciekawego faceta z wątpliwościami krzątają się aż trzy atrakcyjne, inteligentne kobiety. Dobrze, może ja się na tym nie znam, precedensy były. Słów też nie brakuje, brakuje za to niedomówień: wszystkie myśli bohaterów są natychmiast po przyjsciu do głowy wypowiedziane na głos, i to kilkakrotnie. Każda z postaci bez żenady się tłumaczy, i to nie tylko z myślą,



Grzegorz Kondrasiuk

Premierowe wystawienie najnowszego dramatu Tadeusza Słobodzianka w Teatrze Dramatycznym naraża na irytację zmieszaną z przejęciem, wywołuje poczucie zażenowania – ale są w nim momenty zmuszające do prawdziwego zastanowienia

lecz także z czynów, relacjonując zaraz po wejściu na scenę to, co jej się tam zdarzyło w życiu, czyli w przerwie między aktami (nie tylko zresztą jej, lecz także członkom rodziny oraz znajomym).

Nie da się ukryć, że obciąża to scenariusz nadmiarem papierowych dialogów. Jednak dyrektorowi sceny (a nawet kilku stołecznych scen) raczej trudno coś wykreślić. No i kto miałby to właściwie zrobić? Reżyser Wojciech Urbański nie dał rady, ale za wszystko inne można go pochwalić, a zwłaszcza za minimalizm, brak efekciarstwa (jeszcze tego by brakowało, żeby do Słobodziankowego dramaturgicznego gadulstwa dodawać gadulstwo reżyserskie). Tym bardziej widoczny jest nadmiar ambicji wpisany w dzieło, bo Słobodzianek – z pietyzmem odtwarzając przedwojenny klimat – stwarza sugestię pełnej opowieści. Daje sugestię historycznego obiektywizmu, tylko że z obiektywizmem jest u niego tak jak z użytymi w spektaklu przedwojennymi piosenkami,

ale w wykonaniu Janka Młynarskiego.

Niby to samo, ale nie do końca. Bo jednak aranżacje u Młynarskiego lepiej podchodzą pod współczesne ucho. Bo jednak historia międzywojnia opowiedziana wyłącznie z jednej perspektywy – Żydów, jakby w ich imieniu, brzmi na użytek publiczności Dramatycznego lepiej, bo spójniej, bez kantów i kontrnarracji. Autor pokazał całą polską przedwojenną anegdotycznie (spore partie tekstu to zlepek znanych anegdot rodem z Ziemiańskiej) i groteskowo ją przerysował (Sławomir Grzymkowski w roli obwieszonego orderami Wieniawy odkrywa nowe definicje szarży, tym razem aktorskiej). Co ciekawe – analogiczny zabieg wykonano i na II RP, i na żydowskim kadrach KPP – trockistce Dorze (Anna Moskal) brakuje właściwie tylko nagana. Tak więc – i patriotyzm, i internacjonalizm unieważniono w jednakowy sposób, bo istotniejsze okazały się meandry duszy żydowskiej, debaty wokół ortodoksji, asymilacji i sensu życia.

Stąd najbardziej przekonuje w spektaklu ten plan najbliższy, konfiguracja kilku ludzkich losów. Najbardziej bezpreten-sjonalne i dotkliwie sceny rozgrywają się bez fajerwerków, w naturalności i czasie realnym, nawet bez muzyki, w oszczędnych planach, prawie bez ruchu i w milczeniu. Uśmiech wywołuje wypełniająca całą pierwszą część scena kłótni małżeńskiej, przełamująca się w pełne odsłonięcie wzajemnych zdrad, zakończona chwilowym pojednaniem.

Elektryzuje moment, kiedy Lea (Magdalena Czerwińska), niczym prawdziwa lwica, w obronie swoich lwiątek wykrzykuje: „Jeśli będzie trzeba, to wezmę miecz i odrąbię głowę komu trzeba!” – choć historia jest przeciwko niej (właśnie odbył się Anschluss, już za chwilę Wrzesień '39). Albo kiedy kochanka Beniamina, przed wojną Goldbergowa, po wojnie Kwiatkowska czy tam Kowalska, żona świeżego ministra (Goldbergowa) nieruchomo, z pustymi oczami skierowanymi gdzieś ponad widownię wyjawia, jak przeżyła wojnę. Albo gdy w finałowych scenach Beniamin (Robert T. Majewski) przejmując zwierza się, że uwierzył w Boga, ale tylko po to, by mu złożyć. To miejsca prawdziwe, dobre aktorsko i potwierdzone w setkach świadectw, w pamiętnikach i dziełach literackich, poświęconych tematowi mierzwy, materiału ludzkiego przemiętego przez walec historii.

PS Grały dzieci. Niektóre bardzo nieźle, a niektóre – nie bardzo źle. ©

**TEATR DRAMATYCZNY
M.ST. WARSZAWY
TADEUSZ SŁOBODZIANEK
„FATALISTA. SINGEROWSKA
HISTORIA W V AKTACH”
REŻYSERIA: WOJCIECH URBAŃSKI
PREMIERA: 13 LUTEGO 2021 R.
W RAMACH FESTIWALU
KONFRONTACJE TEATRALNE
W LUBLINIE**



Filharmonia
Narodowa

1901

2021

**Sezon jubileuszowy
2021 / 2022**

Dyrektor Artystyczny
Andrzej Boreyko



1901

2021

120!



120 lat
Filharmonii
Narodowej

© 2021 Filharmonia Narodowa

Filharmonia
Narodowa

Jubileuszowa płyta Filharmonii Narodowej

Chopin / Szymanowski / Panufnik / Lutosławski / Górecki / Penderecki
Orkiestra i Chór Filharmonii Narodowej
Rowicki / Wodiczko / Kord / Wit / Wojnarowski / Kasprzyk / Boreyko

Przez polskie życie publiczne przetacza się kolejna fala wulgaryzacji dyskursu opozycji oraz wspierających ją środowisk medialno-artystycznych. – Ci, co tak mówią, chyba mają rację. Pięć gwiazdek, trzy gwiazdki i Konfederację – grzmiał Krzysztof Zalewski na gali rozdania polskich nagród branży muzycznej Fryderyki 2021. Jego słowa spotkały się z gromkim aplauzem zgromadzonej na sali artystycznej elity kraju.

Zalewski odwoływał się do tzw. Ruchu Ośmiu Gwiazd – akcji środowisk antypisowskich, którą spopularyzował teledysk Taco Hemingwaya opublikowany na krótko przed drugą turą wyborów prezydenckich w 2020 r. Wulgarnie hasło „***** ****” (czyli „je.ać PiS”) było kolportowane i rozpowszechniane już podczas ciszy wyborczej przez przeciwników Andrzeja Dudy – Tomasza Lisa, Wojciecha Sadurskiego, Renatę Grochał, Wojciecha Czuchnowskiego, Władysława Frasyniuka, Dariusza Szczotkowskiego, Agnieszkę Pomaskę, Cezarego Tomczyka i wielu, wielu innych.

To hasło całkiem niedawno powróciło na słynnym „festiwalu miłości” Pol’and’Rock, który firmuje Jerzy Owsiak. Polskę obiegły wówczas nagrania z koncertu duetu Łona & Weber, podczas którego część zgromadzonej publiczności, dyrygowana przez artystę, krzyczała za muzykami „Je..ć”, podczas gdy druga połowa zebranych odpowiadała „PiS”. W sprawie interwencji związany z rządzącą partią wojewoda zachodniopomorski Zbigniew Bogucki, który zasugerował organizatorowi, by ten wpłynął na tłum swoim autorytetem, aby takie sytuacje się nie powtarzały. – To my, WOŚP, ten festiwal tworzymy. Nie pan będzie mówił, o czym mają śpiewać artyści i co będzie krzyczeć publiczność – krzyczała ze sceny Owsiak.

Jednak apogeum najnowszej odsłony schamienia obserwowaliśmy w sierpniu, gdy na Pawła Kukiza wylała się niespytana wręcz fala hejtu po tym, jak ten ośmielił się zagłosować, wbrew żądaniom opozycji, za nowelizacją ustawy medialnej. – Paweł Kukiz jest albo kompletnym durniem, który nie rozumie, co się dzieje, albo sprzedaną szmatą – stwierdził Radosław Sikorski w rozmowie z Moniką Olejnik. To była zaledwie jedna z dosłownie kilkudziesięciu podobnych wypowiedzi. Zresztą należała do tych łagodniejszych. Dzień po głośnym głosowaniu Platforma Obywatelska wypuściła oficjalny spot poświęcony sprawie. Na nagraniu widzimy „przypadkowych” prze-

Schamienie mitu



Jan Fiedorczuk

Na naszych oczach postępuje nie tylko schamienie opozycji, lecz także przede wszystkim upadek wielkiego mitu, na którym oparto III RP



– Ci, co tak mówią, chyba mają rację. Pięć gwiazdek, trzy gwiazdki i Konfederację – mówił muzyk Krzysztof Zalewski podczas gali Fryderyków 2021. Artystyczna elita kraju zareagowała aplauzem. FOT. KACPER KOŁENDA/REPORTER

chodniów, którzy dzielą się tym, co myślą o postawie Pawła Kukiza. „Robienie w ch. ja”, „skurw...ństwo”, „sprzedajna ku.wa” – takimi wypowiedziami największa partia chwaliła się w swoim filmie.

Postępujące schamienie elit III RP widzieliśmy również przy okazji sporu wokół kryzysu migracyjnego na granicy polsko-białoruskiej. To wtedy w całym morzu wyzwick i kuriozalnych zarzutów przed szeregiem wybiła się wypowiedź Władysława Frasyniuka, który polskich żołnierzy nazwał „śmieciami i psami”. Uwagę zwraca zachowanie Grzegorza Kajdanowicza, dziennikarza TVN prowadzącego rozmowę, który w żaden sposób nie zareagował na skandaliczną wypowiedź. Wpisało się to w szerszą tendencję, bo tak samo wcześniej Olejnik nie reagowała na popisy Sikorskiego, a Owsiak na występ artystów

i tłum tysięcy ludzi krzyczących „je.ać PiS”. Po prostu chamstwo spowszedniało. Rzućcie mięsem stało się normą na salonach. Na tle elit III RP Andrzej Lepper, którego szczytowym osiągnięciem w tej materii było wylewanie gnojówki na ulicę i pokrzykiwanie: „Balczerowicz musi odejść”, jawi się jako prawdziwy książę Kentu.

SPIRALA FRUSTRACJI

Przez lata dzięki wsparciu politycznemu i medialnemu, m.in. przy przemożnym udziale Adama Michnika, elitom III RP udało się wykreować mit „ludzi na poziomie”, czyli autorytetów moralnych, które przewodził narodowi. Nie licząc krótkiego PiS-owskiego interludium w latach 2005–2007, ten świat był de facto niezagrożony. Dlatego też obecnie z każdym kolejnym sondażem pokazują-

cym, jak polskie społeczeństwo popiera rządy Zjednoczonej Prawicy, narastała wśród tychże elit frustracja. Okazało się, że ich czar prysł, a społeczeństwo polskie podejmuje decyzje bez konsultacji z moralnymi autorytetami.

„Jestem zawiedziona Polakami [...]. Połowę kraju zżera nienawiść. Nienawiść zrodzona z kompleksów, braku perspektyw, niedouczenia, nienawiść polska, katolicka” – żaliła się Krystyna Janda w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”. Te słowa padły w październiku 2015 r. i (przynajmniej w porównaniu z późniejszymi enuncjacjami aktorki) były jeszcze w miarę kulturalne, ale to właśnie tutaj znajdujemy załączki chorobliwej frustracji, którą w spotęgowanej formie mogliśmy przez kolejne lata śledzić w wywiadach Lecha Wałęsy, felietonach Zbigniewa Hołdysa, tweetach Tomasza Lisa itd. To rozczarowanie polskim ludem będzie jedynie narastać. Bezsilność popchnie elity do zaprzeczenia własnemu mitowi „ludzi na poziomie”.

O ile ten proces nasilał się przez lata, o tyle swoisty rubikon został przekroczony stosunkowo niedawno – pod koniec 2020 r., gdy polskimi ulicami zawałdął tzw. Strajk Kobiet. To wówczas na czele antypisowskiej rewolucji stanęła już nie Krystyna Janda czy Adam Michnik, lecz Marta Lempart. Nie chodzi o to, że przewodząc proaborcyjnym manifestacjom, nawoływała ona do atakowania kościołów, że protestujący – reprezentujący tę fajną, postępową Polskę – używali wulgaryzmów niczym przecinków. Nie chodzi nawet o to, że Lempart kazała „wypier...ać” połowie polskiej klasy politycznej na czele z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i Szymonem Hołownią. Wszak wulgaryzmy znajdziemy bez trudu i po prawej stronie sceny politycznej. Sednem lempartowego zjawiska, które przesądza o jego wyjątkowości, jest kontekst. Nagle cała polska śmietanka towarzyska bez cienia protestu czy refleksji za swego lidera obrała postać skrajnie prymitywną. Postać, która – odkładając na bok same poglądy – wygląda jak kulminacja wszystkiego, przed czym salon III RP zawsze przestrzegał.

Warto też dodać, że czym innym jest wulgarny frazes pojawiający się na manifestacji prawicy, której zarzuca się od lat populizm, która wyrasta z ludu i w jego imieniu działa, a czym innym, gdy liberalne elity, których zadaniem jest edukowanie „dołów społecznych”, z rozkoszą same taplają się w słownej gnojówce.

Nawet jeżeli nastąpiłoby polityczne trzęsienie ziemi i PiS straciłby władzę, to i tak mit „ludzi na poziomie” upadł bezpowrotnie

W ostatnim roku widzieliśmy, jak intelektualna śmietanka III RP de facto leżała plackiem u stóp patofeministki.

Symbolem tego zjawiska była redakcja „Gazety Wyborczej”, która nie tylko zaangażowała się w protesty Lempart, lecz także przyjęła wręcz z zachwytem jej cały rynsztokowy wokabularz. „Wesprzyj »Wypier...ać«” – agitowała gazeta Michnika, zachęcając do wykupienia prenumeraty (pieniądze miały być przekazane na tzw. Strajk Kobiet). Oczywiście to nie dotyczy się wyłącznie redakcji z Czerskiej. Eliza Michalik na łamach Onetu przekonywała, że „»Wypier...aj« jest znakomitą okrzykiem, trafionym i adekwatnym wobec ludzi, którzy chcą torturować kobiety”, a z kolei OKO.press piórem Michała Danielewskiego twierdziło, że wyraz „wypier...ać!” jest „adekwatnie dobrany do sytuacji i poziomu społecznego gniewu”. Podobnych hołdów było więcej.

Żeby było zabawniej, nawet część kadry akademickiej wiedzioną antypisowską frustracją stawiała na głowie, by lempartowe wulgaryzmy przyoblec w jakiś inteligencki nimb.

Prawdziwym kuriozum był tutaj artykuł Jarosława Płuciennika, profesora zwyczajnego w Katedrze Teorii Literatury Instytutu Kultury Współczesnej Uniwersytetu Łódzkiego, który w „Wyborczej” przekonywał, że wulgaryzmy protestujących to filozofia nowego pokolenia. „»Wypier...ać« daje do myślenia. To nie jest banał i zamach. To prawda życia w opozycji do instytucjonalnego »pieprzenia umysłów« przez propagandę” – pisał wykładowca UŁ. Podobną ekwilibrystyką intelektualną popisała się również choćby Inga Iwasiów, krytyk literacki i profesor nauk humanistycznych z Uniwersytetu Szczecińskiego, która podczas Strajku Kobiet rzuciła mięsem na prawo i lewo niczym Adaś Miauczyński z „Dnia świra”. „To nie są moje słowa, lecz hasła tego strajku, ja je tylko powtórzyłam. Niestety, żałuję, że nie ja je wymyśliłam, bo chciałabym być autorką tak celnej metonimii tego, co się

dzieje obecnie w Polsce” – tłumaczyła z żalem w rozmowie z (a jakże!) „Gazetą Wyborczą”.

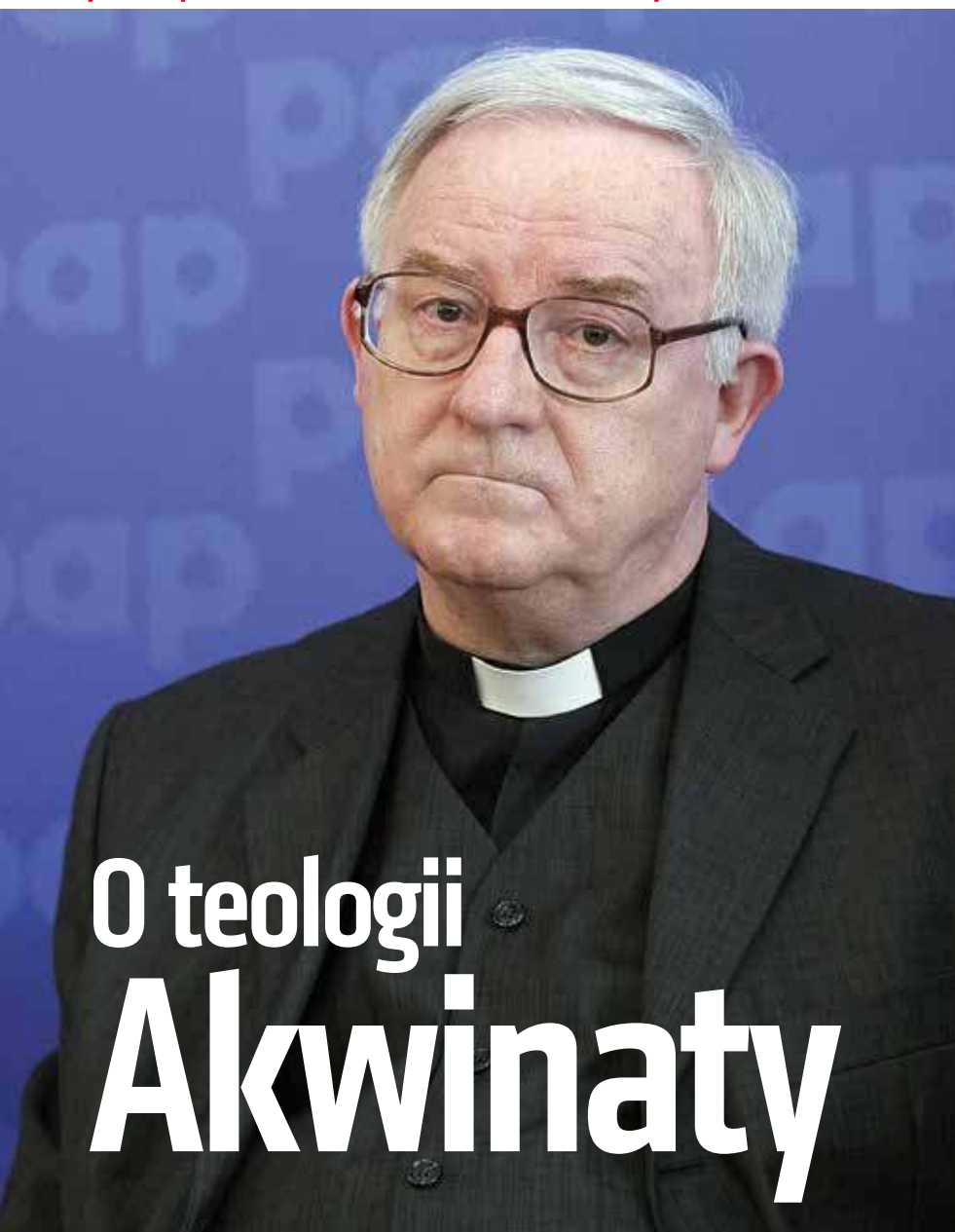
Jednak w rzeczywistości w wulgaryzmach, które padały z ust szacownych redaktorów, wykładowców i polityków, nie ma żadnego drugiego dna. Po prostu elity III RP, które zawsze z wyższością patrzyły na polski lud, pozycjonując się jako lepsze od niego, prowadzone antypisowską frustracją same pozwoliły się upodlić.

UPADEK MITU

W ostatnich latach mit elit – kulturalnych intelektualistów, myślicieli, artystów – który skrupulatnie budowano przez lata, rozsypał się jak domek z kart. Jeżeli, dajmy na to, Krystyna Janda, Agnieszka Holland czy Adam Michnik dysponowali jeszcze jakimkolwiek autorytetem w 2015 r., to dzisiaj nie pozostał po nim nawet ślad. Jedyna publika, która im pozostała, to wciąż pomniejszające się zaplecze lemingów uzależnionych od TVN24.

Nawet jeżeli nastąpiłoby polityczne trzęsienie ziemi i PiS straciłby władzę, to i tak mit „ludzi na poziomie” upadł bezpowrotnie. Wbrew marzeniom Agnieszki Holland frazy „Żeby było, tak jak było” nie sposób urzeczywistnić. Bez względu na ocenę samych zmian, które przetoczyły się przez Polskę w ostatnich latach, ich cofnięcie jest niemożliwe. Krystyna Janda już nigdy nie będzie TĄ Jandą i pozostanie co najwyżej aktorką uzależnioną od państwowych dotacji; Lis będzie już tylko gadającą głową śpiewającą „Sto lat!” Donaldowi Tuszkowi; Michnik pozostanie jedynie szefem antypisowskiej gazety, która w partyjnym zacierzwieniu podryfowała w rejonie ojkofofobii itd. Nad nimi wszystkimi zawisło widmo Marty Lempart, przed którą pokornie zginali karki.

Niegdyś elity III RP dyrygowane przez Adama Michnika faktycznie celowały wysoko, odwołując się jak nie do Czesława Miłosza czy Jerzego Giedroycia, to do ks. Józefa Tischnera, Leszka Kołakowskiego bądź też Bronisława Geremka. Nawet jeżeli ich dziedzictwo było przefiltrowane, tak by pasowało do aktualnej narracji, to przynajmniej istniał jakiś mit środowiska, które wielu Polakom autentycznie imponowało. Obecnie jednak Geremka zastąpiła Lempart, Kołakowski musiał ustąpić miejsca Jachirze, ks. Lemański okazał się ciekawszy od ks. Tischnera. Z mitu „ludzi na poziomie” już nic nie zostało.



O teologii Akwinaty



ks. Przemysław Artemiuk

Dominikanin o. Jacek Salij po mistrzowsku odsłania sposób argumentacji Akwinaty, trafnie dobiera cytaty, wiernie podąża za Tomaszową myślą

Trudno wyobrazić sobie polską teologię bez o. Jacka Salija. Dominikanin ten, przez całe lata związany z warszawską Akademią Teologii Katolickiej, a potem z Uniwersytetem Kardynała Stefana Wyszyńskiego, upra-

wiał ją systematycznie i na najwyższym poziomie akademickim. Szerokiej rzeszy czytelników dał się poznać jako erudyta i znakomity publicysta, przedstawiający nawet najbardziej zawiłe kwestie teologiczne w jasny i przystępny sposób na łamach dominikańskiego miesięcznika „W Drodze”. Dzisiaj powraca ze swoimi tekstami, które ukazują się w serii dzieł wybranych.

Właśnie otrzymujemy drugi tom pism o. Salija, poświęcony św. Tomaszowi z Akwinu. Akwinata, obok św. Augustyna, należy do najczęściej przywoływanych autorytetów przez polskiego dominikanina. Studia jemu poświęcone dotyczą teologii średniowiecznego mistrza. Ojciec Salij pragnie tę stronę spuścizny Akwina-

ty przybliżyć. Jest bowiem przekonany, że wielkość teologiczna św. Tomasza „wciąż jeszcze czeka na odkrycie”. Nie rości sobie jednak prawa do wyłączności. Ma bowiem świadomość, że twórczość teologiczna św. Tomasza jest ogromna i wielowątkowa. Trudno, by jedna praca, nawet tak obszerna, jak właśnie opublikowany tom, tę lukę wypełniła. Ojciec Salij ufa jednak, że teksty zawarte w tym zbiorze pomogą czytelnikom dostrzec, jakie skarby teologiczne zawiera myśl Akwinaty, oraz zostaną odebrane jako imperatyw do poważnego potraktowania teologii św. Tomasza, na którą mistrz z pewnością zasługuje.

Publikowany zbiór pism o. Salija zawiera teksty z lat 1980–1993. Większość z nich została w całości poświęcona teologii św. Tomasza, pozostałe traktują myśl Akwinaty jako podstawę rozważań i horyzont uzasadnienia. Całość tomu redaktorzy podzielili na cztery części (I – Eseje tomistyczne; II – Teologia; III – Bóg, kochający Stwórcą; IV – Człowiek i nasze zmierzanie do celu), prowadzące czytelnika od tajemnicy Boga do tajemnicy człowieka.

TOMISTYCZNE ŚCIEŻKI

W każdym z 11 tekstów części pierwszej o. Salij zajmuje się wybranym motywem z teologii św. Tomasza. Wśród podjętych tematów dominują kwestie wiary i zbawienia. Obok nich pojawiają się zagadnienia dobra, mądrości i głępoty, początku i końca świata, władzy i prawa. Każdy z esejów stanowi małą monografię podejmowanej kwestii.

Dominikanin po mistrzowsku odsłania sposób argumentacji Akwinaty, trafnie dobiera cytaty, wiernie podąża za Tomaszową myślą. Już w tej części dzieła widać wyraźnie oryginalność i wielkość średniowiecznego mistrza. Zwróć uwagę na kilka wybranych wątków pojawiających się w esejach.

Zacznę od Tomaszowej koncepcji mądrości. Akwinata przytacza za Arystotelesem jej podstawową definicję. Przez mądrość rozumie „poznanie w świetle najgłębszych przyczyn”. Tej definicji towarzyszy wyjaśniający komentarz Tomasza, zawarty w sześciu punktach, który kieruje myśl czytelnika ku Bogu, bez przywoływania Go. Mądrość, po pierwsze, obejmuje całą rzeczywistość. Po drugie, jest ona umiejętnością pokonywania trudności w poznaniu najgłębszych korzeni rzeczywistości. Po trzecie, „trud zdobywania mą-

FOT. KRZYSZTOF KUCZYŃSKI/FOCUS



O. JACEK SALIJ
„DZIEŁA
WYBRANE. TOM II.
ŚW. TOMASZ
Z AKWINU”
TEOLOGIA
POLITYCZNA 2021

drości bardzo się opłaca, daje ona bowiem pewność”. Po czwarte, „mądrość promieniuje na innych”, co oznacza, że „o tyle ktoś może nauczać innych, o ile sam rozumie to, czego chce innych nauczyć”. Po piąte, „mądrości szuka się dla niej samej”. I po szóste, „cechą mądrości jest porządek”, który przejawia się „zarówno w myśleniu, jak i w działaniu oraz w ogóle w całej życiowej postawie człowieka”. Arystotelesowską definicję mądrości (mądrość jako poznanie w świetle najgłębszych przyczyn) Tomasz stosował zamiennie z koncepcją augustiańską zawartą w traktacie „O Trójcy Świętej”. Według Augustyna „mądrość jest to poznanie tego, co Boskie”. Tomasz tę ideę podjął i rozwinął. Zdaniem Akwinaty każdy człowiek może uczestniczyć w Bożej mądrości, nawet niewierzący. Jednak „mądrość bez wiary sprowadza się jedynie do rozpoznania ostatecznych wymiarów rzeczywistości”. Dopiero wiara „daje początek takiej mądrości, która rzeczywiście przybliża do Boga”. Najwyższym stopniem uczestnictwa w Bożej mądrości, dokonującym się przez działanie Ducha Świętego, jest „pewna współnaturalność człowieka z Bogiem, a więc wszczepienie przez łaskę w Bożą naturę”.

Pytanie o wiarę zdaje się być kluczowe dla tej części zbioru pism Salija. Zdaniem dominikanina Tomasz przesuwając kwestię wiary z przestrzeni psychologicznej i antropologicznej i sytuując ją w perspektywie ontologicznej i teocentrycznej. Akwinata „nie szuka w naturze ludzkiej poczucia egzystencjalnego dyskomfortu, które domaga się wiary. Wiara nie jest też dla niego decyzją światopoglądową, za pomocą której człowiek usiłuje głębiej się rozeznaczyć w otaczającym go świecie oraz rozpoznać ostateczny sens swojego życia”. Tomasz, co jasno podkreśla o. Salij, „mówi nie tyle o potrzebie wiary, ile o potrzebie poznania Boga”. Człowiek, dostrzegając skutek, w sposób naturalny pyta o przyczynę. Pragnie przy tym wiedzieć nie tylko to, co cząstkowe, lecz także jakąś nadrzędną, uniwersalną przyczynę istnienia wszystkiego. Stąd się bierze, zdaniem Tomasza, potrzeba szukania Boga. Rodzi się z naturalnego pragnienia „poznania powszechnej i ostatecznej przyczyny całej rzeczywistości”. Przekracza to jednak możliwości ludzkiej natury, ponieważ Boga można poznać tylko poprzez zjednoczenie się z Nim. „Krótko mówiąc – wyjaśnia myśl Akwinaty o. Salij – wszechogarniające nas pragnienie poznania Boga świadczy o niesamowitym wręcz zamiśle miłości

Bożej względem nas, mianowicie zamiśle wyprowadzenia nas ponad status stworzeń i uczynienia niejako bogami, realnymi uczestnikami Bożej natury. Jasne więc, że zrealizowanie aż tak wielkiego zamiślu metafizycznego przekracza możliwości ludzkiej natury i możliwe jest tylko dzięki nadnaturalnemu darowi Boga”. Na ziemi nie jest możliwe absolutne zjednoczenie człowieka z Bogiem. Dokona się ono, zgodnie ze słowami Pisma Świętego (1 Kor 13,12), przez oglądanie Boga twarzą w twarz, dopiero w przyszłości. Tutaj zaś zostaje nam wiara, będąca załącznikiem życia wiecznego. Tomasz definiuje ją jako „sprawność duchową, mocą której rozpoczyna się w nas życie wieczne, a która czyni nasz umysł przylegającym do tego, co nieoczywiste”. Taka perspektywa w spojrzeniu na wiarę dominuje w myśli Akwinaty. Oczywiście w jego pismach pojawiają się doktrynalne dystynkcje dotyczące wiary: „wierzę, że jest Bóg”; „wierzę Bogu” i „wierzę w Boga”, będące stopniami na drodze zjednoczenia człowieka z Bogiem i przejścia od tego, co naturalne, do tego, co nadprzyrodzone. W myśli Tomaszowej dominuje jednak, nazwałbym ją, eschatologiczna perspektywa: „wiarą obejmujemy przede wszystkim to, co bezpośrednio zwraca nas do życia wiecznego” i „pierwoszorędnym przedmiotem wiary jest to, dzięki czemu człowiek zbliża się do szczęścia wiecznego”.

TOŻSAMOŚĆ TEOLOGII

Ojciec Salij zajmuje się nią w drugiej części tomu. Rozpoczyna od istotnego wprowadzenia, stanowiącego swoiste wyznanie wiary. „Teologia – stwierdza dominikanin – jest to wiedza o Bogu. Otóż jest tylko jeden Teolog w pełnym tego wyrazu znaczeniu. Jest nim Ten, o którym czytamy w Ewangeliach, że »nikt nie zna Ojca, tylko Syn, i ten, komu Syn zechce objawić« (Mt 11,27). Owszem, zwyczajny chrześcijanin może być teologiem, ale tylko poprzez uczestnictwo w tej znajomości przedwiecznego Ojca, jaką ma Jego Syn, Jezus Chrystus”.

Jak rozpoznać autentycznego teologa? Ojciec Salij proponuje trzy kryteria. Po pierwsze – wyjaśnia – „niech sobie psychologowie komentują to, jak chcą, niech widzą we mnie epigona cywilizacji strachu, ale ja to po prostu wiem – że na Sądzie nie będę ocalony, jeśli Pan się nade

mną nie zmiłuje”. Chodzi zatem o przyłożenie do teologicznej pracy Jezusowej miary. Zdaniem dominikanina teolog ma się starać o to, by uprawiana przez niego nauka była zakorzeniona w jego osobistej wierze i modlitwie oraz by ją wykonywał w „postawie posłuszeństwa i służby”. Po drugie, autentyczna teologia winna polegać na „naśladowaniu Pana Jezusa w tym, że On własnej nauki nie głosił”. Oznacza to, że teolog ma wsłuchiwać się nieustannie w wiarę Kościoła. Według o. Salija

nie ma miejsca dla teologii, która sytuowałaby się obok Kościoła czy też wbrew Kościołowi. Po trzecie, zadaniem teologa jest przyczynianie się do zmniejszenia cienia, którym naznaczona jest Matka Kościół. To wyrażenie oznacza po prostu grzech, będący udziałem wszystkich wierzącym, także teologów.

WOBEK SKANDALU ZŁA

W trzeciej części tomu o. Salij wielokrotnie wraca do tej kwestii. Zestawia ją z tajemnicą Bożej Opatrzności i szuka wraz z Tomaszem odpowiedzi. Sięga do Biblii i tradycji Kościoła. Podkreśla za Tomaszem, że „źródłem zła jest wolna wola stworzeń rozumnych”. I uzasadnia to w następujący sposób: „Owszem, mógłby Bóg nie dopuścić do tego, żebyśmy czynili zło. Po prostu mógłby nas nie wzywać do miłości; innymi słowy, mógłby nas nie stwarzać osobami, czyli istotami, z których wnętrza może płynąć miłość, dobrowolnie przez nas wybrana. Skoro jednak uzdolnił nas do wybrania miłości, to tym samym uzdolnił nas do tego, żebyśmy jej nie wybrali”. I dodaje za św. Augustynem: „Nie dlatego Bóg dopuszcza zło, że nie jest wszechmogący albo że nas nie kocha, ale dlatego, że jest tak dosłownie wszechmogący i tak naprawdę nas kocha, iż dopuszcza zło, ma moc – bez ograniczania naszej wolności – wyprowadzić z niego dobro”.

Pisma o. Salija to dla teologów lektura obowiązkowa. Dla zainteresowanych myślą św. Tomasza fascynująca podróż w świat średniowiecznych dysput, jakże dzisiaj aktualnych. Dla wszystkich czytelników spotkanie z teologią najwyższej próby, za którą stoi głębia wiary warszawskiego dominikanina.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest teologiem fundamentalnym, adiunktem na Wydziale Teologicznym UKSW, przewodniczącym Stowarzyszenia Teologów Fundamentalnych.

Kto przyjechał mordować w Jedwabnem?



Marek Kamiński

Wszystko wskazuje na to, że pogrom w Jedwabnem starannie zaplanowano i przywieziono tam furmankami „wykonawców”, którzy udawali Polaków

Kto mordował Żydów? – pyta w swojej książce Jan Tomasz Gross tytułem rozdziału. Po czym udziela następującej odpowiedzi: „W dokumentacji, którą dysponujemy, znajdują się wedle mego rachunku 92 nazwiska (w większości opatrzone

adresami) osób, które brały udział w pogromie jedwabieńskich Żydów. Nie sądzę, aby ich wszystkich należało uznać za morderców – co najmniej dziewięciu przecież sąd uniewinnił od stawianych zarzutów”.

Wątpliwości – i to zasadnicze – budzi jednoznaczne zakwalifikowanie przez J.T. Grossa 92 osób napotkanych w dokumentacji jako tych, „które brały udział w pogromie jedwabieńskich Żydów”. Przymilne zastrzeżenie – „Nie sądzę, aby ich wszystkich należało uznać za morderców – co najmniej dziewięciu przecież sąd uniewinnił od stawianych zarzutów” – inkryminację tę tylko pogłębia, obarczając kompletnie niewinnych ludzi zarzutem uczestnictwa w niewyobrażalnej zbrodni. Oskarżenie przez Grossa

o udział w pogromie wymienionych z nazwiska 92 osób zasadniczo różni się od szacunkowej konkluzji IPN-owskiego dochodzenia: „Wykonawcami zbrodni, jako sprawcy sensu stricto, byli polscy mieszkańcy Jedwabnego i okolic – mężczyźni w liczbie około 40”.

Dlatego też postanowiłem przyjrzeć się temu aspektowi tragedii, poczynając od przybliżonego ustalenia liczebności obu wymienionych przez IPN grup sprawczych, tzn. mieszkańców Jedwabnego i tych z „okolic”.

Nawet powierzchowne przejrzanie wspomnianych akt jednoznacznie pokazuje, że każdy z 34 mężczyzn wskazanych w wyniku postępowań śledczych z lat 1949 i 1953 jako „współsprawcy zbrodni” mieszkał w lipcu



Niemcy na rynku w Jedwabnem, 1941 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

1941 r. w Jedwabnem. Jeśli zaś chodzi o świadków, to spośród 56 wezwanych do sądu w 1949 r. wszyscy, z wyjątkiem bodajże trzech, też byli mieszkańcami miasteczka. Natomiast w pierwszym procesie Józefa Sobuty w 1953 r. z 26 powołanych świadków tylko dwóch jako miejsce zamieszkania podało położone dziś na Mazurach, a wtedy w III Rzeszy wsie, ale żaden z nich nie był 10 lipca w Jedwabnem. Trzeci, krawiec Władysław Wiśniewski, który jako miejsce zamieszkania podał Łomżę, w lipcu 1941 r. z pewnością mieszkał w Jedwabnem. Był on dobrym znajomym moich rodziców i właśnie od niego trzy lata później kupili oni dom przy ul. Farnej w Łomży.

Ponieważ wszyscy świadkowie i oskarżeni byli mieszkańcami Jedwab-

nego, przypisanie pojedynczym osobnikom bądź grupie „pochodzenia z okolicy” nie jest stwierdzeniem faktu, ale domniemaniem wynikającym z nierozpoznania tych ludzi. Natomiast to, że żadna z cytowanych w postanowieniu osób nie wspomniała o znanych tylko z widzenia sprawcach czy uczestnikach, podnosi ten pozornie nieistotny szczegół do rangi potencjalnego świadectwa.

Przecież mieszkańcy Jedwabnego i okolic stanowili w dużym stopniu jedną społeczność. Młodzi chodzili do tej samej szkoły w Jedwabnem, natomiast praktycznie wszyscy pozostali, choć nie równocześnie, spotykali się na niedzielnej mszy, odpuscie i innych kościelnych uroczystościach, nie mówiąc już o cotygodniowym targu. Do tego dochodzą regularne wiejskie zabawy, pogrzeby, chrzciny i wesela. W sumie przesłuchano 101 osób: świadkowie – 56 w 1949 r. i 26 w 1953 r., w tym cztery powtórzenia – razem 78; skazani – 12; uniewinnieni – 11. Owo nierozpoznanie nikogo jako mieszkańca okolicznej wsi przez żadnego z przesłuchiowanych jest tak niezrozumiałe, że wymusza próbę wyjaśnienia.

CHŁOPI I SZNUR FURMANEK Z RADZIŁOWA

Poprzedzający Jedwabne pogrom w Radziłowie rozpoczął się 7 lipca w poniedziałek i trwał trzy dni, czyli do środy wieczorem, która to w Jedwabnem była dniem targowym. To pogromowe niewykorzystanie optymalnej pod względem masowego udziału okolicznej ludności targowej środy zastanawia, ale tylko w przypadku bezkrytycznego uznania sprawczej roli miejscowych Polaków. Wyłącznie z tej perspektywy jedynym sposobem przeprowadzenia pogromu jest żywiołowa rzeź, sama przez się mobilizująca obecne na targu jedwabieńskie i okoliczne chłopstwo. Na tej samej zasadzie wybór czwartku oznacza, że rzeczywistym sprawcom zbrodni spontaniczny udział „okolicznej ludności” był zdecydowanie nie na rękę. Że mieli oni swój własny plan.

Próbę rozszyfrowania tego planu zaczniemy od przytoczenia świadectw opisujących owych „chłopów z okolicznych wsi”.



MAREK KAMIŃSKI
„ZAMIAST
EKSHUMACJI”
PROHIBITA 2021

Władysław Misiura:

... i wielu także było chłopów ze wsi, których nie znam. Byli to przeważnie młodzieńcy, którzy cieszyli się łapanką i znęcali się nad ludnością żydowską.

Roman Górski:

... przyszedł do mnie Karolak Marian, który był burmistrzem, i zandarm niemiecki, który mnie kopnął, i zabrali mnie na rynek m. Jedwabnego, gdzie kazali mi pilnować wraz z kilkoma chłopcami w wieku 16 i 17 lat pochodzącymi ze wsi...

Świadek J.K.:

Ludność żydowska była prowadzona przez młodych mężczyzn, jak określiła „podrostków, smarkaterię”. Niektórzy z nich mieli kije w rękach. Świadek nie widział natomiast, aby wśród konwojentów byli dorośli Polacy czy umundurowani Niemcy.

Aleksander Jankowski:

Po tym całym zakończeniu [spalenie – przyp. M.K.] ludność poszła do domu. W tym marszu było dużo ludzi mi nieznajomych.

Feliks Tarnacki:

[...] burmistrz Karolak [...] wraz z gestapowcem wypędzili mnie na rynek, gdzie było już dużo zebranych mieszkańców Jedwabnego i z innych stron, których nie znam.

Świadek K.K.:

Ludzie szli spokojnie konwojowani przez cywili. Na żerdziach niesiono popiersie z rozbitego pomnika Lenina. Świadek zauważyła kilku, jak określiła, chłopców trzymających w rękach kije.

R. Ignatiew:

E.Z. widziała Niemców w mundurach oraz cywili, którzy nie wyglądali na miejscowych [tzn. nie wyglądali również na okolicznych chłopów – przyp. M.K.].

Z przytoczonych powyżej zeznań pięć określa nieznanych (inaczej wymieniano by ich po nazwisku) najbardziej zaangażowanych i najbardziej rzucających się w oczy sprawców jako: młodzieńcy, 16-, 17-latkowie, podrostki i smarkateria. Natomiast średnia wieku 23 oskarżonych w procesach z lat 1949 i 1953, obliczona według roku urodzenia, w roku 1941 wynosiła 36 lat! Jedynym nastolatkiem był 19-letni, wszystkim znany Jerzy Laudański. Dwaj inni też znani nastoletni uczestnicy to Jerzy Niebrzydowski, który uciekł „na angielską stronę” i nieżyjący Eugeniusz Kalinowski. To wszystko. Tak więc skład się wzięli ci smarkaczki i te podrostki entuzjastycznie wyżywające się w znęcaniu nad jedwabieńskimi Żydami?

Skoro wiemy, jak ci sprawcy w przybliżeniu wyglądali, następne pytanie

brzmi, jak i kiedy się oni w Jedwabnem pojawili. Według Awigdora Kochawa, uznanego przez IPN za wiarygodnego świadka, zjechali oni do Jedwabnego furmankami w czwartek o świcie.

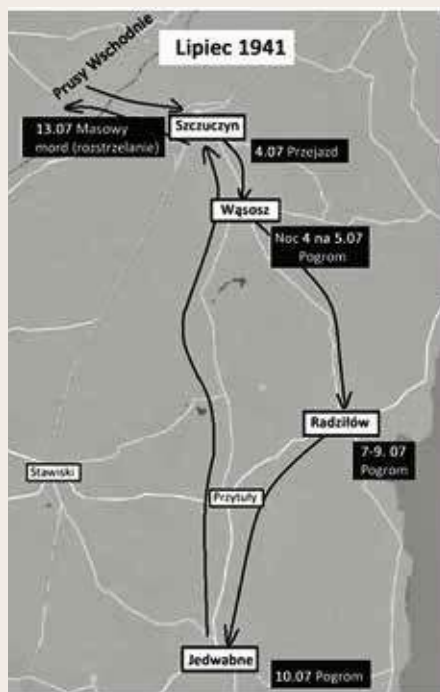
Dla każdego choć powierzchownie obznajomionego z ówczesną tamtejszą wiejską obyczajowością młodzi mężczyźni z okolicznych wiosek wlokący się rankiem na pogrom po polnych drogach furmankami na żelaznych obręczach to oczywista niedorzeczność. Nie znaczy to jednak, że świadek zmyślał. Ale o tym za chwilę.

Przed wszystkim żaden ojciec synowi czy synom furmanki i konia na tego rodzaju wycieczki by nie użyczył, nie mówiąc o zwolnieniu z pracy w polu. A był to czas, kiedy wola ojca było prawem.

Pomijając kwestię ojcowskiego autorytetu i zapotrzebowanie w polu na każdą parę rąk, wtedy podstawowym środkiem komunikacji – nie tylko wiejskiej kawalerki, lecz także wszystkich sprawnych mężczyzn – był rower. Zwłaszcza ci młodszy mieli do niego stosunek porównywalny z obecną fascynacją samochodem czy motocyklem. Nowe rowery były stosunkowo drogie, ale pod koniec epoki nabierało się wystarczająco dużo używanych, by większość wiejskich rodzin mogła sobie nań pozwolić.

Rowerami jeżdżono nie tylko do kościoła, na zabawy, odwiedziny czy w konkury, lecz także by oszczędzić czas i konie do roboty w polu. Z kosą, grabiami czy widłami przytroczonymi do ramy. Skoro mowa o widłach, to nie zapominajmy, że byłyby one też naturalnym, żeby nie rzec – tradycyjnym, wiejskim narzędziem pogromowym. A tych jakoś nikt 10 lipca nie zauważył. Poza tym jazda furmanką, kiedy można jechać rowerem, to dla sprawnego mężczyzny byłby zwykły obciąż. W przypadku braku roweru kilkukilometrowe odległości dzielące daną wieś od Jedwabnego młody mężczyzna pokonałby w godzinę czy półtorej pieszo, a nie, nie dość, że obciąż, to jeszcze nieporęczną furą.

I tu kluczowe zastrzeżenie. W tamtej rzeczywistości niepraktyczna, żeby nie powiedzieć – obciąż, jazda furmankami jest wykluczona, ale tylko w przypadku obecnie przyjętej wersji, że byłoby to spontaniczny zjazd mężczyzn z kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu okolicznych wiosek. Równocześnie oczywiste jest, że nawet furmankami zjeżdżaliby się na miejsce zbrodni pojedynczo, każdy o innym czasie i z innego kierunku. Moż-



Trasa udającej Polaków Einsatzgruppe w lipcu 1941. (termin „pogrom” jest tu skrótem myślowym zbiorowego mordu pozorującego ten typ antyżydowskiego zajścia) FOT. WYDAWNICTWO PROHIBITA

liwość tę jednoznacznie wyklucza pełna wersja wspomnianej obserwacji Awigdora Kochawa.

Radosław Ignatiew:

Awigdor Kochaw postanowił ukryć się na polu. Dwaj kuzyni Pecynowicz zadecydowali, że będą mu towarzyszyć. Około północy wspólnie opuścili dom i ukryli się w zbożu rosnącym na niedalekim wzgórzu. Można było stamtąd obserwować domy Pecynowiczów, młyn i drogę z Radziłowa. O świcie świadek zauważył sznur furmanek, które zmierzały do Jedwabnego. Po krótkim czasie usłyszał odgłos tłuczenia szyb i ludzkie krzyki. W tym czasie nadal widział furmanki jadące do miasteczka.

Zwartą kolumną, drogą z Radziłowa, o świcie już na miejscu. 10 lipca słońce wschodzi o godz. 4.12. Tak więc ludzie ci musieli wyjechać z Radziłowa przed drugą. Tak nie zjeżdżają się spontanicznie na pogrom okoliczne wiejskie lumpy. Tak niecałe trzy tygodnie wcześniej rozpoczęła się operacja „Barbarossa”.

ODJAZD

Kolejnym cennym aspektem świadectwa Adwigora Kochawa jest to, że obok czasu i kierunku jazdy przybyszów daje ono też pojęcie co do ich liczebności. Zawiera się to w określeniu „sznur furmanek”. Żeby sprawić takie wrażenie, musiało tych furmanek być co najmniej pięć. Każdą mniejszą liczbę ten bystry i wyraźnie inteligentny świadek by

automatycznie policzył. Jedną furmanką może podróżować spokojnie od sześciu do ośmiu osób. A tych było tyle, że dojeżdżały do miasteczka już po rozpoczęciu pogromu. Tak więc według najostrożniejszej oceny musiało tam jechać co najmniej 40 mężczyzn. Natomiast bardziej bezpośrednim świadectwem stanu osobowego tej grupy jest zeznanie Julii Sokołowskiej. Pracowała ona jako kucharka na posterunku jedwabieńskiej żandarmerii. W czasie procesu w 1949 r. zeznała, że w dniu pogromu nakazano jej przygotowanie posiłku dla 68 osób, co musiało być dla niej nie lada wyzwaniem, zwłaszcza że dysponowała zwykłą kuchnią. Wprawdzie twierdziła, że posiłki te były dla żandarmów, ale musiała to być jej własna interpretacja przyczyn tego niecodziennego polecenia. W końcu żandarmi nie mieli zwyczaju tłumaczyć się przed kucharkami ze swoich planów. Naturalnie musiał być to prosty „polowy” posiłek w rodzaju ziemniaków z konserwowym mięsem, przygotowywany porcjami i zanoszony czekającym w dyskretnym miejscu konsumentom, którymi nie mogli być żandarmi, bo tychże by natychmiast odnotowano.

Jeszcze raz podkreślam, że moja powyższa wycena liczebności przyjezdnych jest najostrożniejszą, jaką rozsądnie można na podstawie świadectwa Awigora Kochawa sformułować. Bardziej prawdopodobna liczba furmanek mogąc w nim wywołać wrażenie sznura to ok. 10. Na każdej sześciu–ośmiu mężczyzn. Do tego 8–12 żandarmów i rachunek się zgadza.

Opisany przez świadka przyjazd sprawców zwartą kolumną furmanek, w trakcie którego rozległy się ludzkie krzyki, można by było odrzucić jako wynik młodzieńczej wyobraźni, gdyby nie podobna obserwacja dokonana jeszcze tego samego dnia po południu.

Radosław Ignatiew:

Świadek [Awigdor Kochaw – przyp. M.K.] ukrywając się w zbożu, słyszał odgłosy bicia schwytanych ludzi. [...] Słyszał ponadto odgłosy wozów jadących od strony miasteczka i zauważył dym od strony, gdzie stała stodoła.

W powyższym świadectwie zwraca uwagę jeśli nie równocześnie, to wyrażona czasowa bliskość usłyszenia odgłosów wozów opuszczających Jedwabne i zauważenia dymu z płonącej stodoły. A że ukrywając się w zbożu, Kochaw miał naturalnie wyostrzoną uwagę na bliższe i dalsze otoczenie, ten dym w pogodny letni dzień musiał zostać zauważony

w ciągu najwyżej 30 minut od wybuchu pożaru. Jeśli zaś chodzi o „odgłos jadących wozów”, to aby pozostawić tak silny ślad pamięciowy, turkot ten musiał być przeciągły i dobiegać z jednego kierunku. A taki wywołać może wyłącznie opuszczający miasteczko brukowaną ulicą sznur furmanek.

Równocześnie można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że popołudniowe spostrzeżenia A. Kochawa dokonane zostały mniej więcej z tego samego miejsca co poranne, lecz tym razem priorytetem było ukrycie się, a nie obserwacja. Dlatego świadek już tylko słyszał turkot furmanek, które musiały odjeżdżać tą samą drogą, którą przyjechały. Ciekawe, że świadek określa ją jako drogę z Radziłowa, bo tak musiała ona funkcjonować w świadomości jedwabieńskich Żydów – prowadząca do najbliższej żydowskiej społeczności. Dla polskich mieszkańców Jedwabnego jest to droga na Przytuły, a dopiero potem na Radziłów i Wąsosz. Przynajmniej w ten sposób pokierowali mnie miejscowi, gdy w październiku 2020 r. przemierzałem „szlak pogromowy z lipca 1941 r.”.

Uderzające podobieństwo opisów porannego i popołudniowego furmankowych migracji jest zdecydowanie nieprzypadkowe. Wskazuje ono na szczegółowo zaplanowaną i precyzyjnie wyegzekwowaną operację, na którą sprawcy dyskretnie przyjechali o świcie, zrobili swoje i równie niepostrzeżenie czym prędzej wyjechali, tak by nikt nie zdążył się im dokładnie przyjrzeć, nie mówiąc o zadawaniu kłopotliwych pytań.

Tak czy inaczej furmankami tymi w żaden sposób nie mogli podróżować okoliczni awanturnicy. Ci przez jakiś czas delektowali się swoim wyczynem, bo to przecież nie z przymusu, ale dla rozładowania morderczych pragnień urządziłby ten pogrom. Równocześnie w tego typu sytuacjach popełniona zbrodnia często pozostawia krwawy niedosyt. Tak więc gdy po kilkunastu minutach stało się oczywiste, że spaleni w stodole nie żyją, morderczy amok sprawiły, że przynajmniej część z nich rozbiegłaby się po miasteczku w poszukiwaniu niedobitków. A w przypadku ich niezalezienia, by przynajmniej bezsensownie niszczyć i grabić żydowskiego mienia, zamienić je na bimber i urządzić triumfalną libację. A tu zamiast niekontrolowanej rządy krwi, gwałtu, rabunku i alkoholowego upojenia – natychmiastowe opuszczenie

miasteczka z zachowaniem wręcz wojskowej dyscypliny.

EFEMERYCZNE ODDZIAŁY Z PRUS WSCHODNICH

Przypominam, że Jedwabne było uwięzieniem serii trzech masowych pozorujących pogromy mordów. Posuwały się one z północy, czyli od Prus Wschodnich, na południe w zbliżonych odstępach czasowych i geograficznych: 4–5 lipca Wąsosz, 7–9 lipca Radziłów, 10 lipca Jedwabne. Kluczem do zrozumienia tej operacyjnej regularności jest następująca konstatacja Edmunda Dimitrowa w opracowaniu „Oddziały operacyjne” zamieszczonym w „Wokół Jedwabnego”, tom 1:

Szczególnie tajemniczo przedstawia się historia efemerycznych oddziałów z Prus Wschodnich, które zapuszczały się na tereny przygraniczne latem 1941 r., po czym wracały do swoich stałych siedzib.

Dostępne świadectwa jednoznacznie wskazują, że bezpośrednimi sprawcami tej serii pogromów byli członkowie takiego oddziału specjalnego.

W sobotę 5 lipca przed północą podstawowy skład tej Einsatzgruppe przerzucono furmankami z Prus przez Szczuczyn do Wąsosz. W obu tych miasteczkach dołączyli miejscowi zdrajcy. Natychmiast po wąsoskim pogromie grupa ta pojechała do Radziłowa, a potem Jedwabnego i wreszcie do Szczuczyna, gdzie 13 lipca, już bez pogromowych pozorów, zamordowała ok. 100 Żydów.

Równocześnie pragnę podkreślić, że kluczowa rola opisanej tu Einsatzgruppe nie wyklucza przyłączania się lokalnych mieszkańców do opisanych operacji. Z tym że o ile sam ich udział nie podlega wątpliwości, o tyle zakres tego udziału okazuje się nie być, nawet w przybliżeniu, tak znaczący, jak dotychczas zakładano.

Wspomnienie ks. Edwarda Orłowskiego z rozmów z ks. Józefem Kęblińskim, wikariuszem jedwabieńskiej parafii św. Jakuba Apostoła w latach 1938–1941, a następnie do roku 1945 jej administratorem:

[...] zrobiono to bardzo precyzyjnie, tak mówił ksiądz Kębliński, używając słowa „majstersztyk”. Nie wiedział, skąd pojawiło się wielu ludzi zupełnie mu nieznanymi, a mówiących w języku polskim i niemieckim.

My też nie wiedzieliśmy. Do teraz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ODKRYJ HISTORIĘ NIEZWYKŁYCH BITW POLSKIEGO OREŻA!



Premiera
27 października



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Nieudana wunderwaffe

Jestem wielkim fanem „Vaterlandu” Roberta Harris’a, więc z niecierpliwością czekałem na premierę nowej powieści „V2”. I nie rozczarowałem się! Jak sam tytuł wskazuje, kanwą książki jest niemiecki projekt rakietowy. Ostrzał Londynu przez rakiety V2.

Choć jest to powieść, to Harris przeprowadził bardzo solidny research i zadbął o to, żeby odwzorować realia historyczne. Jednym z głównych bohaterów jest Graf, wybitny niemiecki naukowiec, którego życiowym marzeniem było wystrzelić rakietę na Księżyc. Otworzył przed rasą ludzką bramy kosmosu.

Los chciał inaczej. Zamiast zdobywać Księżyc i uszczęśliwiać ludzkość, Graf zajmuje się czymś zupełnie innym. Zabijaniem ludzi. Wynaleziona przez niego rakietę są bowiem odpalane w stronę brytyjskich miast, gdzie sieją spustoszenie w dzielnicach mieszkalnych.

Graf codziennie musi przeżywać gorycz swojej życiowej porażki i moralnego upadku. Zdaje sobie również sprawę z tego, że jego wynalazek nie jest żadną wunderwaffe i nie może odmienić losów wojny. Upadek Niemiec jest tylko kwestią czasu.

Dlaczego? Bo rakiety V2 są piekielnie drogie. Aby rzucić Wielką Brytanię

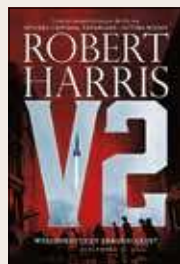
na kolana, trzeba by setek tysięcy takich pocisków. A takiej liczby przemysł III Rzeszy nie był w stanie wyprodukować. Tymczasem Brytyjczycy i Amerykanie przy użyciu znacznie bardziej prymitywnej broni – bombowców – metodycznie obracali w gruzy niemieckie miasta.

Wbrew obiegu opinii bombowiec był bowiem znacznie groźniejszą i wydajniejszą bronią niż V2. Zwykły Lancaster mógł zabrać na pokład sześć ton bomb. – Więc jeśli chodzi o siłę wybuchu – mówił Graf – 12 rakiet wyposażonych w tonowe głowice to odpowiednik bomb przenoszonych zaledwie przez dwa lancastery. A ile bombowców te świnie z RAF wysyłały nocą przeciwko naszym miastom? Tysiąc!

Z tej dysproporcji zdawali sobie również sprawę Anglicy. – Nasze bombowce – mówił brytyjski oficer – zabijają w ciągu jednej nocy 10 razy więcej Niemców niż wszystkie ofiary [V2 – przyp. red.] razem wzięte. Z czysto

wojskowego punktu widzenia te rakiety są cholernie uciążliwe, ale nie stanowią decydującego czynnika w wojnie.

Robert Harris napisał kolejną ciekawą książkę, w mistrzowski sposób mieszając historię z sensacyjną intrygą. ©©



★★★★★
ROBERT HARRIS
„V2”
ALBATROS



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Za króla Olbrachta...

W 1497 r. Polska musiała interweniować zbrojnie w Mołdawii, gdyż bez jej opanowania nie było możliwe usunięcie zagrożenia najazdami Tatarów. Podole było regularnie pustoszone, a zagony koczowników docierały do Kijowa i Krzemieńca. Oddzielnym problemem był gospodarz Mołdawii, Stefan. Zręcznie lawirował on pomiędzy Polską, Węgrami i Turcją, na zmianę uznając zwierzchnictwo tych państw. Nie miał też żadnych sentymentów wobec naszego kraju i gdy nadarzyła się okazja, to najechał Podole i spalił Braclaw.

Król Jan Olbracht zawsze bardziej wierzył w siłę oręża niż dyplomację. Jako jedyny z Jagiellonów (może poza nieszczęsnym Warneńczykiem) uważał, że wroga należy pokonać, a dopiero potem z nim pertraktować. Zdecydował się zatem na wyprawę wojenną, ogłaszając oficjalnie, że jej celem będzie odebranie z rąk Turków portów czarnomorskich.

Ekspedycja była dobrze przygotowana, polskie siły były potężne, posiadano niezłą artylerię, a posiłki przysłali nawet Krzyżacy. Zawiedli natomiast Litwini, obawiający się ataku ze strony Moskwy, i nie związali walką Tatarów, co miało przynieść fatalne skutki.

Gdy polska armia wkroczyła do Mołdawii, okazało się, że przeciwko niej były nie tylko wojska Stefana,

lecz także oddziały tureckie i tatarskie. Posłowie hospodara oficjalnie przekazali Olbrachtowi informację, że ich władca został lennikiem sułtana. Polski król uznał to za zdradę i niebawem dotarł ze swoją armią pod stolicę Mołdawii, Suczawę. Rozpoczęło się oblężenie miasta, ale pomimo trzytygodniowych walk nie przyniosło ono rezultatu.

Jan Olbracht był realistą i zrozumiał, że wyprawa zakończyła się porażką. Teraz liczyło się tylko ograniczenie strat i bezpieczne wyprowadzenie armii z wrogiego kraju. Niestety, podczas odwrotu, 26 października 1497 r. król poniósł dotkliwą porażkę. Maszerujące przez lasy i wąwozy Bukowiny oddziały zostały zaatakowane przez wroga i zginęło ok. 5 tys. ludzi. Wyprawę od całkowitej klęski ocalił kontratak jazdy koronnej, ale utracono połowę taborów. Polska armia z trudem przeprawiła się przez Prut, gdzie dotarło do niej wsparcie w postaci oddziałów litewskich.

Imię Jana Olbrachta jest dzisiaj znane niemal każdemu Polakowi, ale nie w taki sposób, w jaki król by sobie życzył. Pokutuje bowiem powiedzenie, że za jego panowania wyginęła szlachta. Wprawdzie w oryginale mówiono, że „została wyniszczona szlachta”, co brzmiało nieco lepiej, ale – jak wiadomo – popularne powiedzenia żyją swoim życiem nawet wtedy, kiedy nie mają wiele wspólnego z prawdą. ©©

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

**PORUSZAJĄCY WYWIAD
Z WETERANEM SPOD
TOBRUKU**

Aleksander B. Skotnicki – Wizy życia dla Żydów

Piotr Zychowicz – **Polska i Japonia: współpraca wywiadów**

Tomasz Stańczyk – **Sprawiedliwi dyplomaci**

Pierre Servent – **Tajemnica lotu Hessa**

Jacek Bartosiak – **Polska musi być potężna**

Sławomir Koper – **Zagadka śmierci Piastów**

Arkadiusz Karbowski – **Izraelska inwazja na Liban**

Piotr Semka – **Rommel: Lis Pustyni**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



**Z Piotrem Trybalskim, dziennikarzem,
fotografem, autorem książek
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert**

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Zimowe zdobycie przez Polaków najwyższego wierzchołka kuli ziemskiej stanowiło apogeum życia Andrzeja Zawady?

PIOTR TRYBALSKI: Raczej preludium.

Dla niego życie przed Mount Everestem – mimo kilku spektakularnych sukcesów – było rozbiegówką do realizacji pomysłu, którego nikt wcześniej się nie podjął w górach najwyższych. To Zawada miał odwagę, determinację, ale i fantazję graniczącą z nutką ryzyka, żeby na zimowy Everest wysłać wspinaczy. Od tej chwili rozpoczęła się jego droga w kierunku niekwestionowanego eksperta od zimowego himalaizmu, z czasem będzie stawiany na równi z tuzami wspinania pokroju Chrise Boningtona, Johna Hunta czy Maurice'a Herzoga. Kilkanaście lat później lat Reinhold Messner uściśnie mu rękę, gratulując jednego z największych sukcesów w Himalajach.

Czemu ten niekwestionowany sukces wywołał skandal dyplomatyczny?

Nepal miał zobowiązania w stosunku do Agencji Reutera, aby w pierwszej kolejności właśnie ona podawała informacje o sukcesach wspinaczkowych w Himalajach. Zawada o tym wiedział, zapewnił gospodarzy, że tak właśnie się stanie, lecz wiadomość w pierwszej kolejności dostała się do Polski, a dopiero później zyskała wydźwięk globalny. Wynikło to z faktu, że w Nepalu wypadło akurat święto i nie miano komu informacji przekazać. Sprawa zyskała znamiona skandalu, bo dla Nepalczyków zarówno zobowiązanie w stosunku do Reutersa, jak i słowo Zawady były święte. Obrazili się więc na Polaka i nałożyli nań dożywotni zakaz wjazdu do ich kraju. Zawada był już w tym czasie w Polsce, ogrywał w mediach sukces na zimowym Evereście. Lada chwila miał jednak wracać w Himalaje, gdyż w marcu planowano start kolejnej naszej wyprawy, której zadaniem było wytyczenie nowej drogi na Czomolungmę. Niewiele brakowało, a nic by z tego nie wyszło – Nepalczycy cofnęli także pozwolenie na wspinaczkę. Na szczęście ambasador Adam Wawrzyniak wraz z lekarzem wiosennej wyprawy Lechem Korniszewskim perswazją i łapówkami (wręczyli m.in. radiomagnefon) odkręcili całą sprawę. Ale pozwolenie dostaliśmy w takim terminie, że nie było szans na wytyczenie drogi przed początkiem załamania pogody, nadejściem monsunu. I z tym poradził sobie Korniszewski – wysłał himalaistów do

Stworzony do rzeczy wielkich



FOT. FUNDACJA HIMALAJZMU POLSKIEGO IM. ANDRZEJA ZAWADY

bazy bez pozwolenia, wcześniej. Działali nielegalnie, ale dzięki temu udało się zdążyć przed końcem dobrej pogody. Dzięki temu wybiegowi w maju 1980 r. mieliśmy nową polską drogę na Everest.

PRL-owscy władarze wyrażali pretensję, że szczyt osiągnięto 17 lutego 1980 r., a nie dwie doby wcześniej?!

Klub Wysokogórski od lat 50. miniego wieku pogrywał sobie z władzą ludową. Oczywiście było, że aby się wspiąć – a zwłaszcza otrzymywać finansowanie na organizację wypraw – nie należało się wychylać i za bardzo nie komentować otaczającej rzeczywistości. I tak właśnie się działo. Wymyślano nawet „okazje” na organizację wyjść w góry, także w Tatry – rocznice rewolucji, urodzin sowieckich

ideologów. Władza się cieszyła, dawała pieniądze i pozwolenia, a taternicy się wspinali. Gdy w końcu po 1971 r. ruszyliśmy w góry najwyższe, zaczęliśmy „dostarczać” władzy rekordów. To międzynarodowe konkurowanie wpisywało się w propagandę dekady Edwarda Gierka. Gdy cała Polska trzymana była za pysk, alpiniści jeździli zdobywać szczyty: Pamiru, Kaukazu, Hindukuszu, Alp, Andów, no i w końcu Himalaje i Karakorum. Po zimowym sukcesie na Evereście, w czasie spotkania z Bolesławem Kapitaniem w Głównym Komitecie Kultury Fizycznej i Sportu, jeden z partyjnych dygnitarzy szepnął Zawadzie do ucha: „Nie mogliście, kur.a, panie Andrzeju, wejść tego piętnastego?!”. Faktycznie, taki był plan, wyjście opóźniono o dwa dni. Gdyby udało się piętnastego, sukces byłby podwójny – tego dnia kończył się bowiem VIII Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zimowe zdobycie Everestu byłoby świetnym akcentem propagandowym.

Gdyby nie pólseroctwo, Zawada zostałby dyplomatą?

Trudno dziś na to pytanie odpowiedzieć, ale na pewno miał naturalny, wrodzony talent dyplomatyczny, być może po przedwcześnie zmarłym ojcu Filipie, konsulu II RP w Olsztynie (Allenstein, wtedy), Essen i Tuluzie. Potwierdził mi to Jan Wojciech Piekarski, polski ambasador w Pakistanie, który pomagał uzyskać pozwolenie na pierwszą zimową wyprawę na K2 w 1987 r. Zawada wyniósł z domu rodzinnego kindersztubę, potrafił tak rozmawiać z ludźmi, że nie czuli się od niego gorsi, umiał prosić, lecz nie miał też najmniejszego problemu z dziękowaniem. No i uwielbiał te wszystkie ceremonialne konwenanse z pisanem pism, regułkami pozdrowień. Jak na dyplomatę przystało, potrafił też wykorzystywać fortele, no i wracać oknem, gdy ktoś go z jakiegoś powodu wyrzucał drzwiami. Był w tym niezwykle skuteczny. To wyłącznie jego zasługa, że właśnie Polacy uzyskali jako pierwsi pozwolenie na zimową eksplorację Himalajów i Karakorum. Oczywiście pomagali mu w tym zawodowi dyplomaci, cały PZA stał murem, ale nie miał łatwo. Musiał przekonywać, tłumaczyć. Miał niezmierzone pokłady determinacji.

Politycznie uformował go Jan Strzelecki, mentalnie i sportowo Wawrzyniec Żuławski?

Myślę, że mentorów miał więcej. Począwszy od dziadka, Tomasza, powstańca styczniowego, który lubił ryzyko, przez naukowców – Edwarda Stenza, Romana Teisseyre’a, eksploratorów pokroju Stanisława Siedleckiego i Ryszarda Schramma, a skończywszy na kolegach z Klubu Wysokogórskiego. Wychowywał się bez ojca. Ignął do mocnych, skutecznych i stanowczych mężczyzn ze swego otoczenia. Ale i tu dość skrajnie: z jednej strony Żuławski – muzyk, taternik, społecznik, z drugiej Strzelecki – taternik, socjalista, naukowiec (jego manifest „O socjalizmie humanistycznym” wywarł ogromny wpływ na życiowe decyzje Zawady). Ci ludzie pozwolili mu się odnaleźć, wyznaczyć jakąś ścieżkę w życiu i skrytalizować marzenia dwudziestoparolatka, kiedy pisał o sobie, że „jest stworzony do rzeczy wielkich”. I robił wielkie rzeczy, stał w kontrze do tych, którym wystarczyło zaspokajanie własnych ambicji. Zawada chciał, by cały świat był dumny z Polski i Polaków.

Skąd pochodzi legenda o zakazie wyjazdów alpejskich dla bohatera książki?

Sam jak ukuł. Tak tłumaczył sobie fakt, że w 1960 r. nie pojechał na pierwszą wojenną, poważną wyprawę w Hindukusz Afgański, na dziewiczy Noszak. Podobnie na kolejne alpejskie obozy centralne. Pojechała śmietanka polskiego wspinania, a Zawada nie. Do tego w 1959 r. brał udział w pierwszym zimowym przejściu Głównej Grani Tatr, co tak samo wzbudziło uznanie, jak dezaprobatę zarządu Klubu Wysokogórskiego, który nie życzył sobie podejmowania trudnych, zimowych przejść. Zbyt dużo taterników traciło w górach życie i do prezesa Bajera ciągle dzwonili „z góry”, upominając go, by w klubie zaprowadził porządek. Zawada ten ład burzył. A prawda jest taka, że ów zakaz nie istniał, a Zawada nie pojechał, ponieważ miał na koncie zbyt mało wspinaczkowych sezonów w Tatrach. Zabrakło mu ich, gdyż uczestniczył w ekspedycjach naukowych do Wietnamu i na Spitsbergen. Z końcem lat 50. interesowały go bardziej od wspinaczki.

Szybownictwo, spadochroniarstwo, motorowodniactwo, taniec, aktorstwo. Czy coś jeszcze odrzywało go od gór?



★★★★★

PIOTR TRYBALSKI
„WSZECHMOGĄCY.
ANDRZEJ ZAWADA. CZŁOWIEK,
KTÓRY WYMYŚLIŁ
HIMALAJE”
KRAJ 2015

Ciekawiło go tak wiele, że góry przez lata pozostawały na drugim miejscu. Miał smykałkę do wynalazków, zmysł techniczny – konstruował radioodbiorniki. Ale kochał adrenalinę, więc na początku lat 50. zapisał się na kurs skoków ze spadochronem, latał też na szybowcach. Ze skoków zrezygnował zarówno z powodu braku czasu, jak i zbytnej militarystyki tej dyscypliny. Będąc już „człowiekiem gór”, zamarzył o łodzi motorowej. Plan zrealizował, z końcem lat 70. szalał po mazurskich jeziorach. Ale to nie wszystko, związek z aktorką i sukcesy operatorskie w czasie wypraw do Wietnamu i na Spitsbergen sprawiły, że postanowił zdawać do łódzkiej filmówki. Niestety, bez sukcesu. Za to grał w filmach Krzysztofa Zanussiego, reżyser konsultował z nim sceny górskie. Zawada miał opinię kogoś, kto nie może usiedzieć w jednym miejscu, cały czas był aktywny, coś planował, konstruował, zbierał. Rozsadzała go energia.

Miłością jego życia pozostała Anna Milewska, choć miała konkurentkę...

A to zależy, jak spojrzymy na podboje Zawady. Anna Milewska twierdzi, że tzw. satelitki zawsze kręciły się wokół Zawady. Ale faktycznie pewną obawę poczuła, gdy na orbicie pojawiła się Maria. Była piękna, mądra, lubiła się wspinać. Spędzali razem mnóstwo czasu, wyjeżdżali na wspólne wakacje. Annie to nie przeszkadzało, dawała Zawadzie wolność, uważając, że dzięki temu mąż nie będzie szukał niczego poza przygodą – ich miłość przetrwa. Maria uważa, że Zawada ją kochał, ale nie dałaby rady z nim żyć. Nie miała aż tak wielkich pokładów cierpliwości. Rozstali się po kilku latach od poznania, pozostali przyjaciółmi, już w trójkę. Bo sposobem Anny, by wygrać z konkurentką potencjalną walkę o Zawadę, było zaprzyjaźnienie się z Marią. I przyjaźnią się do dziś.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Trybalski – dziennikarz, fotograf, autor książek górskich, m.in. „Wszystko za K2”, „Gdyby to nie był Everest...” oraz najnowszej „Wszechmogący. Andrzej Zawada. Człowiek, który wymyślił Himalaje”.



Z Érikiem Zemmourem,
nieoficjalnym kandydatem
do przyszłorocznych wyborów
prezydenckich we Francji
rozmawia Olivier Bault



Polska musi stawiać

Choć nie ogłosił jeszcze swojej kandydatury, to wydaje się ona przesądzona. Widmo kandydatury prawicowego publicysty Érica Zemmoura, często odwołującego się do dziedzictwa gen. de Gaulle'a, już spowodowało, że we francuskich mediach

publicznych po raz pierwszy zaczęto mówić pozytywnie i ciepło o Marine Le Pen. Mówiący przede wszystkim o imigracji i o zagrożeniu związanym z islamem konserwatysta Zemmour jest przedstawiany jako bardziej prawicowy od Le Pen, którą krytykuje

za podporządkowanie się dyktatom politycznej poprawności. Jednocześnie uważa się, że w odróżnieniu od Le Pen może przyciągnąć część elektoratu centroprawicy. Jeszcze w czerwcu i lipcu, kiedy sondażownie zaczęły uwzględniać kandydaturę popularnego publicysty

OLIVIER BAULT: Mówi się, że będzie pan kandydował we francuskich wyborach prezydenckich w 2022 r. Czy już pan podjął decyzję? Dlaczego pan w ogóle to rozważał i jak rozumie pan taką dużą dynamikę na korzyść pana ewentualnej kandydatury w sondażach?

ÉRIC ZEMMOUR: Ogłoszę decyzję w odpowiednim momencie. W każdym razie nie będę kandydatem, który ma jedynie wprowadzić do debaty pewne idee. Nie jestem zawodowym politykiem, nie mam powołania, aby kandydować w wyborach co pięć lat, aby w ten sposób uzasadniać istnienie jakiejś partii politycznej. Poza tym w moim najlepszym interesie byłoby, aby nie startować. Tym niemniej, gdy widzę entuzjazm wokół mnie, gdy widzę zapał ludzi, którzy przychodzą podpisywać moją książkę [zatytułowaną: „Francja nie wypowiedziała jeszcze swojego ostatniego słowa” – przyp. red.], ale także gdy patrzę na sondaże, myślę sobie, że coś się w tym kraju dzieje. Francuzi czują, że jestem szczery i że, w przeciwieństwie do zawodowych polityków, nie udaję, aby zebrać maksymalną liczbę głosów. Tym samym moje słowa, które nie pasują do tego, co słyszy się na aseptycznej scenie politycznej, będącej ofiarą politycznej poprawności, intrygują, ciekawią i budzą pewne zaufanie.

Tezy, których pan broni jako eseista, publicysta i dziennikarz, wydają się raczej bliskie ideom partii Zjednoczenie Narodowe (Rassemblement National, RN). Co zarzuca pan Marine Le Pen i jej partii?

Niczego nikomu nie zarzucam. Nie mam nic przeciwko Marine Le Pen. Uważam, że jest odważna, waleczna. Nie o to chodzi. Problemem Marine Le Pen jest to, że ona nie jest w stanie wygrać wyborów. Myślę, że w Zjednoczeniu Narodowym wszyscy o tym wiedzą, wiedzą o tym wszyscy w jej otoczeniu i jestem przekonany, że wie o tym także ona sama.

A wie o tym przede wszystkim Emmanuel Macron i to dlatego tak bardzo wymarzył sobie ponowny pojedynek, którego nie może przegrać. Jest to być może dla Marine Le Pen niesprawiedliwe, ale taka jest prawda. Marine Le Pen zaprzepaściła wszelkie szanse na wygraną, zwłaszcza po katastrofalnej debacie z 2017 r., w czasie której upokorzyła swoich wyborców.

Znalazło to potwierdzenie w tragicznych wynikach wyborów regionalnych w czerwcu tego roku. Chociaż wszyscy zapowiadali, że Zjednoczenie Narodowe

przejmie trzy regiony, to w końcu nie wygrało w żadnym.

Oskarża pan drugą część prawicowej opozycji, to znaczy centroprawicową partię Republikanie (LR), że zdradziła gaullistowskie dziedzictwo i że jest tak naprawdę ideologicznie dość bliska obecnemu prezydentowi Macronowi i jego formacji LREM. Czy odnosi się to pana zdaniem do całej partii LR?

Wśród Republikanów jest wiele wartościowych, ideowych osób. Wyraziłem już moje uznanie dla Laurenta Wauquieza, François-Xaviera Bellamy, Bruna Retailleau czy Nadine Morano. Podziwiam odważnych polityków, którzy na co dzień walczą w imieniu obywateli. Ale nie w tym rzecz. Próbuję dokonać pewnej analizy politycznej. Od lat 80. prawica przesuwana się ku centrum: prawica była formacją narodową i ludową, a stała się formacją prounijną i liberalną. Z upływem czasu zupełnie odcięła się od swoich wyborców, a ci zostali skonfrontowani z coraz trudniejszą rzeczywistością. Krótko mówiąc: Republikanie stali się centrystami w momencie, gdy ich wyborcy przesunęli się bardziej na prawo. To bardzo uderzające, gdy ludzie tacy jak Gérard Larcher [przewodniczący senatu z LR – przyp. red.] twierdzą, że nie mają ze mną żadnych wspólnych wartości, podczas gdy ich wyborcy w przeważającej większości podzielają mój punkt widzenia.

Tak jak Édouard Philippe [pochodzący z LR poprzedni premier, który właśnie utworzył nową partię popierającą kandydaturę Emmanuela Macrona w nadchodzących wyborach prezydenckich – przyp. red.] w istocie odrodził Unię na rzecz demokracji francuskiej (UDF), ja przywracam Zgromadzenie na rzecz Republiki (RPR), z których to partii wywodzi się obecna formacja LR. Republikanie nie mają już żadnej racji bytu.

Nie obawia się pan, że kandydatura Zemmoura może właśnie doprowadzić do sytuacji, że kandydat partii LR, który zdawał się do tej pory nie mieć żadnych szans w pojedynku z Marine Le Pen, dostanie się do drugiej tury?

Należy przede wszystkim zdać sobie sprawę, że bez mojej kandydatury Macron zostanie ponownie wybrany na prezydenta. Zanim pojawiła się hipoteza, że będę kandydował, Republikanie nie mieli szans pokonać Marine Le Pen w pierwszej turze wyborów, a Marine Le Pen nie miała szans pokonać Macrona w drugiej turze.

opór

w swoich badaniach, zamierzało na niego głosować w pierwszej turze przyszłorocznych wyborów prezydenckich tylko kilka procent wyborców. Na początku października po raz pierwszy krzywe poparcia Le Pen i Zemmoura spotkały się na poziomie 16–17 proc.

FOT. CHENOT/GETTY IMAGES

■ Czy myśli pan, że może pojawić się we Francji bardziej zjednoczona prawica, bez „kordonu sanitarnego” czy „frontu republikańskiego” przeciw pewnej jej części?

Aby kandydat prawicy mógł zwyciężyć w wyborach, musi zebrać zarówno głosy prawicy ludowej, jak i głosy ludzi bardziej zamożnych o prawicowych poglądach. Spieszę z wyjaśnieniem: Zjednoczenie Narodowe kierowało dotąd swoją ofertę do elektoratu ludowego, wrażliwego na kwestie bezpieczeństwa, imigracji, autorytetu władzy. Republikańskie natomiast patrzą na stronę burżuazji, a ta z kolei zwraca uwagę na kwestie

porządkowana ideologii liberalno-lewicowej biurokratów z Brukseli, wspieranej przez Niemcy i zasilanej nowymi anglosaksońskimi dogmatami ideologii woke.

Czy możliwa jest we Francji wojna domowa? Czy można jej jeszcze uniknąć? Jak to zrobić?

Jeśli jacyś ludzie wchodzi na salę koncertową z kałasznikowami i zabijają 130 osób, to już jest wojna domowa. Gdy katolickiemu księdzu podrzyna się gardło w czasie odprowadzania przez niego mszy, to już jest wojna domowa. Gdy po bruku toczy się głowa nauczyciela, to już jest wojna domowa. Mógłbym wymieniać

Jeśli jacyś ludzie wchodzi na salę koncertową z kałasznikowami i zabijają 130 osób, to już jest wojna domowa

gospodarcze i jest bardzo przywiązana do euro. Te dwa elektoraty (ludowy i burżuazyjny) były dotąd rozdzielone i nie miały żadnych szans na wygraną. Aby wygrać, trzeba te dwa elektoraty połączyć, a wszystkie sondaże zdają się pokazywać, że jestem jedyną osobą, która może tego dokonać.

Załóżmy, że zwycięstwo prawicy, która sprzeciwia się masowej imigracji i tworzeniu społeczeństwa multi-kulti, jest jeszcze we Francji możliwe. Czy nie jest i tak za późno, aby uratować francuską tożsamość? Czy można jeszcze zasymilować z francuskim społeczeństwem te miliony imigrantów i ich potomków wywodzących się z tak różnych kultur, a w szczególności miliony muzułmanów?

Nie jest za późno, ponieważ nasza historia pokazuje, że asymilacja działa. Aby była możliwa, trzeba najpierw położyć kres imigracji, zatrzymać jej napływ. Krótko mówiąc, należy wstrzymać się z przyjmowaniem nowych imigrantów, aby zasymilować tych, którzy zostaną. Oto istota wyzwania.

Jeśli wygra Emanuel Macron, to czy Polacy, zaniepokojeni Rosją na Wschodzie, będą mieli powody, aby obawiać się rychłego powstania republiki islamskiej na Zachodzie?

Nie będzie islamskiej republiki na Zachodzie! Ale w dłuższej perspektywie Francja będzie osłabiona podziałami i konfliktami wewnętrznymi. Jeśli nic się nie zrobi, to jest właśnie to zagrożenie. Gdy Francja jest słaba, cała Europa się chwieje i może zostać definitywnie pod-

kolejne zdarzenia z listy, jest ona niestety bardzo długa. Wojna domowa to nie zdarzenie jednej nocy, to długi proces, który już się we Francji rozpoczął i który należy niezwłocznie zatrzymać stanowczą reakcją ze strony państwa.

A jeśli to Éric Zemmour zostanie prezydentem Francji i będzie miał za sobą w parlamencie wspierającą go większość, to czy Polacy będą musieli się obawiać, że Francja opuści NATO i zawrze sojusz z Rosją?

Znam i szanuję obawy Polski i Polaków w stosunku do Rosji. Wiem, że to bardzo drażliwa kwestia w Polsce, ale nie sądzę, aby konfrontacja z Rosją, w której zamyka nas NATO, była odpowiedzią na te obawy. Z Rosją należy rozpocząć nowy dialog, dialog merytoryczny obejmujący kwestie bezpieczeństwa i stabilności w Europie. Europa i Rosja dzielą tę samą przestrzeń geograficzną, którą gen. de Gaulle opisywał jako Europę od „Atlantyku do Uralu”. Ja chciałbym się wpisać w ten kontekst. Chcę, aby Francja mogła być siłą gwarantującą równowagę i prowadzącą dialog ze wszystkimi. To dlatego polityka zagraniczna Francji nie może być pisana ani w Waszyngtonie, ani w Brukseli, ani w Moskwie.

Jakie są pana zastrzeżenia do NATO i – ogólniej – do sojuszu atlantyckiego, skoro wszystkie kraje flanki wschodniej, nawet te, które utrzymują dobre relacje z Rosją, jak np. Węgry, których premiera niedawno pan spotkał, są zdecydowanie za utrzymaniem tego sojuszu?

Utrzymywanie NATO po zakończeniu zimnej wojny było błędem. NATO jest organizacją przestarzałą i nie ma jasnego mandatu dla swoich działań. Prowadzi nas do tragicznych błędów, jak ten w Afganistanie. W przypadku niektórych krajów, w tym w Polsce, NATO wydaje się być jedyną prawdziwą tarczą i ja to rozumiem. Ale czy NATO jest rzeczywiście dobrym strategicznym wyborem? Amerykanie zwracają się dziś ku Azji. Nie chcę, aby Francja wypowiedziała traktat północnoatlantycki, ale chcę, aby opuściła zintegrowane struktury dowodzenia NATO. Ten gest polityczny uważam za konieczny. Pozostaniemy w pakcie północnoatlantyckim w szczególności po to, by nie dopuścić do geograficznego rozszerzenia organizacji.

Co myśli pan o postawie Brukseli i Paryża wobec Polski i Węgier? Jak rozumie pan mnożenie się konfliktów, w szczególności w odniesieniu do kwestii typu aborcja czy prawa LGBT i do kwestii praworządności?

W pełni popieram rząd polski i polskie społeczeństwo w ich konfrontacji z Komisją w Brukseli. Ledwo ukrywane groźby i szantaż w stosunku do krajów takich jak Polska to coś niebywałego. Instytucje unijne stały się instrumentami w służbie ideologii, która nie dopuszcza, aby poszczególne narody mogły podejmować inne decyzje w kwestiach tak fundamentalnych jak organizacja społeczna i polityczna państwa. Polska musi stawiać opór.

Czy jest pan za przywróceniem waluty narodowej we Francji lub nawet za frexitem?

Nie chcę, aby Francja wychodziła z Unii Europejskiej czy nawet ze strefy euro. Wyjście ze strefy euro i z Unii Europejskiej odwróciłoby naszą uwagę od naszego priorytetowego celu, którym jest walka z „wymianą ludności”. Musimy natomiast natychmiast przejąć kontrolę nad najważniejszymi dla nas kwestiami witalnymi, w pierwszej kolejności nad polityką migracyjną. To wymaga postawienia prawa francuskiego ponad prawo europejskie, jak odważnie zrobił to właśnie polski Trybunał Konstytucyjny.

Czy myśli pan, że Unię Europejską można jeszcze zreformować? W jaki sposób?

Reforma Unii Europejskiej to refren, którego słuchamy od dziesięcioleci. Oznacza on zwykle tylko jedno: więcej integracji. Unia Europejska nigdy nie powinna była się stać czymś więcej niż

Europą Narodów, tak drogą gen. de Gaulle'owi. Reforma idąca w tym kierunku jest pewnie jeszcze możliwa i chcę ją prowadzić z naszymi partnerami i sojusznikami, ale wymaga jednomyślnej zmiany traktatów. Sytuacja we Francji jest zbyt nagła, by poświęcać się tej sprawie. Nie możemy dłużej czekać.

Czasem porównuje się pana do Donalda Trumpa ze względu na pańskie wypowiedzi na temat masowej imigracji oraz ze względu na krytykę islamu i gotowość do przedkładania interesów francuskich ponad wszelkie inne względy. Czy uważa pan to porównanie za uprawnione?

Donaldowi Trumpowi udało się zjednoczyć patriotów z klas niższych i z zamężnej klasy średniej. To dobra strategia. Przyznaję też, że miał dobrą polityczną intuicję (na temat globalizacji, Chin, imigracji) i że dotrzymał swoich zobowiązań w czasie sprawowania mandatu, niezależnie od tego, co się o nim mówi.

To dlatego jego elektorat nie rozproszył się w ciągu czterech lat. Tak naprawdę to proste: wystarczy robić to, co się powiedziało, i nie zaprzeczać samemu sobie. Tym niemniej nie jestem zwolennikiem jego stylu i bardzo różnię się od

Donalda Trumpa: nie wywodzę się z telewizyjnych reality show i jestem zanurzony w życiu politycznym mojego kraju od 30 lat. Ja wolę książki, a on z pewnością telewizję. Jestem człowiekiem idei, a on człowiekiem biznesu, a to nie to samo.

Hasłem wyborczym kandydata na prezydenta Érica Zemmoura mogłoby być „Make France Great Again” czy raczej „Rendre sa grandeur à la France”, czyli „Przywrócić wielkość Francji”. Czy to realistyczne w przypadku kraju wielkości Francji? Czy oznaczałoby to nieuchronny koniec słynnego „tandemu francusko-niemieckiego”?

Francja jest mocarstwem mającym globalne znaczenie. Mamy liczne atuty, takie jak: bomba atomowa, stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, obecność na wszystkich oceanach, wspólnota frankońska, armia zdolna interweniować w każdym zakątku świata. W przeciwieństwie do Niemiec Francja zawsze miała globalne ambicje. W rzeczywistości Europa, w której chce nas zamknąć Emmanuel Macron, jest zbyt ciasna dla Francji. Obrona naszych interesów realizuje się poprzez realizację niezależnej polityki zagranicznej. Nie jest to izolacja czy wycofanie się, wręcz przeciwnie, wierzę w mocne

strony mojego kraju i chcę je wykorzystać do obrony naszych interesów.

Czy nie byłoby dla Francji korzystne szukać zbliżenia z krajami Europy Środkowej dla zrównoważenia stosunku sił w Unii Europejskiej?

Musimy rzeczywiście połączyć nasze siły wobec Komisji w Brukseli z tymi rządami, z którymi łączy nas ta sama wizja Europy.

Wracamy tutaj do kwestii NATO: czy tego rodzaju zbliżenie wydaje się panu możliwe, jeśli Francja wyjdzie z NATO i zbliży się do Rosji, zrywając sojusz ze Stanami Zjednoczonymi?

Nie ma mowy o jakimkolwiek zerwaniu, ale o przywróceniu równowagi. Aby bronić swoich interesów, Francja musi wyposażać się w instrumenty pozwalające na prowadzenie niezależnej polityki zagranicznej. Jesteśmy bliscy, historycznie, kulturowo i politycznie, zarówno Stanom Zjednoczonym, jak i Rosji. Równoważąca rola Francji może mieć pozytywne znaczenie dla interesów krajów Europy Środkowej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**Wywiad tłumaczyła
Agnieszka Golańska-Bault.**

REKLAMA



Nasze polskie!



TAK KULTOWE...

NASZE POLSKIE SMAKI!




KULTOWE WĘDLINY I KIEŁBASY SUCHE, KTÓRYCH SIĘ NIE ODMAWIA OD 30 LAT.

Muktada: od watażki do władcy Iraku



Witold Repetowicz

Saddam Husajn go oszczędził, bo podobno uważał go za nierozgarniętego, Paul Bremer gardził nim i jego zwolennikami jako ciemnym motłochem bez znaczenia dla przyszłości Iraku, a gen. Skrzypczak swego czasu się z nim dogadał i jego Armia Mahdiego przestała atakować naszych żołnierzy. Muktada as-Sadr dziś rozdaje karty w Iraku po tym, jak jego ludzie wygrali wybory parlamentarne



conych pozycjach, otoczeni w karbalskim ratuszu przez wielokrotnie liczniejsze siły wroga. A była nim Armia Mahdiego, czyli rebelianci podlegający 30-letniemu wówczas Muktadzie as-Sadrowi. W książce płk. Grzegorza Kaliciaka „Karbala, raport z obrony City Hall”, który dowodził polskim oddziałem w tej największej bitwie z udziałem polskich żołnierzy od czasów zakończenia drugiej wojny światowej i walk podziemia z władzą komunistyczną oraz Sowietami, widać więcej szacunku dla przeciwnika niż w filmie zrealizowanym na jej podstawie. Nie ma wątpliwości, że polscy żołnierze, którzy służyli w Iraku, dobrze pamiętają nazwisko Sadra i kojarzą się im jednoznacznie: z krwawym watażką, który wysyłał fanatycznie oddanych mu zwolenników na śmiertelny bój. Poza tym większość z nich zapewne nie wie, skąd się wziął ten szyicki duchowny i jak się dalej potoczyły jego losy.

Gdy w 2016 r. w irackim Nadżafie rozmawiałem z liderem sadrystów w tym mieście, powiedział mi, że to było dla nich bez znaczenia, że walczyli z Polakami. Liczyli się dla nich tylko Amerykanie i to był, jest oraz będzie ich wróg. Polaków postrzegali jako wykonawców woli USA, a nie samodzielnego wroga, więc dziś nic do nas nie mają. Muktada nienawidzi tylko dwóch krajów, jednym są oczywiście USA, a drugim Wielka Brytania. Irakijczycy mają bowiem dobrą pamięć i nie zapomnieli powstania, które wybuchło w Iraku w 1920 r. przeciwko rządowi brytyjskim. Zginęło w nim ok. 8 tys. rebeliantów, a Brytyjczycy do jego stłumienia użyli broni chemicznej. Amerykanie nie odrobili tej lekcji historii, a mogliby się z niej wiele nauczyć, by nie powtórzyć niespełna 100 lat później wielu brytyjskich błędów. Jednym z liderów owego powstania był Muhammad Mahdi as-Sadr, pradiadek Muktady, a część rodziny Sadrów została po jego stłumieniu wygnana z Iraku przez Brytyjczyków.

OSZCZĘDZONY

Sadrowie to jeden z najbardziej wpływowych rodów arabskich, wywodzący swoje pochodzenie od Mahometa poprzez jednego z jego potomków w linii prostej, tj. siódemego imama szyickiego Musę ibn Dżafara al-Kazima. Jest to jeden z najważniejszych świętych szyickich, a jego okazałe mauzoleum, tzw. Kazi-mija, wznosi się na obrzeżach Bagdadu, przyciągając co roku miliony wiernych.

Na filmie padają jak muchy, podejmując kolejne krwawe próby zdobycia budynku bronionego przez żołnierzy z białą-czerwoną naszywką na ramieniu. Są bezwzględni,

gotowi do wykorzystania dzieci jako żywych tarcz, fanatyczni. Nasi górują nad nimi wyszkoleniem i dlatego nikt z białoczerwonych nie ginie, choć wydawałoby się, że nasi przystąpili do walki na stra-

FOT. ALAA AL-MANAN/REUTERS/FORUM

W XVIII w. przodkowie Muktady mieszkali w małej wiosce Szuhur w południowym Libanie. Stamtąd do Iranu wyruszył niejaki Saleh Szaraf ad-Din, którego syn – Sadr ad-Din bin Saleh – został pierwszym wielkim ajatollahem w rodzinie, a zarem protoplastą rodu Sadrów.

W końcu XIX w. Ismail as-Sadr, ojciec Muhammada Mahdiego, został mardzą, czyli przywódcą duchowym wszystkich szyitów w Iraku. Jednym z synów Ismaila był Musa as-Sadr, „ukryty imam” libańskiego szyitów. Na początku libańskiej wojny domowej stał się duchowym i politycznym przywódcą tamtejszych szyitów, tworząc ruch Amal.

W 1978 r. Musa as-Sadr polecał do Libii na spotkanie z Muammarem Kaddafim i od tego czasu słuch po nim zaginął. Podobno w trakcie długiej rozmowy doszło do różnicy zdań na tematy teologiczne, w wyniku czego Sadr nazwał libijskiego dyktatora „niewiernym”, a ten w odpowiedzi kazał go zastrzelić. Amal, którego przedstawiciel Nabih Berri od 30 lat jest przewodniczącym libańskiego parlamentu, do dziś nie uznał śmierci swego przywódcy. Musa as-Sadr doprowadził wcześniej do brzemiennej w skutkach uznania syryjskich alawitów (do których należy panująca tam rodzina Assadów) za szyitów, co było wątpliwe pod względem teologicznym, ale stanowiło fundament trwającego do dziś sojuszu Syrii i Iranu, a także szyickich partii w Libanie i Iraku. Inny wnuk Ismaila Sadra, Muhammad Bakir as-Sadr, w latach 60. stworzył pierwszą szyicką partię islamistyczną w Iraku, co zresztą spowodowało, że w 1980 r. został skazany na śmierć przez Saddama Husajna.

Prawnikiem Ismaila był natomiast ojciec Muktady, Muhammad Sadik as-Sadr. Mimo swego znamienitego pochodzenia uznawany był on za outsidera w szyickich elitach religijnych Iraku, bo miał skłonności do mistyki. W 1992 r. Saddam uznał zatem, że będzie on idealnym kandydatem na konkurencyjnego mardżę wobec pochodzącego z Iranu Alego Sistaniego (który do dziś jest przywódcą irackich szyitów i który niedawno spotkał się z papieżem Franciszkiem). Iracki dyktator bardzo szybko jednak zrozumiał, jak wielki błąd popełnił. Charyzmatyczny ajatollah bardzo szybko zdobył bowiem ogromną popularność wśród szyickiej biedoty i zaczął tworzyć zręby równoległego państwa, z własnym sądownictwem itp. Saddam Husajn zlecił

zatem w 1999 r. zamach na niego i jego dwóch synów. Samochód, którym jechali, został ostrzelany przez „nieznanych sprawców”. Ajatollah przeżył, ale po dowiezieniu do szpitala lekarzom zabroniono go ratować.

Muktada miał wówczas 25 lat i jako jedyny z rodziny został oszczędzony przez Saddama, co wywołało plotki, że przyczyną był jego rzekomy niedorozwój umysłowy. Młody kleryk nie wychylał się do czasu, aż Amerykanie nie wkroczyli i nie obalili irackiego tyrana. Muktada nie wybiegł jednak z kwiatami dziękować jankesom za pomszczenie ojca. Zamiast tego od razu uaktywnił się jako nieprzejednany wróg niewiernych okupantów. Jednocześnie zaczął też wyrównywać rachunki z członkami szyickich elit duchownych, których oskarżał o lekceważenie swego ojca. Chodziło w szczególności o powracających z Iranu przywódców emigracyjnych, którzy nazywali jego ojca agentem Saddama. Ajatollah Abdul Madżid al-Choj został zlinchowany przez zwolenników Muktady w Nadżafie kilka dni po swoim powrocie z Iranu, Al-Choj próbował się ratować, łomocąc do drzwi domu Muktady, ale pozostały one zamknięte. Z kolei ajatollah Mohammad Bakir al-Hakim, planujący stworzenie islamskiej republiki w Iraku na wzór irański i objęcie w niej przywództwa, wyjechał w powietrze w sierpniu 2003 r. Oficjalnie zamach zorganizowała Al-Kaida, ale szeptano, że tak naprawdę sprawca mieszka w Nadżafie i jego imię zaczyna się na literę M. Ale powiedzenie tego na głos oznaczało wyrok śmierci.

LOJALNI DO ŚMIERCI

Muktada przejął po ojcu rząd dusz nad biednymi masami szyickimi. Nie spotkało się to z uznaniem ze strony amerykańskiego wielkorządcy Iraku Paula Bremera, który wprowadzanie demokracji w Iraku (bo w końcu to był jeden z powodów interwencji) widział w oparciu o elity, a nie jakieś tam masy. Sadr był dla niego sezonowym fenomenem, który trzeba spacyfikować i będzie po krzyku. Wyszło trochę inaczej, choć po zdziesiątkowaniu swojej Armii Mahdiego Sadr wycofał się z polityki i na dwa lata wyjechał do Iranu. Wrócił, gdy Amerykanie się wycofywali w 2011 r., i choć wcześniej jego Armia Mahdiego była zaangażowana w wojnę domową z sunnitami, to teraz zaczął być adwokatem sunnicko-szyickiego braterstwa

i krytykował antysunnickie decyzje ówczesnego, zainstalowanego z pomocą USA (a obecnie proirańskiego), premiera Nuriego al-Malikiego.

Ta postawa była jednak bliska polityce ojca Muktady. Sadr zaczął też coraz bardziej dystansować się od Iranu, co również było inspirowane działalnością Mohammada Sadika, który przeciwstawił wpływom irańskim szyizm arabski, iracki. Kolejne lata przynosiły coraz większe niespodzianki. Na przykład w 2016 r. zawarł sojusz z irackimi komunistami, którzy potem, w 2018 r., startowali razem z sadrystami z jednej listy do parlamentu. Natomiast rok później odwiedził Arabię Saudyjską i spotkał się z tamtejszym następcą tronu Muhammadem bin Salmanem, choć dopiero co kazał on powiesić głównego szyickiego duchownego saudyjskiego, a Arabia Saudyjska była i nadal jest w ostrym konflikcie z Iranem.

Sadr stał się też wówczas orędownikiem jedności narodowej i reform, co zaowocowało zwycięstwem związanej z nim listy Sairun w wyborach parlamentarnych w 2018 r. Rząd stworzyły jednak konkurencyjne siły proirańskie, więc Sadr dalej wspierał protesty. W rezultacie ostrzelano jego dom w Nadżafie, tyle że Sadra tam wtedy nie było. Za to w końcu 2019 r. znów udał się do Iranu, gdzie na uroczystościach w Kom zasiadł między najwyższym przywódcą tego kraju Alim Chameneiem a zabitym niedługo potem przez Amerykanów gen. Kasemem Sulejmanim. To podało w wątpliwość szczerość jego antyirańskości.

W wyborach w 2021 r. lista Sadra odniosła już przytłaczające zwycięstwo, zdobywając 73 mandaty w 329-osobowym parlamencie, dystansując inne listy szyickie, zwłaszcza te o orientacji proirańskiej. Nie jest to jednak powód do radości dla USA, choć Irak Sadra nie zerwie stosunków z Amerykanami. Sadr przed wyborami nie ukrywał, że chce władzy nad Irakiem, co nie oznacza jednak, że chce zostać premierem. Zgodnie z zasadami obowiązującymi w elitach szyickiego duchowieństwa w Iraku przekreśliłoby to jego karierę religijną, a bezpośrednie włączenie się do polityki byłoby degradacją. Skoro mógł porywać swych ludzi do kolejnych śmiertelnych szturmów ratusza w Karbali w 2004 r. i pozostawali mu fanatycznie oddani, to może być też pewien ich lojalności na stanowiskach rządowych, w tym premiera.



KRÓLOWA WIECZNIE MŁODA

Brytyjska królowa została wybrana Seniorką Roku. Przewodniczący kapituły nagrody, którą od 30 lat przyznaje „The Oldie Magazine”, napisał w tej sprawie do prywatnego sekretarza królowej Edwarda Younga – pytał, czy monarchini zgodzi się przyjąć tytuł. „Jej Wysokość wierzy, że mamy tyle lat, na ile się czujemy, w związku z czym Królowa nie uważa, by spełniała stosowne kryteria, aby móc przyjąć wyróżnienie, i ma nadzieję, że znajdzie Pan bardziej godnego odbiorcę” – odpisał Young. Nie zdradziono, na ile lat obecnie czuje się 95-letnia Elżbieta II.

FOT. MAX MUMBY/INDIGO/GETTY IMAGES

SPRAWIEDLIWOŚĆ PO NIEMIECKU

W ubiegłym tygodniu w Niemczech przed sądem okręgowym w Itzehoe stawiała się 96-letnia Irmgard Furchner. Jest oskarżona o współudział w zabójstwie ponad 11 tys. ludzi. Była bowiem sekretarką komendanta niemieckiego obozu koncentracyjnego Stutthof Paula Wernera Hoppego. Latami występowała w sprawach dotyczących niemieckich zbrodni jako świadek, bo nic nie wiedziała o zagazowywaniu ludzi, a „egzekucje nie zdarzały się tak często, aby mogło powstać wrażenie, że wykonywane są codziennie” – tłumaczyła. Teraz też do sądu przyjść nie chciała, musiała ją doprowadzić policja. Ostatecznie i tak odpowiada przed sądem dla nieletnich, bo gdy popełniała zarzucane jej czyny, miała mniej niż 21 lat.

SZPIEGOWALI UCZNIÓW

W USA podczas pandemii szkoły przekazywały biedniejszym uczniom m.in. laptopy, by mogli uczestniczyć w lekcjach. Jak się teraz okazało (badania Centrum na rzecz Demokracji i Technologii), ponad 80 proc. nauczycieli przyznało, że sprzęt

dla dzieci nafaszerowany był programami monitorującymi ich aktywność – prywatne czaty, dokumenty i e-maile.

MANDAT ZA KOSZULKĘ

David Knight z Wielkiej Brytanii dostał mandat za jeżdżenie samochodem po buspasie. Kamery wychwyciły bowiem na drodze kobietę w koszulce z napisem „KNITTER” i zinterpretowały nadruk jako tablicę rejestracyjną. Tak się akurat składało, że pan Knight ma tablice do samochodu z napisem „KNI9 TER”. Ostatecznie urzędnicy odstąpili od egzekwowania kary w kwocie 90 funtów.

OPIEWANIE NA ZAMÓWIENIE

Szwedzka gmina Tranemo zatrudniła poetę w ramach „projektu” wartego ok. 894 tys. koron (w przeliczeniu to ponad 400 tys. zł). Projekt jest prosty. Gmina zapłaci, a lokalny poeta, niejaki Jimmy Alm, będzie pisał utwory opiewające piękno tej gminy. Jak sam zapowiedział, będzie pisał o: firmach, ludziach, infrastrukturze i jeziorach. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Bunt przeciw Big Tech

Był prezydent Donald Trump buduje własny koncern medialny, którego częścią będzie platforma streamingowa i portal mediów społecznościowych TRUTH Social (czyli PRAWDA). Portal ma być rywalem m.in. dla Twittera, Facebooka i innych, czyli – jak określił to sam były prezydent – „stawić czoła tyranii Big Tech”. „Żyjemy w świecie, gdzie talibowie są ogromnie obecni na Twitterze, a mimo to nasz ulubiony amerykański prezydent został uciszony. To skandaliczne” – oznajmił Trump, trafnie punktując podejście współczesnej lewicy do wolności słowa. W sierpniu Twitter ogłosił bowiem,

że w przeciwieństwie do Facebooka czy Instagrama nie zamknie kont talibów, zezwalając im pozostać w serwisie, pod warunkiem że nie będą „gloryfikować przemocy”. Wyrażając zgodę na publikowanie komunikatów przez uzbrojonych islamskich mudżahedinów, władze ćwierkającego serwisu utrzymały w mocy decyzję o zablokowaniu konta prezydenta Donalda Trumpa, bo ten miał wyrażać poparcie dla uczestników zamieszek na Kapitolu.

Prawicowi politycy w różnych krajach świata skarżyli się też na cenzurę Facebooka. „Wszyscy mnie pytają, dlaczego nikt się nie sprzeciwia Big Tech? Cóż, niedługo

się sprzeciwimy” – oznajmił były amerykański przywódca, ogłaszając, że Trump Communication and Technology Group (TMTG) będzie platformą otwartej, wolnej i globalnej konwersacji, bez dyskryminowania kogokolwiek ze względu na poglądy polityczne.

Aplikacja TRUTH Social ma zadebiutować już w listopadzie, ale powszechnie dostępna dla wszystkich stanie się w pierwszym kwartale 2022 r. Wkrótce ruszyć ma też serwis streamingowy z TMTG+ z treściami informacyjnymi i rozrywkowymi dla osób, które nie przepadają za lewicowymi treściami. ©



**CZAS
PRZEDSIĘBIORCÓW**



VIII Edycja

„Czy Polski Ład będzie impulsem rozwojowym dla polskiej gospodarki?”

Zapowiedź:

Ogłoszony przez rządzących Polski Ład ma stanowić nowe otwarcie dla naszej gospodarki w post-pandemicznej rzeczywistości i być stabilnym fundamentem budowy silnej klasy średniej. Zarówno ten dokument jak i towarzyszące mu zapowiedzi odnoszą się do kluczowych zagadnień makroekonomicznych, takich jak: system podatkowy, wzrost gospodarczy, inwestycje publiczne czy poziom bezrobocia. Kwestie te są przedmiotem analiz i dyskusji ekspertów oraz polityków. Dla przedsiębiorców istotne są ewentualne zmiany w systemie ubezpieczeń społecznych (wysokość składki zdrowotnej) oraz prawie podatkowym (zapowiadane ulgi i preferencje podatkowe dla podmiotów inwestujących w rozwój). Ważne jest także to jaki wpływ na perspektywy gospodarcze Polski będą miały środki z Unii Europejskiej zapisane w Wieloletnich Ramach Finansowych na lata 2021 - 2027 oraz te pochodzące z tzw. Funduszu Odbudowy. Jaka część tych kwot trafi do polskich firm? Nie należy zapominać także o Zielonym Ładzie. Co z transformacją energetyczną, jak nadać jej sprawiedliwy charakter i nie pozbawić konkurencyjności naszych firm?

Powyższe tematy będą przedmiotem debat w kolejnej już edycji „Czas Przedsiębiorców” organizowanej przez Telewizję Republika.

Debaty:

25.10 (PONIEDZIAŁEK)

26.10 (WTOREK)

27.10 (ŚRODA)

22:25

Deбата główna:

28.10 (CZWARTEK)

12:00

Sponsor strategiczny:



Kardynał George Pell był osadzony w więzieniu dla najgorszych przestępców. Sąd Najwyższy Australii uchylił wyrok i uniewinnił go od zarzutów

FOT. MARK DADSWELL/REUTERS/FORUM

Więzienny notatnik kard. Pella



Tomasz Rowiński

Właśnie ukazała się po polsku jedna z ciekawszych książek katolickich naszych czasów – budzące niepokój świadectwo chrystianofobii XXI w.

Pierwszy tom „Dziennika więziennego” kard. George’a Pella przedstawia czytelnikowi – dzień po dniu – życie osadzonego w izolacji człowieka, który – jak pisali niektórzy z australijskich komentatorów – „został ofiarowany jako kozioł ofiarny za grzechy Kościoła”.

Zanim przejdziemy do samej książki, przypomnijmy podstawowe fakty. Kardynał George Pell przynajmniej od lat 90. XX w. był najbardziej rozpoznawalną postacią Kościoła w Australii. Był niekwestionowanym jego liderem – czasach Jana Pawła II i Benedykta XVI. Bez wątplenia wyróżniał się tym, że choć pochodził z kraju bardzo zlaicyzowanego, w którym sentymenty antykatolickie są wyraźne, a cywilizacja śmierci – mówiąc

językiem polskiego papieża – od dawna czyniła znaczne postępy, był odważnym publicznym obrońcą katolicyzmu i prawa naturalnego.

„Przyjmujemy, że zachodni indywidualizm i islam są dla siebie antytezą. W obliczu chaosu dotykającego jednostki i społeczeństwa nie trzeba wykonać wielkiego kroku, by przejść od absolutnej władzy woli do absolutnej władzy woli Boga, ogólnie zdefiniowanej w wielu dziedzinach. W rzeczywistości może być to łatwiejsze przejście niż przejście od postrzegania samego siebie jako suwerena do poddania się ograniczeniom Boga i chrześcijaństwa” – pisał w roku 2004, uprzedzając o ponad dekadę proroctwo Michela Houellebecqa zawarte w powieści „Uległość”.

Jan Paweł II dostrzegł w australijskim duchownym człowieka nie tylko sprawnego intelektualnie, lecz także zdolnego duszpasterza. Od powołania Pella – ze stanowiska biskupa pomocniczego w Melbourne – na arcybiskupa tej archidiecezji w roku 1996 do otrzymania przez niego kapelusza kardynalskiego minęło ledwie siedem lat. „Nie tak dawno jeszcze usuwanie ciąży było zakazane i potępiane, a dziś politycy podnoszą kwestię liczby aborcji i cierpień, które ona powoduje, jak to czynił na przykład minister zdrowia

Australii kilkakrotnie w tym roku, są traktowani jako podejrzani, jeśli nie niebezpieczni. Kandydaci zaś na stanowiska sędziowskie w Stanach Zjednoczonych narażają się na odrzucenie, jeśli zdradzą, że popierają ochronę życia poczętego. Dzieje się tak pomimo tego, że po przeminięciu jednego pokolenia od czasu liberalizacji – albo zniesienia – ustaw w tym zakresie coraz więcej ludzi jest zaniepokojonych przyzwoleniem, jakie demokracja daje aborcji” – głosił publicznie kardynał, stając się jednym z głosów wołytylańskiego katolicyzmu.

Kardynała docenił także papież Franciszek, który w lutym 2014 r. skierował Pella na specjalnie dla niego utworzony odcinek prac w Watykanie. Sekretariat do spraw gospodarczych miał nie tylko zajmować się zarządzaniem ekonomią Stolicy Apostolskiej i Państwa Watykańskiego, lecz także oczyścić zabagnione finanse papieskiej stolicy. „Podczas przeglądu finansów Watykanu w ramach ich reformy kardynałowie i urzędnicy odnaleźli setki milionów euro, które nie figurowały w budżetach Stolicy Apostolskiej i Państwa Watykańskiego” – ogłosił Pell na łamach „Catholic Herald Magazine” już w grudniu tego samego roku. Rok później Pell zdecydował o rozpoczęciu poprzedzającego generalną reformę watykańskich

finansów audytu i zlecił to zadanie firmie PricewaterhouseCoopers. Bez wątpienia Pell zyskał wtedy wielu wrogów wśród licznych watykańskich urzędników. Także tych najwyższego szczebla, jak kard. Berciu, którzy dobrze żyli z nieprzejrzystości finansów Stolicy Apostolskiej. W kwietniu 2016 r. Sekretariat Stanu zawiesił audyt, a reformie ukrecono głowę.

Może to wtedy zaczęły się prawdziwe kłopoty Pella i spiskowanie przeciw niemu? A może gdzieś indziej i wcześniej. „Często listy, które dostaję, każą mi się zatrzymać i pomyśleć. Pewna kobieta napisała, że jej zdaniem »początek prześladowania nas, katolików« miał miejsce, gdy odmówiłem udzielania Komunii Świętej osobom noszącym tęczowe szarfy w katedrze Świętego Patryka w Melbourne. [...] Cóż, być może ma rację. Po referendum, którego wynik przemawiał na korzyść małżeństw homoseksualnych, możemy się spodziewać dalszych nacisków na ograniczanie naszej wolności religijnej w głoszeniu nauki chrześcijańskiej na temat rodziny, małżeństwa i seksualności [...]» – zanotował kard. Pell 1 kwietnia 2019 r. w „Dzienniku...”. Był już wtedy skazany na sześć lat więzienia za czyny, których nie popełnił. Kardynał czekał wtedy na apelację w Sądzie Najwyższym stanu Wiktorii. Zostanie ona odrzucona w sierpniu. Potem znacznie się trwający aż do kolejnego kwietnia okres oczekiwania na decyzję Sądu Najwyższego Australii. Ten zaś ostatecznie uchylił wyrok skazujący kardynała i to stosunkiem siedmiu głosów do zera.

PEJZAŻ NASZEJ EPOKI

Oskarżenia dotyczące kard. Pella pojawiły się w czerwcu 2017 r., a w marcu 2018 r. duchowny dobrowolnie opuścił Watykan – którego był obywatelem – by wziąć udział w procesie toczącym się w jego ojczyźnie. Większość zarzutów została oddalona już w maju 2018 r., nie, które inne w lutym 2019 r. Ostatecznie pozostał jeden, oskarżający kardynała o gwałt oralny na dwóch chórzystach w roku 1996. Miał on mieć miejsce w katedralnej zakrystii po uroczystej liturgii. Nic w tym oskarżeniu się nie kleiło. Był tylko jeden oskarżyciel uważający się za ofiarę, było świadectwo drugiej potencjalnej ofiary, która przed śmiercią zaprzeczała, że do zdarzenia doszło. Były okoliczności czyniące całą narrację wręcz nieprawdopodobną, były wreszcie manipulacje prokuratury. Ujawnione też

zostało, że australijskie służby od lat prowadziły akcję szukania haków na Pella. Sędzia Peter Kidd, znany z surowości, gdy ogłaszał wyrok wydany przez przysięgłych, mówił o panującej w czasie procesu atmosferze linczu.

Kardynał swoje notatki zaczął pisać pierwszego dnia pobytu w izolacji i robił to konsekwentnie. Taki rodzaj literatury jest dziś rzadkością. Zapiski nie są w żadnej mierze chaotyczne, z czasem układają się w zestaw spraw systematycznie omawianych. Życie więzienne, sprawy związane z procesem, rozważania nad tekstami z brewiarza, wypisy z otrzymywanej w dużej ilości korespondencji i komentarze do niej, wreszcie osobiste modlitwy komponowane na każdy dzień – w „Dzienniku” znajdziemy pejzaż naszej epoki zapisany w gatunku literackim, który należy już raczej do minionych epok. Może dlatego tak dobrze się sprawdza, może dlatego Pella tak dobrze się czyta? Prosta i bezpośrednia forma daje poczucie towarzyszenia więźniowi.

„Ale proszę mi wierzyć, już teraz coś się budzi w sercach tak wielu ludzi, że z czasem przyniesie to wspaniałe owoce. Czas, który książd kardynał spędza w więzieniu, i towarzyszące temu cierpienie mogą dla wielu okazać się pomocne dla ich własnego zbawienia” – czytamy w cytacie z korespondencji podanym przez Pella. Takie cytaty to właściwie jedyne miejsca, gdzie autor – słowami obcych sobie ludzi – przemycia informację o tym, że nie jest to dla niego łatwy czas. Jednocześnie w żadnym razie nie buduje sobie „Dziennikiem...” pomnika, wspomina o emocjach, jakie mu towarzyszą, ale bez popadania w złą poufałość z czytelnikiem. Dobry literacko tembr głosu kardynała uderzy każdego, kto próbował być diarystą. Kolejne notatki wieńczące mijające dni czyta się z dużą lekkością.

KRYTYCZNA WERYFIKACJA

„Nie mogę powiedzieć, że bardzo brakuje mi aktualnych doniesień z Rzymu” – pisze w pewnym momencie Pell, pojawiają się bowiem sygnały, że atak na niego mógł być inspirowany przez niezadowolonych watykańczyków. W innym miejscu notuje: „Wierność Chrystusowi i Jego nauczaniu jest nieodzownym elementem



KARD. GEORGE PELL
„DZIENNIK
WIĘZIENNY.
APELACJA”
WYDAWNICTWO
RAFAEL 2021

owocnego katolicyzmu, każdej odnowy religijnej. Dlatego tak niebezpieczna jest argentyńska i maltańska, »zatwierdzona« interpretacja »Amoris laetitia«. Są one jawnie sprzeczne z nauczaniem Pana Jezusa na temat cudzołóstwa, a także naukami św. Pawła co do warunków koniecznych do godnego przyjmowania Komunii Świętej” – pisze Australijczyk, niejeden zresztą raz polemizując z kierunkami pontyfikatu Franciszka.

Te polemiki przybierają też sporadycznie charakter krytycznej weryfikacji własnej biografii. Tak dzieje się choćby we fragmencie poświęconym formacji teologicznej księży. Tam, gdzie Franciszek widzi często krytykowaną „szytywność”, Pell dostrzega większą mądrość duchownych młodszego pokolenia. „Pocieszające w tym naszym lokalnym zamieszaniu jest to, że tak wielu spośród dzisiejszych młodych księży cechuje duchowa niezłomność i przestrzeganie tradycyjnej teologii. Niepodobni są w tym do nas, duchowieństwa czasów posoborowych, w latach 60. i 70., kiedy często czuliśmy się niepewni i zdezorientowani z powodu tego wyczuwalnego w powietrzu powiewu rewolucji”.

Przeglądam kolejne zaznaczone ołówkiem cytaty z „Dziennika więziennego” – dotyczą spraw Kościoła i toczących się w nim debat, czasem polityki, nieraz tego, jak ludzie bliscy Pellowi, a czasem zupełnie dalecy reagują na uwięzienie kardynała. Nie brakuje często dowcipnych uwag dotyczących oglądanych w telewizji rozgrywek futbolu australijskiego, który Pell uprawiał na wysokim poziomie w młodości. Trzeba by tych fragmentów przytoczyć jeszcze przynajmniej kilka, by oddać smak tej ciekawej książki.

Pierwszy tom, z trzech, „Dziennika więziennego” kończy się w połowie czerwca 2019 r. Przed kard. George’em Pellem jeszcze wiele tygodni uwięzienia. Więcej, niż się spodziewa – w sierpniu odrzucona zostanie pierwsza z apelacji i sprawy staną wtedy na ostrzu noża. Elementarna sprawiedliwość i chrześcijańska wolność w Australii zawiśnie właściwie na jednym głosowaniu Sądu Najwyższego. Jestem bardzo ciekaw, jak na to wszystko patrzył kardynał, dobrze, że kolejne tomy zobaczymy już wkrótce.



Jakub Wozinski

Przyjęcie bez zastrzeżeń Europejskiego Zielonego Ładu może się okazać dla polskiego rolnictwa ogromnym ciosem. Nie zmieni tego nawet przygotowany przez PiS program dla wsi

Polska znalazła się w samym oku ekocyklonu. Jako członek Unii Europejskiej będzie się musiała w najbliższych miesiącach mierzyć z narastającymi kosztami związanymi z wdrażaniem pakietu „Fit for 55”. Efekty tego już dziś stają się widoczne w całym sektorze energetycznym, a wkrótce przeniosą się na dziesiątki innych branż (jak choćby motoryzację, budownictwo czy transport). Na tym niestety nie koniec, ponieważ od wielu miesięcy trwają rozmowy na temat epokowych zmian w unijnej Wspólnej Polityce Rolnej (WPR), które z pewnością wywołają prawdziwą falę wstrząsów nie tylko wśród samych rolników, lecz także wszystkich konsumentów żywności.

Proponowane zmiany są rozległe, a wśród nich uwagę zwraca choćby postulowane stworzenie nowego trzeciego filaru WPR. Za pierwszy z nich uważa się dopłaty bezpośrednie dla rolników, drugi to rozwój obszarów wiejskich, a najnowszy to „społeczna warunkowość”. Za tym terminem kryje się stworzenie nowych, wyśrubowanych ekologicznie norm w zakresie panujących w rolnictwie warunków pracy. Zaslugą polskiego rządu jest to, że stanowczo sprzeciwił się niezwykle radykalnym propozycjom, aby m.in. powiązać unijne wsparcie finansowe z przestrzeganiem prawa pracy i określonych standardów socjalnych, lecz ostatecznie i tak urzędnicy uzyskają nad rolnikami jeszcze większą władzę.

Zgodnie z przyjętą w maju 2020 r. unijną strategią na rzecz bioróżnorodności 2030, która zakłada m.in. dynamiczne zwiększenie udziału rolnictwa ekologicznego oraz ograniczenie stosowania pestycydów i środków przeciwdrobnoustrojowych. W ramach Europejskiego Zielonego Ładu dla rolnictwa postuluje się także propagowanie zdrowego odżywiania, ograniczanie marnowania żywności, polepsza-



FOT. ADAM STOK

Zielony rozkład polskiego rolnictwa

nie dobrostanu zwierząt oraz zapewnienie wystarczającej podaży niedrogiej żywności bogatej w składniki odżywcze. Założenia bezdyskusyjnie szczytne, lecz jak zwykle w tego typu przypadkach wszystko rozbija się o to, w jaki sposób mają zostać wprowadzone w życie.

POLSKA JAK GŁUPI JASIO

Wdrażanie nowych strategii będzie niestety przebiegało w sposób niezwykle radykalny, ponieważ zakłada m.in. przeznaczenie aż 10 proc. wszystkich gruntów rolnych na ugory i 25 proc. na uprawy ekologiczne. Komisja Europejska deklaruje, że na wsparcie w realizacji tych wytycznych zamierza przeznaczyć aż 400 mld euro w perspektywie kilku lat, lecz podwyższenie norm w liczącej blisko 450 mln mieszkańców wspólnocie przełoży się niestety na ograniczenie podaży podstawowych produktów. Wedle niektórych szacunków doprowadzi to do spadku produkcji mięsa aż o ok. 15 proc., a mleka o ok. 10 proc. Jednocześnie o ok. 10 proc. wzrosną koszty produkcji. Zdaniem przedstawicieli Komisji Europejskiej spadek poziomu sprzedaży ma być rolnikom zrekompensowany właśnie przez powszechny wzrost cen. Irytacji tego typu rozwiązaniami nie kryje były minister rolnictwa i rozwoju wsi Jan Krzysztof Ardanowski: – W przypadku Zielonego Ładu dla rolnictwa, czyli dwóch strategii: „Od pola do stołu” i „Bioróżnorodności”, Komisja Europejska nie przed-

stawiła żadnych analiz ekonomicznych, które pokazywałyby, jaki będzie to miało wpływ na rynek żywności, na zaopatrzenie konsumentów, na produkcję żywności na eksport, na dochody rodzin rolniczych. A przecież Europa i kraje, które mają korzystne warunki do rozwoju rolnictwa, muszą także brać odpowiedzialność za wyżywienie znacznej części światowej populacji, która żyje na obszarach, gdzie żywności brakuje i nie wyprodukują jej ze względu na brak gleb, wody, zasolenie lub ekstremalne temperatury. To jest moralny obowiązek i nie można zwinąć rolnictwa oraz ograniczać produkcji, twierdząc, że nam starczy. Zresztą nawet i nam nie starczy, ponieważ istnieją analizy tzw. służb naukowych Komisji Europejskiej, np. Uniwersytetu w Kolonii, które mówią wprost, że Europejski Zielony Ład dla rolnictwa doprowadzi do ogromnego zmniejszenia produkcji żywności w Europie, Europa stanie się importerem, a wszystko przełoży się na katastrofę znacznej części gospodarstw rolnych. Polska musi reagować, a nie jak głupi Jasio przytakiwać i popierać te różnego rodzaju ideologiczne bajki, które głosi Unia Europejska. Tego właśnie oczekuję od rządu oraz PiS.

Powodów do niepokoju jest niestety mnóstwo, ponieważ Unia Europejska już dziś ma najwyższe koszty produkcji rolnej na całym świecie. Ponadto nowa Wspólna Polityka Rolna jeszcze bardziej gmatwa i tak już skomplikowany i niezwykle

zbiurokratyzowany system urzędniczej kontroli, gdyż wprowadza kilkadziesiąt nowych wariantów pomocy udzielanej rolnikom.

AUTODESTRUKCJA NA ŻYCZENIE

Prezes Instytutu Gospodarki Rolnej Szczepan Wójcik zwraca również uwagę na manipulację, która miała miejsce w związku publikacją wstępnego raportu Wspólnego Centrum Badawczego Komisji Europejskiej ukazującego przewidywalne skutki wprowadzanych zmian. Po raz pierwszy ukazał się on w sierpniu, lecz niedawno wyszło na jaw, że gotowy był już sześć miesięcy wcześniej. Publikacji we wcześniejszym terminie zaniechano najprawdopodobniej po to, aby nie utrudnić akceptacji zmian przez kraje członkowskie. Zdaniem Wójcika zarówno wspomniany raport, jak i niezależnie prowadzone badania ukazują wprost ryzyko bezprecedensowego zniszczenia potencjału produkcyjnego europejskiego rolnictwa: – W związku z tak niespotykanym podejściem do oceny skutków regulacji wiele agend na własną rękę zaczęło prowadzić badania dotyczące skutków wprowadzenia strategii „Od pola do stołu”. Tymi, które już teraz mówią o wynikach, są np. badania Piotr Szajnera, kierownika Zakładu Badań Rynkowych Instytutu Ekonomiki Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej. Zespół badaczy zajął się w tym przypadku skutkami dla jednego z najprężniej rozwijających się w Polsce sektorów produkcji mleka. Wykazano wiele zagrożeń dla rolników zajmujących się produkcją mleka, spółdzielni, mleczarni. Wnioski te są zbieżne z tymi, do których doszło przywołane Wspólne Centrum Badawcze Komisji Europejskiej. [...] Zmiany w produkcji mogą doprowadzić do zmniejszenia pozycji eksportowych netto w przypadku zbóż, wieprzowiny i drobiu oraz do pogłębienia deficytu handlowego UE w przypadku nasion oleistych, owoców i warzyw, wołowiny, mięsa baraniego i koziego.

Polski rząd przyjął niestety niezwykle bierną postawę i pomimo zgłaszanych uwag do wybranych segmentów nowej Wspólnej Polityki Rolnej zasadniczo zaakceptował kierunek zmian wyznaczony przez Brukselę. Świadczy o tym chociażby fakt, że przy okazji niedawnej prezentacji liczącego siedem głównych punktów Polskiego Ładu dla wsi zabrakło jakiegokolwiek istotnego odniesienia się do zagrożeń płynących z europejskiego Zielonego Ładu. Politycy PiS zaproponowali m.in. dopłaty

na budowę zbiorników retencyjnych, stworzenie bezpłatnych miejsc dla handlu rolniczego w miastach, odbudowę polskiego przetwórstwa oraz osobny system dopłat dla małych i średnich gospodarstw. Zdaniem Jana Krzysztofa Ardanowskiego stanowi to rodzaj uniku: – Słabością siedmiu propozycji przedstawionych przez prezesa Jarosława Kaczyńskiego i premiera Mateusza Morawieckiego jest właśnie to, że PiS nie odnosi się w żaden sposób do Zielonego Ładu. Osobiście uważam, podobnie zresztą jak rolnicy w Polsce i w całej Europie, że Zielony Ład bardzo negatywnie odbija się na rolnictwie, a jego konsekwencje odczuwają zarówno rolnicy, jak i konsumenci, poprzez drożyznę czy niewystarczającą produkcję żywności. Według danych naukowych Europa stanie się importerem netto żywności za sprawą sztucznie wprowadzonych ograniczeń. Chciałbym, aby Prawo i Sprawiedliwość odniosło się do Zielonego Ładu krytycznie, tak jak czynią to coraz bardziej zarówno naukowcy w Europie, jak i całe środowisko rolnicze w krajach europejskich oraz w Polsce. Komisarz rolnictwa Janusz Wojciechowski z uporem maniaka twierdzi, podobnie zresztą jak inni politycy europejscy, że Zielony Ład będzie korzystny dla europejskiej gospodarki i rolnictwa. Niestety, nie ma w tym zakresie żadnej refleksji nad realnymi skutkami Zielonego Ładu.

Ogromnym paradoksem całej sytuacji jest niestety to, że tak szkodliwe dla polskiego i europejskiego rolnictwa zmiany wdrażane są właśnie za kadencji pierwszego w historii polskiego komisarza odpowiadającego za kwestie agrarne. Szczepan Wójcik nie kryje zdziwienia, że Janusz Wojciechowski firmuje swoją osobą i urzędem rewolucyjne zmiany, które w istocie zostały zaprojektowane przez kogoś innego:

– Ciekawą sprawą jest przede wszystkim to, że żadna polityka, która w mojej opinii, będzie miała ogromny i zgubny wpływ na europejskie rolnictwo, nie podlega bezpośrednio komisarzowi ds. rolnictwa. Za zapisy Zielonego Ładu odpowiada wiceprzewodniczący Komisji Europejskiej Frans Timmermans. Niestety, z racji piastowanej funkcji twarzą tych zmian stanie się Polak – Janusz Wojciechowski, który, co gorsza, broni forsowanych przez Komisję Europejską zmian. Nie wiem, z czego wynika takie podejście komisarza do reform: czy jest przejawem życzeniowego, idyllicznego podejścia do rolnictwa z pominięciem tego, że wieś to przede wszystkim miejsce wytwarzania żywności, czy wynika

z próby bronięcia aparatu władzy, którego jest się częścią. Nie wiem. Niestety, to samo pytanie nieustannie zadają mi koledzy z organizacji rolniczych z innych państw Unii Europejskiej. Wszyscy pytają: Dlaczego reprezentant tak ważnego rolnictwa kraju jak Polska godzi się na takie zmiany i staje się ich twarzą?

Tak jak w przypadku wielu innych dziedzin gospodarki rządząca ekipa traktuje niestety unijną politykę klimatyczną jako przesłankę, z którą się nie dyskutuje. Bruksela jako dogmat traktuje maksymę głoszącą, że brak działania w sprawie klimatu nie jest żadną opcją. Bezwiedne podążanie za ekofanatyzmem (i czerpiącym z niego krociowe zyski ekobiznesem) może jednak doprowadzić ostatecznie do ogromnych szkód zadanych własnemu narodowi oraz własnemu bezpieczeństwu, gdyż ekonomiczne wyniszczenie rodzimych producentów może nas skazać na przejęcie znacznej części produkcji rolniczej przez wielki, międzynarodowy kapitał.

ŻYCZENIOWE MYŚLENIE

Rok temu PiS ogłosił zamiar wprowadzenia tzw. piątki dla zwierząt, która po wielu protestach została ostatecznie odłożona do legislacyjnej zamrażarki. Już sam zamiar jej przeforsowania pokazał jednak, że rządzący nie mają oporów przed złożeniem w politycznej ofercie nawet całych branż zapewniających tysiące miejsc pracy oraz że ich myślenie również jest zainfekowane złe rozumianą troską o naturę. Brak zdecydowanej reakcji na nadciągające kłopoty związane z Europejskim Zielonym Ładem stanowi tak naprawdę powtórkę ze sławetnej „piątki”, gdyż po raz kolejny polskie rolnictwo znalazło się w ogromnych tarapatach.

Zielony Ład w rolnictwie ma zacząć obowiązywać dla chętnych państw już od 2023 r., lecz od 2025 r. ma stać się obowiązkowy dla wszystkich. Pozostało więc wciąż nieco czasu, aby w porę wycofać się z najbardziej szkodliwych mechanizmów i zawalczyć o polskie rolnictwo. – Konieczne jest rozpoczęcie dyskusji na temat tego, co należy zrobić, aby zabezpieczyć przyszłość polskich rolników w związku z nowym Zielonym Ładem oraz jak zagwarantować, że po wprowadzeniu forsownych reform Polska nadal będzie krajem suwerennym żywnościowo. Musimy odejść od życzeniowego podejścia do tej ogromnej reformy, a zacząć rozmawiać o faktach – dodaje Szczepan Wójcik.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Budżet pozabudżetowy

Budżet pozabudżetowy, czyli „budżet Morawieckiego” (bo tak się go podobno nazywa w kręgach rządowych), czyli „lewa” kasa rządu – lewa w tym sensie, że wydawana poza kontrolą parlamentu, puchnie w oczach. Widać to po gwałtownie powiększającej się luce między poziomem zadłużenia publicznego Polski mierzonego metodą unijną a poziomem tegoż zadłużenia mierzonego metodą krajową, polską. Luka, która co prawda (niestety) istniała zawsze, lecz zazwyczaj nie przekraczała 50 mld zł rocznie, teraz idzie już w setki miliardów złotych rocznie.

O ile jeszcze w 2019 r. ten „budżet Morawieckiego”, na który składają się wydatki rządu poukrywane w przeróżnych instytucjach (w Polskim Funduszu Rozwoju, Krajowym Funduszu Drogowym, Funduszu Przeciwdziałania COVID-19 itd.), wynosił „zaledwie” 2,4 proc. PKB, to w 2020 r. już aż 9,7 proc. PKB, w 2021 r. – 11,6 proc. PKB, a w 2022 r. ma wynieść 12,8 proc. PKB, czyli – licząc w polskich złotych – ponad 347 mld zł. A w 2025 r. ten jakże pomocny w pozyskiwaniu wyborców rządowy „raj wydatkowy” – jak go nazywa Sławomir Dudek z Fundacji Obywatelskiego Rozwoju – sięgnie według jego szacunków aż 409 mld zł!

Można by to wszystko skwitować żartem – np. takim, że „budżet Morawieckiego” jest pilnie studiowany przez najlepszych specjalistów od kreatywnej księgowości z całego świata, czyli sze-

fów rządów i ich ministrów finansów z państw – jak się nietrudno domyślić – nienależących ani do UE, ani do EFTA, ani do OECD, a jeśli należących w ogóle do jakichś organizacji międzynarodowych, to do całkiem innych. Takich, które zrzeszają narody (i ich państwa), w których językach istnieje słowo oznaczające „kombinowanie” i oznacza mniej więcej to samo, co – jak się okazuje – nadal oznacza, choć do niedawna wydawało się, że oznaczało – w Polsce.

A na poważnie? I to śmiertelnie poważnie? Po co w ogóle – w tej sytuacji – naszemu państwu jego budżet i określająca jego wysokość oraz strukturę ustawa budżetowa? Po co coroczny – jak się teraz okazuje – cyrk z jej uchwalaniem? Ba, po co naszemu państwu zawarte w konstytucji ograniczenia dotyczące wysokości zadłużania państwa przez rząd? Po co to wszystko, skoro rząd, skoro jego szef – premier – i tak wiedzą lepiej – ba, wiedzą najlepiej, co dobre dla państwa, dla państwa i narodu – szczególnie gdy idzie o zadłużanie ich, o poziom długu publicznego, np. w relacji do PKB? I nie dość, że wiedzą najlepiej, to jeszcze potrafią tak pokombinować i zakombinować, że wreszcie i tak wykombinują, żeby było właśnie tak, jak oni chcą.

Tym bardziej że osławioną walkę z COVID, która na początku – w połowie 2020 r. – posłużyła za wygodny pretekst do włamania się przez rząd do owego „raju wydatkowego”, można – jak się okazuje – ciągnąć właściwie w nieskończoność. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Papież wielu talentów

Papież Franciszek to osoba wybitna. Nie tylko przenikliwy teolog, lecz także ekolog, ekonomista, klimatolog, a kto wie – może również specjalista od fuzji jądrowej, choć tej ostatniej swojej mądrości jeszcze nam nie objawił. Wszystko w swoim czasie.

Głowa Kościoła postanowiła tym razem przemówić do uczestników wirtualnego spotkania ruchów ludowych, walczących o „sprawiedliwość”. Trzeba tu użyć cudzysłowu, bo nie chodzi o zwykłą sprawiedliwość, ale ludową, ekonomiczną,

porozdawać biednym i niech każdy zarabia tyle samo. Być może jednak i takie zalecenia jeszcze w trakcie tego błyskotliwego pontyfikatu usłyszymy.

Winnym z kolei miejscu papież był łaskaw roztkliwić się nad ruchami protestu powstałymi po śmierci George’a Floyda. Owszem, przyznał, że tymi ruchami mogły manipulować jakieś polityczne siły, ale generalnie miały one – według papieża – naturę dobrego samarytanina. Papież nie sprecyzował niestety, w którym momencie: czy wtedy, kiedy protestujący rozwalali witryny sklepowe i wynosili – w imię sprawiedliwości społecznej – towary, czy może wtedy, gdy atakowali policję albo demolowali pomniki zasłużonych postaci historycznych.

W roku 1870 uchwalono dogmat o nieomyślności papieża, jednak dotyczy on szczęśliwie wyłącznie spraw „wiary i moralności”, jest zatem ograniczony do wypowiedzi ex cathedra. Franciszek zaś uwielbia publicystykę. Gdyby w tym charakterze zdecydował się publikować, w polskich warunkach mógłby spokojnie mieć swój felieton w „Gazecie Wyborczej”, „Tygodniku Powszechnym” oraz okienko w TOK FM.

Przez długi czas sądziłem, że zbyt daleko idą ci, którzy sugerują, że kard. Bergoglio jest jakiegoś rodzaju agentem wpływu skrajnej lewicy w Kościele. Dziś zaczynam myśleć, że mogą mieć rację. ©©

Franciszek to nie tylko teolog, lecz także ekolog, ekonomista, a kto wie – może i specjalista od fuzji jądrowej

społeczną – by nie rzec: socjalistyczną. Papież zakomunikował w swoim przesłaniu kilka spraw.

Miedzy innymi oznajmił – tu objawił się jego talent ekonomiczny – że na całym świecie powinien istnieć dochód podstawowy, niepowiązany z wykonywaną pracą. Partia Razem lubi to, ale nie bardzo rozumie, dlaczego Franciszek zatrzymał się w pół kroku i nie zaapelował o to, żeby po prostu podzielić sprawiedliwie dobra, znacjonalizować majątki bogatym,

CZY KLASA ŚREDNIA SKORZYSTA NA POLSKIM ŁADZIE?



Piotr Hofman

Propozycje Polskiego Ładu dotyczące przedsiębiorców nie przestają budzić emocji, a dyskusja wokół nich nie milknie. Rozważania nad konsekwencjami rządowego programu stały się okazją do wznowienia dyskusji na temat klasy średniej

W debacie publicznej klasa średnia nie doczekała się do dzisiaj ostatecznej definicji i umiejscowienia jej na społecznej mapie Polski. Ta grupa jawi się jako – z jednej strony – zdefiniowana poprzez swoje dochody, z drugiej strony – wykształcenie i zaangażowanie społeczne. Równocześnie wiele wskazuje, że to właśnie klasa średnia jest podstawą i fundamentem zdrowego systemu politycznego. Dzisiaj zasadnicze pytanie dotyczy pogorszenia lub poprawy jej statusu materialnego po wprowadzeniu flagowego programu partii rządzącej. W ślad za siłą i stabilnością materialną idzie bowiem również siła sprawcza w obszarze oddziaływania na procesy społeczno-polityczne.

Istnieje kilka powodów, dlaczego w rozwiniętej demokracji rynkowej klasa średnia jest jednym ze wzorów do naśladowania, a rząd i politycy odwołują się do niej. Przede wszystkim jest tak dlatego, że w zdrowym systemie powinna stanowić największą grupę społeczną. Obejmuje ona ludzi najbardziej efektyw-

nych, produktywnych i dostosowanych do współczesnego rynku pracy. Klasa średnia to ludzie, którzy mają na tyle duże dochody, że są w miarę niezależni od władzy i zmiennego losu, jednakże, wciąż – by żyć – muszą ciężko pracować. Mają większą swobodę wyboru w kwestiach decyzji życiowych dotyczących edukacji, miejsca zamieszkania, pracy czy zdolności odpowiedzi na kaprysy bieżącej polityki, aczkolwiek nadal są w pełni zależni od aktualnych regulacji prawnych i gospodarczych.

W Polsce klasa średnia jest w fazie budowy. Jeszcze nie okrzepła, nie powinno się więc jej przesadnie obciążać podatkami czy innymi daninami publicznymi. Polityka państwa powinna sprzyjać temu, żeby ludzie się bogacili, stawali się niezależni i samodzielni. Tymczasem pojawiają się pierwsze oznaki, że być może idziemy w przeciwną stronę. Wiele osób uważa, że głównym przedmiotem zainteresowania autorów Polskiego Ładu jest podział i redystrybucja, nie zaś sfera kreacji i produkcji. Autorzy wydają się wierzyć, że tylko państwo scentralizowane i paternalistyczne – takie, które rozwiązuje za obywatela wszystkie jego sprawy – może być państwem skutecznym. Nieuchronną konsekwencją tego modelu jest postawienie się rządu w roli rozdającego przywileje jednym i ograniczającego możliwości działania innym.

Taki system wpisuje się w ten sposób w niezbyt chwalebny, choć widoczną od kilku lat tendencję, że wszystkie zmiany w naszym kraju wprowadza się przeciwko komuś. Komuś, kto „korzysta, a się nie dokłada”. Komuś, kto „jest egoistyczny i nie chce się podzielić”.

Jednocześnie rząd pragnie uchodzić za przyjaznego klasie średniej. Premier wyraźnie podkreśla, że Polski Ład najmocniej wesprze klasę średnią. Wsłuchując się w wypowiedzi szefa rządu, można jednak wysnuć wniosek, że wcale nie chodzi o obecną klasę średnią, ale o tych, których – jak mówi premier – „pozytywna rewolucja podatkowa wypchnie w kierunku klasy średniej”. Osoby zarabiające od 6 do 11 tys. zł mają co prawda dostać ulgę, ale to zaledwie wyrównanie ich strat. Nieco lepiej zarabiający, ci, którzy dziś identyfi-

kują się z klasą średnią, mają stracić, aby mogli zyskać słabiej zarabiający. Bo Polski Ład to „program budowy klasy średniej dla wszystkich, a nie dla nielicznych”.

Zapowiedziany kompleksowy system ulg będzie niewystarczający, aby istotnie wzmocnić innowacyjność polskich przedsiębiorstw. Owszem to krok w dobrym kierunku, ale niektóre ulgi są złe adresowane, inne stanowią niewielkie rozszerzenie już istniejących. Trudno nie wspomnieć o systemie obliczania składki zdrowotnej, który w Polsce jest patologiczny i – zwyczajnie rzecz biorąc – niesprawiedliwy. Rolnicy płacą w nim grosze, pracownik na pensji minimalnej – w porównaniu ze swoimi dochodami – krocie, a zamożna osoba prowadząca działalność gospodarczą opłaca się ryczałtem. Szerokim echem odbiła się też walka o obronę podatku liniowego. Wprowadzony niemal dwie dekady temu 19-procentowy podatek liniowy dla osób fizycznych prowadzących działalność gospodarczą był jedną z najważniejszych proprzedsiębiorczych zmian ostatnich dekad. Jego wprowadzenie pomogło Polsce wejść na ścieżkę szybkiego rozwoju. Próby jego likwidacji lub niekorzystnych zmian na pewno nie są czymś, co wzmocni kapitałowo niewielką polską klasę średnią.

Czy Polska klasa średnia straci czy zyska na Polskim Ładzie? Z jednej strony opozycyjna narracja o wyróżnieniu klasy średniej jest mocno przesadzona i nie ma dowodów, aby była prawdziwa. Na pewno jednak Polski Ład klasie średniej nie daje narzędzi na szybki rozwój i jej poszerzenie. Państwo nie może być Robin Hoodem, który zabiera bogatszym, aby oddać biednym. Programy socjalne na pewno mają sens, ale kto je sfinansuje? I kto nagrodzi tych, dzięki którym w ogóle mają rację bytu. To ciężko pracujący polscy przedsiębiorcy płacą największe podatki i dają największej miejsc pracy w kraju. I to dzięki nim możliwa jest realizacja – jakże potrzebnych społecznie – programów socjalnych. Należy im się szacunek i wsparcie. To ważne, aby autorzy nowych rozwiązań i zmian społeczno-gospodarczych zawsze o tym pamiętali.



Łukasz Warzecha

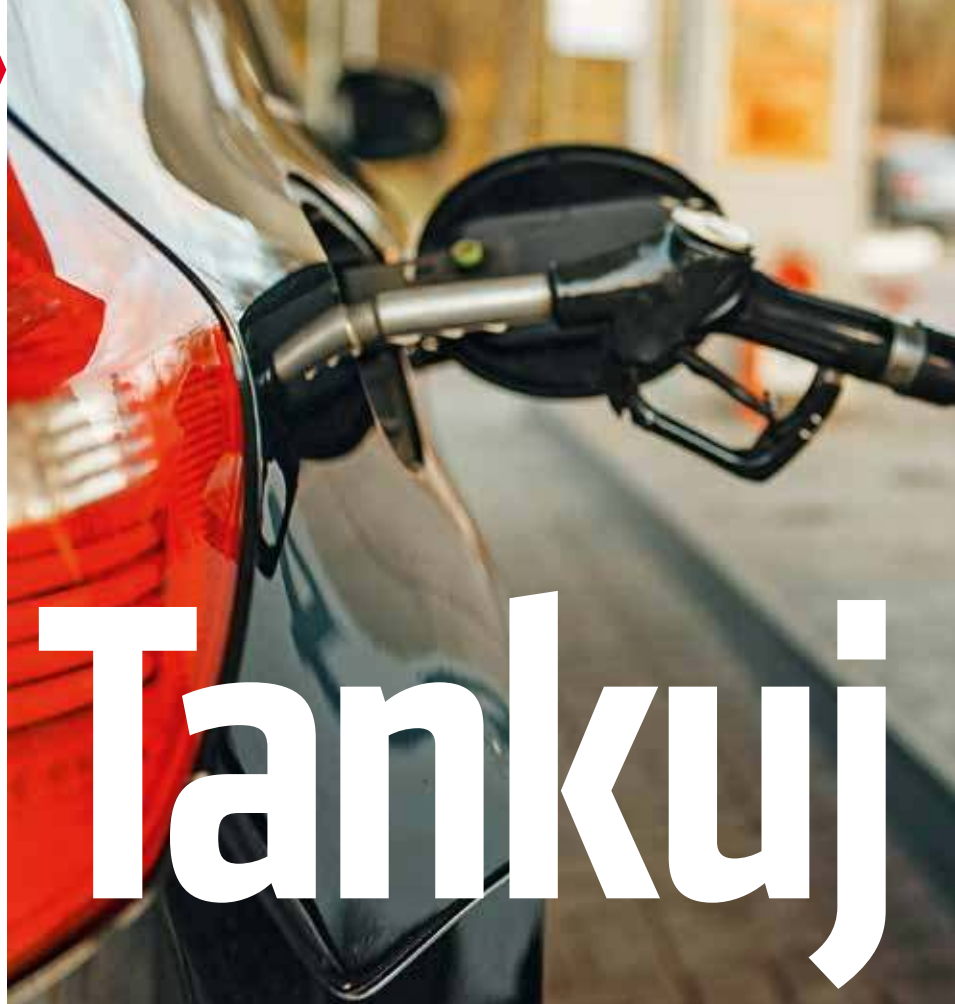
Jest drogo, będzie drożej – tak ostatnio eksperci podsumowują sytuację na rynku paliw

Droga benzyna – a także olej napędowy i autogaz – stały się narzędziem politycznego PR. Obie strony sporu przypominają dwie słynne wypowiedzi dotyczące cen paliwa.

Pierwsza to wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego, który na konferencji prasowej w 2011 r. wystąpił z kanistrem podzielonym na dwie części. Dolna, zielona, pokazywała „koszty paliwa – 2,62”, górna, czerwona – „podatki 2,64”. (Z dzisiejszego punktu widzenia suma, czyli 5,26 za litr, wygląda bardzo atrakcyjnie). W radiowej reklamówce komitetu wyborczego PiS (był to rok wyborczy) głos prezesa PiS stwierdzał, że on obniżyłby akcyzę na paliwo, „ale do tego potrzeba odwagi i odpowiedzialności”.

Tę konferencję i wypowiedź prezesa Kaczyńskiego przypomina się dziś często, a ostatnio lider obozu władzy pośrednio odniósł się do niej w wywiadzie dla RMF. Powiedział tam wyraźnie, że obniżki akcyzy nie będzie, ponieważ pieniądze z niej są potrzebne na spełnianie obietnic, a konkretnie – realizację Polskiego Ładu. Jak zatem widać, punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Faktycznie, wpływy z akcyzy są dla budżetu istotne. W przedpandemicznym roku 2019 wyniosły blisko 34 mld zł (z całego sektora paliw, a więc nie tylko z paliw tankowanych na zwykłych stacjach), czyli niemal jedną dziesiątą wszystkich wpływów budżetowych zaplanowanych na tamten rok.

Druga słynna wypowiedź to słowa Jacka Krawca, prezesa Orlenu za rządów PO, który w rozmowie nagranej po kryjomu w Sowie i Przyjaciółach przypomniał zdanie wypowiedziane przez Donalda Tuska po wyborach w 2011 r. (kiedy ropa poprzednio była rekordowo droga na światowych rynkach). Krawiec mówił: „Jak była ta kampania 2011 r. i oni tam z cenami jechali cały czas, że paliwo po 6 zł, PiS napie.....ł. No i jest ta impreza w Focusie, już wiadomo, że wygraliśmy. Z Donaldem się spotykam i on: »Teraz, k....a, to paliwo może być nawet i po 7 zł«”.



Paliwo nie sięgnęło aż takiego pułapu, choć faktycznie w powyborczym 2012 r. było wyjątkowo drogie i kosztowało blisko 6 zł – jednak wciąż mniej niż obecnie. Później jednak jego cena zaczęła spadać.

RZĄD MOŻE OBNIŻYĆ PODATKI

Z paliwami sytuacja jest skomplikowana i nie da się jej prosto opisać, w grze jest bowiem wiele czynników. To między innymi dlatego tak trudno przewidywać, jak zachowają się ceny na stacjach w kolejnych miesiącach.

Najłatwiej stwierdzić, jaką część ceny stanowią składniki inne niż cena produktu opuszczającego rafinerię. A to zmieniło się w Polsce mocno na niekorzyść od 2008 r., gdy baryłka ropy notowała pierwszą ogromnąwyżkę od czasu kryzysu naftowego w latach 70. i kosztowała blisko 110 dol. (ropa Crude). Wówczas jednak opodatkowanie litra benzyny było w Polsce niższe niż dzisiaj, bo dopiero od 2009 r. zaczęły obowiązywać narzucone nam przez UE minimalne stawki akcyzy na paliwa. Samo ich istnienie jest zaprzeczeniem wolnej konkurencji, ale Unia uważa, że właśnie do przesadnej konkurencji w tej dziedzinie pomiędzy państwami dopuszczać nie można.

Obecna minimalna stawka akcyzy na benzynę to 359 euro na 1000 l, czyli ok. 1,65 zł na litr; i jest to największa podatkowa składowa ceny na stacji. Tutaj pole manewru rządu jest rzeczywiście niewielkie, bo zgodnie z obwieszczeniem ministra finansów akcyza w tym roku to 1771 zł na 1000 l. Choć o kilka groszy wciąż można by ten parametr obniżyć.

Poza tym w cenie paliwa mamy VAT – 23 proc. Tutaj już rząd mógłby działać, zmieniając stawkę na niższą. Podobnie jest w przypadku opłaty paliwowej (155,49 zł na 1000 l benzyny silnikowej), która jest zwykłą daniną na rzecz fiskusa, niemającą żadnego specjalnego uzasadnienia. No i wreszcie od 2018 r. płacimy po 10 gr opłaty emisyjnej od litra benzyny. To już autorski pomysł PiS, a opłata emisyjna miała wspierać przechodzenie na transport „ekologiczny”, w tym dopłaty do aut na baterię. Opłatę emisyjną można zlikwidować zwykłą ustawą w ciągu jednego dnia.

Zatem o ile w sprawie akcyzy wiele zrobić nie można (wiele nie, ale trochę jednak tak), to kilkoma ruchami można by łatwo ściąć z ceny litra benzyny przynajmniej kilkadziesiąt groszy obciążeń fiskalnych. Zachęca do tego zresztą nawet



i płac

Komisja Europejska, która przedstawiła kilkanaście dni temu zestaw narzędzi, po które mogą sięgać rządy, aby zbić szybką cenę energii, w tym paliw. Jest wśród nich właśnie czasowe obniżenie obciążeń podatkowych. Zrobiła to już Portugalia, zmniejszając opodatkowanie benzyny o dwa centy na litrze i o cent w przypadku oleju napędowego. Na portugalskim rządzie taki ruch wymusił nacisk rosnących społecznych niepokojów, w tym groźby strajku przewoźników. Polski rząd na razie niejasno wspomina o jakiejś interwencji. Jeśli nie ma ona polegać na obniżeniu opodatkowania, to pozostaje jedynie polityczna dyspozycja dla Orlenu, aby zszedł ze swojej marży producenta paliw. Na razie jednak nic na to nie wskazuje.

Minimalną składową ceny litra benzyny są marże stacji. Wbrew temu, co sądzą wiele osób, stacje na sprzedaży paliw zarabiają bardzo niewiele, a czasem nawet wcale. Jeśli dzisiaj widzimy, że ceny standardowego paliwa wciąż chwieją się poniżej 6 zł, to wynika to właśnie z obniżania marży sprzedawców, którzy z każdego litra mają najwyżej kilkanaście albo nawet jedynie kilka groszy, a bronią się przed złamaniem kolejnej psychologicznej bariery cenowej. Na

najmniejszych marżach działają stacje najbardziej okrojone, gdzie do utrzymania jest minimalna infrastruktura, takie jak te przy hipermarketach, gdzie poza dystrybutorami nie ma właściwie nic. One zarabiają na wolumenie sprzedaży, a paliwa dla wielkich sieci handlowych to i tak poboczna działalność.

ROPA I GLOBALNA NIEPEWNOŚĆ

Znacznie trudniej zrozumieć zależności cenowe na wcześniejszym etapie, czyli od wydobycia do rafinerii. W czasie zwyczajki sprzed 10 lat cena baryłki ropy Brent sięgała ponad 120 dol., dziś oscyluje w granicach 80 dol., a więc znacznie mniej, ale też wyraźnie więcej niż w covidowym dołku z ubiegłego roku. Grają tu rolę dwa czynniki: wydobycie i gra spekulacyjna na giełdach.

Za ograniczenie wydobycia odpowiada grupa OPEC Plus, do której należą przede wszystkim dwaj najwięksi producenci – Arabia Saudyjska i Rosja – oraz między innymi Kuwejt, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar, Nigeria, Libia czy Wenezuela. Od momentu powstania w 1960 r. w Bagdadzie OPEC (OPEC Plus to format powiększony o kilka państw niebędących członkami kartelu) usił-

je balansować wielkością wydobycia w taki sposób, żeby osiągnąć optymalny rezultat, jeśli chodzi o wpływy. Zbyt duże ograniczenie wydobycia winduje ceny, ale zarazem zmniejsza wolumen sprzedaży, co może się odbić na zyskach; powiększenie wolumenu zwiększa sprzedaż, ale obniża cenę, zatem też może zmniejszyć zyski. Wewnątrz grupy zawsze negocjuje się, które kraje mają ograniczać wydobycie bardziej, a które mniej. Jest też czynnik polityczny, bo przecież wydobycie ropy – jak widzimy we własnych portfelach – wpływa na sytuację mnóstwa państw świata, w tym na ich politykę wewnętrzną. Ten czynnik z pewnością uwzględnia Rosja.

Dzisiejsza sytuacja jest skutkiem globalnej niepewności. Państwa eksportujące ropę obawiają się, że kryzys pandemiczny może jeszcze uderzyć, i nie chciałby powtórki z 2020 r., dlatego nie zamierzają znacząco zwiększać wydobycia ani uruchamiać rezerw. Zarazem ropa jest przedmiotem giełdowych spekulacji, które również windują jej cenę.

Polityczny spór w Polsce dotyczy tego, czy benzyna jest droga czy nie. Porównywanie bezwzględnych cen paliwa z innymi państwami UE nie ma oczywiście sensu. Rząd broni się natomiast, że dzisiaj za przeciętne wynagrodzenie Polak może kupić więcej paliwa niż 10 lat temu. Co do tego nie ma wątpliwości. Trzeba jednak pamiętać, że jest to wciąż znacząco mniej niż na Zachodzie, a przeciętne wynagrodzenie jest sztucznie windowane przez ustaloną rządowymi rozporządzeniami, od dawna bez zgody w Radzie Dialogu Społecznego, minimalne pensję i stawkę godzinową. Trzeba też pamiętać o inflacji. Ona sprawia, że nasza siła nabywcza, gdy idzie również o benzynę, znacząco spada, a przecież inflacja powoduje w ogóle, że w portfelach zostaje nam mniej pieniędzy. Zarazem wysokie ceny paliwa są jednym z najważniejszych inflacjogennych czynników. To złe błędne koło.

W 2019 r. przeciętne wynagrodzenie netto wynosiło ok. 3,7 tys. zł. Można było za to kupić (licząc ok. 5 zł za litr – taka cena była w listopadzie tamtego roku) ok. 740 l benzyny 95. Dziś to już tylko 720 l (najnowsze wyliczenia portalu Konkret24) i od stycznia tego roku widać systematyczny i radykalny spadek tej wartości. Wciąż brakuje trochę do parametru ze stycznia 2015 r., ale zbliżamy się zatrważająco szybko do tamtego poziomu.



Z prof. Haliną Bartosik-Psujek, neurologiem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Zatrzymać postęp SM

KATARZYNA PINKOSZ: 45 tys. osób w Polsce choruje na stwardnienie rozsiane (SM). Kogo ta choroba najczęściej dotyka?

PROF. HALINA BARTOSIK-PSUJEK: To choroba ludzi młodych, zwykle zaczynają chorować osoby między 20. a 30. rokiem życia, choć pojawiają się też zachorowania w 40.–50. roku życia. Kobiety chorują nawet 2,5–3 razy częściej niż mężczyźni. Liczba zachorowań systematycznie wzrasta, zarówno w Polsce, jak i na całym świecie. Rośnie też dysproporcja między zachorowaniami kobiet i mężczyzn.

Dlaczego tak jest?

Tego nie wiemy. Generalnie rośnie liczba zachorowań na choroby autoimmunologiczne, częściej dotykają one również właśnie kobiet. Powodem SM są

zaburzenia w układzie immunologicznym, którego komórki atakują komórki układu nerwowego, doprowadzając do ich degeneracji i zaniku. Objawy SM są różne, co wynika z uszkodzenia układu nerwowego. Może np. pojawić się podwójne widzenie, zaburzenia ostrości widzenia, np. postępujące niedowidzenie aż do całkowitej utraty wzroku w jednym oku. Inne objawy to zaburzenia równowagi, brak koordynacji ruchowej, niedowład kończyny górnej, dolnej. Często jako pierwsze pojawiają się różnego rodzaju zaburzenia czucia, np. mrowienie, drętwienie, pieczenie w kończynach. Zdarzają się też zaburzenia w oddawaniu moczu. Tak więc może być wiele różnych objawów świadczących o różnych miejscach uszkodzenia układu nerwowego.

Wielość objawów i często ich niespecyficzność powoduje, że zdarza się, iż pacjenci długo czekają na postawienie diagnozy?

Wiele zależy od tego, czy pierwsze objawy są łagodne czy gwałtowne. Jeśli np. dochodzi do nagłej utraty wzroku, podwójnego widzenia, dużych zaburzeń koordynacji, niedowładu, to rozpoznanie jest stawiane stosunkowo szybko, gdyż nasilenie objawów jest bardzo niepokojące. Jeżeli jednak objawy są mniej nasilone, mniej charakterystyczne, np. mrowienie, niewielkie zaburzenia równowagi, które po pewnym czasie ustępują (tak dzieje się w postaci rzutowo-remisyjnej), to uspokaja to pacjenta i lekarza. A często pacjent krąży między lekarzami różnych specjalności, szukając diagnozy.

Ważne byłoby jednak szybkie postawienie diagnozy i rozpoczęcie leczenia?

Ważne jest przede wszystkim prawidłowe rozpoznanie, gdyż tego typu objawy mogą świadczyć również o rozwoju innych chorób. Dlatego może być konieczna obserwacja pacjenta. Ponadto diagnoza powinna być potwierdzona wynikami badań dodatkowych, głównie badaniem mózgu za pomocą rezonansu magnetycznego. Gdy natomiast diagnoza SM jest potwierdzona, leczenie powinno być jak najszybciej rozpoczynane. Nie mamy dziś możliwości wyleczenia, możemy jednak tak ustabilizować aktywność choroby, by pacjent przez długi czas był w dobrym stanie. Im później rozpoczniemy leczenie, tym większe zniszczenie ośrodkowego układu nerwowego i trudniej zahamować rozwój choroby. Mamy możliwość skutecznego zahamowania progresji choroby.

Nieleczona choroba postępuje? Jeśli chory będzie musiał jeździć na wózku inwalidzkim, to nie sposób będzie już cofnąć zmian, które się pojawiły?

Jeśli choroba się rozwija, to pacjent początkowo chodzi samodzielnie, potem z pomocą, podpierając się kulami, aż w końcu porusza się na wózku inwalidzkim. Przy tak zaawansowanym SM niewiele jesteśmy w stanie pomóc, dlatego tak ważne jest wczesne i skuteczne leczenie, by do tego nie dopuścić. Leczenie może zahamować tempo progresji choroby i spowodować, że pacjent dłużej będzie mógł funkcjonować w pełni sprawności lub z niewielkim deficytem. A jest to bardzo istotne, bo są to młodzi ludzie, mający rodziny, chcący pracować.

W ostatnich latach pojawiło się wiele nowych leków w SM. Jak zmieniło to sytuację pacjentów? Czy mają w Polsce możliwość ich stosowania?

Podstawowe leki – tzw. terapia pierwszej linii – są w Polsce dostępne, prawie wszystkie zarejestrowane preparaty. Stosujemy je u pacjentów, u których rozpoczynamy leczenie. Jeśli pacjent dobrze na nie odpowiada, a choroba ma stabilny przebieg, to kontynuujemy leczenie. Jeśli jednak pacjent przestaje odpowiadać na terapię, to podajemy mu tzw. drugą linię leczenia, w której mamy leki bardziej skuteczne. Niestety, w Polsce jest ogromny problem, żeby pacjent mógł przejść z terapii pierwszej do drugiej linii. Musi spełnić określone kryteria: mieć minimum dwa rzuty choroby i aktywne zmiany widoczne w badaniu rezonansowym. To opóźnia możliwość zastosowania bardziej aktyw-

Gdyby nie to leczenie, dziś byłabym na wózku

Zawsze byłam bardzo aktywna, dużo pracowałam. Razem z mężem i synkiem podróżowaliśmy, każdy weekend spędzaliśmy aktywnie. Problemy zaczęły się w 2017 r.: miałam zawroty głowy, problemy z utrzymaniem równowagi. Uważałam, że to z przemęczenia, bo długo nie brałam urlopu, w końcu jednak poszłam do lekarza. Podejrzał problemy z błędnikiem, skierował mnie do laryngologa. Wyniki były dobre, jednak czułam się coraz gorzej. Lekarz rodzinny zapisał mi skierowanie do neurologa. Po zrobieniu rezonansu pojawiło się podejrzenie stwardnienia rozsianego, jednak pani doktor nie była przekonana do takiej diagnozy. Mój stan jednak nadal się pogarszał, miałam problem z przejściem z jednego pokoju do drugiego z powodu zawrotów głowy i spastyczności mięśni, do tego dochodziły silne bóle kręgosłupa.

Trafiłam do powiatowego szpitala, gdzie wykonano wstępną diagnostykę, nie miał on jednak umowy z NFZ na diagnostykę pogłębioną. Wypisano mnie ze szpitala. Stan dalej się pogarszał, bywało, że wyszłam na spacer, a po przejściu kilkuset metrów nie byłam w stanie wrócić do domu. Gdy byłam w pracy, starałam się nawet nie chodzić do toalety, bo miałam takie problemy z chodzeniem. Schylając się do pralki, żeby wstawić pranie, potrafiłam się przewrócić. W zwykłych pracach domowych często musiał mnie wyręczać kilkuletni syn. Znowu poszłam do neurologa, pani doktor po bardzo dokładnym badaniu właściwie postawiła diagnozę SM. Skierowała mnie do szpitala, gdzie potwierdzono diagnozę stwardnienia rozsianego, postać rzutową. Miałam 32 lata. Od pierwszych objawów do postawienia diagnozy minęły dwa lata.

Sterydy postawili mnie na nogi, po badaniach jednak profesor zakwalifikował mnie do badania klinicznego nowego leku. To była dla mnie zmiana życia, zaczęłam normalnie funkcjonować, ruszać nogami, bo przedtem nie byłam w stanie ich zginać i normalnie chodzić. Zaczęłam pracować, nawet wpadłam w wir pracy. Dziś normalnie funkcjonuję, rano szykuję syna do szkoły, idę do pracy, a po powrocie wykonuję wszystkie domowe obowiązki. Dużo z mężem i synem podróżujemy, zwiedzamy. Potrafimy wstać rano, wyjechać, dziennie przechodzę 7–8 km. Mogę iść na rower, co wcześniej nie było możliwe. Nikt nie musi mnie wyręczać w domowych obowiązkach. Gdyby nie leczenie, które otrzymuję, byłabym już na wózku inwalidzkim. Uniknęłam inwalidztwa. Do dalszego leczenia motywują mnie rodzina, mąż i syn, praca.

Danuta, 34 lata

nej i skutecznej terapii. Widać to w statystykach: w Polsce 90 proc. pacjentów jest leczonych terapiami pierwszej linii, a tylko ok. 10 proc. – drugiej linii. W innych krajach Europy te proporcje układają się 70:30 lub nawet 60:40, pacjenci są tam lepiej leczeni. Innym problemem są kwestie administracyjne: nasz system opieki zdrowotnej powinien umożliwić jak najszybsze włączenie pacjentów do leczenia. Niestety, bywa, że pacjent musi czekać kilka miesięcy na rozpoczęcie terapii.

Podczas tegorocznego kongresu Europejskiego Komitetu ds. Leczenia i Badań nad SM (ECTRIMS) ogłoszono wyniki z ośmioletniej obserwacji stosowania ocrelizumabu u pacjentów z rzutowo-remisyjną oraz pierwotnie postępującą postacią SM. Wskazują na znaczące i utrzymujące się zmniejszenie postępu niepełnosprawności ogólnej. 34-letnia pani Danuta, która już niemal nie była w stanie chodzić, od kiedy otrzymuje nowy lek w ramach badań klinicznych, wróciła do życia, pracy, sprawności. Skuteczne leczenie się opłaca?

To prawda. Obecnie zaleca się, żeby osoby chore na SM od samego początku

były leczone jak najbardziej aktywnymi i skutecznymi lekami, żeby doprowadzić do zmniejszenia progresji choroby, a pacjent był ustabilizowany w jak największej sprawności. Dobrze byłoby, żebyśmy mogli stosować to wysoko skuteczne leczenie jak najszybciej po diagnozie: przynajmniej u pacjentów z wysokim ryzykiem progresji lub takich, u których w początkowej fazie obserwujemy słabą odpowiedź na leczenie lekami pierwszej linii. Brakuje nam również leku na wtórnie postępującą postać SM, taka terapia jest już zarejestrowana i dostępna dla pacjentów w innych krajach, w Polsce również czeka na refundację.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Halina Bartosik-Psujek
– neurolog, konsultant województwa podkarpackiego w dziedzinie neurologii, przewodnicząca Sekcji Stwardnienia Rozsianego i Neuroimmunologii Polskiego Towarzystwa Neurologicznego.



Katarzyna Pinkosz

Osoby, które miały ciężką reakcję alergiczną po użądleniu przez pszczołę, osę, szerszenia, powinny się odczuwać, gdyż grozi im wstrząs anafilaktyczny, a nawet zgon po ponownym użądleniu. Odczulanie w wielu przypadkach mogłoby odbywać się w przychodni, nie w szpitalu – mówią eksperci

Nawet do 8 proc. osób dorosłych ma reakcję uogólnioną po użądleniu przez owady błonkoskrzydłe. Pacjenci, którzy mieli ciężką reakcję alergiczną, czyli wstrząs anafilaktyczny, najczęściej żyją w lęku, obawiając się nawet wyjść na spacer w sezonie, gdy owady są aktywne – podkreśla prof. Marek Jutel, prezydent Europejskiej Akademii Alergii i Immunologii Klinicznej (EAACI). Osoba, która przeżyła ciężką alergiczną reakcję uogólnioną, zawsze powinna mieć przy sobie leki, które może sama natychmiast wziąć w przypadku użądlenia (w tym adrenaliny). Jeśli reakcja była silna, a testy alergiczne potwierdzą, że to reakcja IgE-zależna z powodu uczulenia na jady owadów, to powinna się odczuwać.

Odczulanie (immunoterapia) to w przypadku uczulenia na jad owadów błonkoskrzydłych (najczęściej osy, pszczoły, szerszenia) bardzo skuteczna metoda leczenia. Wiąże się jednak z koniecznością wizyt u lekarza co kilka tygodni nawet przez pięć lat (a u niektórych pacjentów z rzadkimi chorobami, np. mastocytozą, nawet przez całe życie). Warto się jednak na to zdecydować, gdyż w przypadku reakcji anafilaktycznej można nie zdążyć podać sobie adrenaliny (statystyki pokazują, że w Polsce kilkadziesiąt osób umiera co roku z powodu reakcji anafilaktycznej po użądleniu owadów, choć na pewno te dane są zaniżone).

NIE TYLKO W SZPITALU

W Polsce odczulanie alergii na jady owadów błonkoskrzydłych – w odróżnieniu od innych alergii – prowadzi się tylko w szpitalach. Kiedyś było to uzasadnione,



FOT. ADBESTOCK

Gdy odczulanie ratuje życie

gdyż zdarzały się poważne reakcje systemowe przy prowadzeniu odczulania. Obecnie są już dostępne bezpieczniejsze preparaty, typu depot, z których alergen uwalnia się wolno (w odróżnieniu od preparatów wodnych, z których uwalnia się szybko, stąd ryzyko poważnej reakcji). Są też bezpieczne schematy odczulania, które można stosować w przychodniach, pod warunkiem że zajmują się tym doświadczeni lekarze. Tak dzieje się w wielu krajach Europy.

– W Austrii 10–20 lat temu większość pacjentów była odczulana w szpitalach, potem jednak okazało się, że są dużo bezpieczniejsze preparaty, a my mamy za mało miejsc w szpitalach, a taki tryb leczenia jest bardzo kosztowny. Obecnie odczulamy w szpitalu, gdy jest to konieczne, a jeśli nie, to robimy to w poradniach alergologicznych – mówi prof. Gunter Sturm, przewodniczący Grupy Roboczej ds. Nadwrażliwości na Jad Owadów Europejskiej Akademii Alergii i Immunologii Klinicznej (EAACI). Podobnie jest w wielu innych krajach, m.in. w Szwajcarii, Niemczech, na Słowacji. Decyzję o tym, gdzie pacjent jest odczulany, podejmuje wspólnie z nim lekarz. – Bezpieczeństwo terapii w dużej mierze zależy od doświadczenia lekarza, właściwej kwalifikacji pacjenta, doboru preparatu i właściwego protokołu leczenia. Odczulanie w przychodniach, przy użyciu preparatów typu depot, może być tak samo bezpieczne jak odczulanie innych alergenów, np. roztoczy kurzu domowego czy pyłków roślin. Warunkiem jest oczywiście doświadczenie lekarza – mówi prof. Krzysztof Kowal, przewodniczący Sekcji Immunoterapii Swoistej Polskiego Towarzystwa Alergologicznego.

WYGODNIEJ DLA PACJENTA, TANIEJ DLA NFZ

W Polsce odczulanie jadów owadów jest prowadzone u ok. 2–3 tys. pacjentów rocznie. Zdaniem ekspertów to tylko niewielka część tych, którzy powinni być poddani takiej terapii. Pacjentów zniechęca konieczność dojeżdżania przez kilka lat, co kilka tygodni, do ośrodków szpitalnych, często oddalonych od miejsca zamieszkania o ponad 100 km (w całej Polsce są tylko 33 ośrodki prowadzące odczulanie). – Wiele osób nie decyduje się na immunoterapię, mimo że żyją w lęku przed użądleniem, gdyż każdy wyjazd do szpitala wiąże się z koniecznością wzięcia wolnego dnia w pracy. Nie każdy pracodawca zgadza się co kilka

tygodni na wolny dzień na odczulanie. Nawet sam dojazd jest dużym utrudnieniem, wiąże się z kosztami – podkreśla Grzegorz Baczewski, p.o. prezes Fundacji Centrum Walki z Alergią.

Stworzenie możliwości prowadzenia odczulania w przychodniach oznaczałoby spore oszczędności dla systemu ochrony zdrowia. Doskonale zrozumieliśmy to takie kraje jak Austria czy Szwajcaria, które świetnie liczą koszty, a prowadzenie odczulania w szpitalach jest zdecydowanie najdroższe.

– Wydajemy dziś w Polsce pieniądze w sposób nieracjonalny. Za odczulanie jednego pacjenta przez pięć lat NFZ płaci szpitalom ok. 63 tys. zł. Gdybyśmy zdecydowali się na zmianę systemową, polegającą na objęciu refundacją leku do odczulania i stworzenie możliwości prowadzenia immunoterapii w trybie ambulatoryjnym, to na jednej osobie zaoszczędzilibyśmy ok. 40 tys. zł. Gdyby więc 1 tys. pacjentów zdecydował się na odczulanie w przychodni, to moglibyśmy zaoszczędzić ponad 40 mln zł. Pozwoliłoby to na objęcie odczulaniem większej grupy osób albo np. na zrefundowanie innej ważnej terapii, np. w onkologii – mówi prof. Marcin Czech, prezes Polskiego Towarzystwa Farmakoekonomicznego i były wiceminister zdrowia.

Dzięki możliwości prowadzenia odczulania w przychodniach większa grupa pacjentów mogłaby zdecydować się na odczulanie. – Oznaczałoby to dla nich mniejsze koszty dojazdów, nie traciliby dni pracy. Nie tworzylibyśmy kolejnych dni absencji chorobowych, zredukowalibyśmy koszty utraconej produktywności – zaznacza prof. Czech.

– Na podstawie wyliczeń farmakoekonomicznych może się wydawać, że jesteśmy krajem bogatszym od Austrii i Szwajcarii – zauważa Grzegorz Baczewski.

EPIDEMIA PRZERYWAŁA LECZENIE

Odczulanie alergii na jady owadów może ratować życie, dlatego już na początku epidemii COVID-19 pojawiły się zalecenia, żeby go nie przerywać. W praktyce jednak w większości ośrodków takie leczenie zostało zakończone u osób, które były odczulane powyżej trzech lat. W ich przypadku można przypuszczać, że immunoterapia była efektywna, nie ma jednak takiej pewności, co nie tylko naraża pacjenta na ryzyko przy ponownym

użądleniu, lecz także powoduje, że wydane do tej pory pieniądze NFZ mogą okazać się wyrzucone w błoto. Osoby odczulane powyżej trzech lat nie są jednak jedynymi, u których to leczenie zostało przerwane.

– Nie mamy oficjalnych danych, otrzymujemy jednak informacje z wielu ośrodków, że nawet 30–40 proc. pacjentów zaprzestało immunoterapii, a ok. 80 proc. miało na tyle wydłużoną przerwę między kolejnymi dawkami, że trzeba było w istotny sposób modyfikować sposób leczenia – mówi prof. Krzysztof Kowal, przewodniczący Sekcji Immunoterapii Swoistej Polskiego Towarzystwa Alergologicznego. Wiele szpitali, w których odbywało się odczulanie, zostało przekształcanych w covidowe. Często również pacjenci rezygnowali z przyścia do szpitala na odczulanie, obawiając się zakażenia koronawirusem. – Przerywali immunoterapię przede wszystkim pacjenci, którzy mieli inne choroby towarzyszące: choroby serca, układu oddechowego, otyłość – potwierdza prof. Jutel. A to właśnie oni szczególnie potrzebują tego leczenia.

Dziś sytuacja związana z COVID-19 jest jeszcze pod kontrolą, pacjenci w większości są odczulani w normalnym trybie, czwarta fala jednak zaczyna się już rozkręcać. Pacjenci znów obawiają się przerywania leczenia. – Sposób przeprowadzenia immunoterapii powinien leżeć w gestii decyzji lekarza i pacjenta, to nie system powinien o tym decydować. Mamy znakomitych specjalistów, wiemy, jak leczyć, jest sieć poradni alergologicznych. Muszą nastąpić decyzje dotyczące refundacji konkretnych preparatów. Jeśli tak się stanie, to NFZ będzie miał realne oszczędności, a my obejmiemy leczeniem większą grupę pacjentów. Poprawi to jakość ich życia – dodaje prof. Jutel.

– Odczulanie pacjentów w kierunku jadów owadów wyłącznie w szpitalach to „zaszłość historyczna”, nie ma powodów, by tego dziś nie zmienić. Jakość preparatów zmienia się, zarówno pod względem składu, jak i sposobu postępowania. Musimy też patrzeć w przyszłość i uczyć się na błędach: nie unikniemy kolejnej pandemii w najbliższych 5–10 latach, dlatego powinniśmy tak zmienić nasz system, by nie powtórzyły się sytuacje konieczności przerywania immunoterapii – zaznacza prof. Krzysztof Kowal.

Rozmowa z Marcinem Bruszewskim, dyrektorem generalnym ds. rynków direct CEE w Philips Health Systems

Na początku października w Zabrzu otwarte zostało Europejskie Centrum Innowacyjnych Technologii dla Zdrowia. Prezydent Andrzej Duda, otwierając Centrum, powiedział, że Zabrze ma szansę stać się jednym z najważniejszych miejsc na mapie polskiej, europejskiej, a nawet światowej bioinżynierii i medycznych innowacji. Cemu ma służyć ta inwestycja i jakie są jej główne założenia?

Europejskie Centrum Innowacyjnych Technologii dla Zdrowia (European HealthTech Innovation Center – EHTIC) to rzeczywiście jedna z kluczowych i najważniejszych inwestycji tego typu w Europie Środkowo-Wschodniej. Centrum jest wspólnym projektem Wydziału Inżynierii Biomedycznej Politechniki Śląskiej, miasta Zabrze oraz firmy Philips i będzie odgrywać rolę lidera w zakresie rozwijania i wdrażania innowacyjnych technologii medycznych. Politechnika Śląska ma w tym zakresie olbrzymie doświadczenie, kompetencje i przede wszystkim ludzi – pasjonatów, którzy chcą zrobić wiele dobrego dla innych. Mam tu na myśli przede wszystkim pana profesora Arkadiusza Mężyka, rektora Politechniki Śląskiej, czy pana profesora Marka Gzika, dyrektora EHTIC. Do powstania EHTIC przyczynił się cały sztab ludzi, również z Zespołu Philips, dzięki którym zaangażowaniu, ciężkiej pracy, kreatywności i samozaparcu w dążeniu do celu ten z pozoru nieosiągalny na początku projekt dziś znajduje swoje odzwierciedlenie w otwartym niedawno Centrum. Ważna jest także pomoc władz miasta: pani prezydent okazuje ogromną pomoc i serce dla wspierania rozwoju innowacji, a naturalna otwartość cechująca mieszkańców regionu dodatkowo sprawia, że takie inwestycje na Śląsku mają szansę na powodzenie. Cieszymy się, że możemy być częścią tego projektu i aktywnie partycypować w innowacjach, które będą tworzone w jego ramach. Ma to dla nas tym większe znaczenie, że właśnie w tym roku, w październiku, obchodzimy 100-lecie istnienia Philips w Polsce. EHTIC jest zatem pewnego rodzaju symbolem innowacji, które od zawsze płyną w DNA naszej firmy, stanowiąc pomost łączący przeszłość z przyszłością.

Nad jakimi dokładnie rozwiązaniami będą pracować naukowcy EHTIC?



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jednym z kluczowych zadań EHTIC będzie wdrażanie nowoczesnych technologii i wyrobów medycznych, służących poprawie profilaktyki, wczesnej diagnostyce i skutecznemu leczeniu chorób. Innowacje mają być skoncentrowane na badaniach nad sztuczną inteligencją, telemedycyną oraz informatyką kliniczną, a badania naukowe prowadzone będą na szeroką skalę, od wizji komputerowych i wirtualnej rzeczywistości, poprzez badania strukturalnego implantu, inżynierii wspomagającej stomatologię, do badań narządu ruchu. W ramach działalności Centrum, we współpracy z Narodowym Instytutem Onkologii w Gliwicach, rozwijane będą także rozwiązania z zakresu sztucznej inteligencji, wspierające diagnostykę

medyczne mają dać narzędzia do skuteczniejszej i przede wszystkim szybszej diagnostyki, co w wielu schorzeniach jest kluczowe w procesie leczenia.

Ponadto wyniki przeprowadzonego już dwa lata temu badania Future Health Index pokazały, że możliwość korzystania z nowych technologii medycznych odgrywa znaczącą rolę nie tylko w opinii personelu medycznego, lecz także samych pacjentów – i tak aż 82 proc. z nich deklaruowało chęć posiadania rozwiązań zapewniających im stały dostęp do swoich wyników i historii medycznej. Dziś, za sprawą pandemii COVID-19, już nie tylko dostęp do elektronicznych danych medycznych jest istotny. Obecnie obserwujemy swego rodzaju technologiczną rewolucję i rosnącą potrzebę wdrażania zaawansowanych

zakłady Philips, podobnie jak ogromna większość stolicy, zostały całkowicie zniszczone. Po wielu latach perturbacji współpraca koncernu z polskim przemysłem elektronicznym została wznowiona w połowie lat 80.

Philips od początku istnienia przeszedł olbrzymią transformację, od producenta lamp i żarówek, radiodbiorników, do sprzętu AGD. Dziś firma to lider ochrony zdrowia w obszarze sprzętu medycznego oraz rozwiązań dygitalizujących służbę zdrowia, posiadający 14 centrów referencyjnych technologii medycznych w naszym kraju, a także największe w Philips Globalne Centrum Kompetencyjne zlokalizowane w Łodzi. Jako że jesteśmy jednym z największych producentów respiratorów, tomografów komputerowych, sprzętu monitorującego funkcje życiowe pacjenta i innego sprzętu, istotnego w walce z COVID-19, kilkanaście ostatnich miesięcy to także intensywna pomoc dla służby zdrowia w Polsce. Nasi pracownicy od początku pandemii pracują ramię w ramię z medykami, wspierając ich w walce o zdrowie i życie pacjentów. Ścisłe współpracujemy także z organizacjami takimi jak Fundacja WOŚP, Fundacja Rak'n'Roll czy Fundacja OnkoCafe, działając na rzecz poprawy dostępu polskich pacjentów do szybkiej diagnostyki i leczenia.

Innowacje w służbie pacjentowi

i proces leczenia chorób nowotworowych.

Jakich korzyści z działalności Centrum mogą upatrywać pacjenci?

Centrum, choć stanowi doskonałe miejsce do rozwoju naukowego, przede wszystkim ma służyć pacjentom. W projekt zaangażowanych jest kilka podmiotów: Politechnika Śląska, Śląski Uniwersytet Medyczny, Narodowy Instytut Onkologii czy Philips – lider w zakresie nowych technologii medycznych. Taka współpraca pomiędzy inżynierami, lekarzami i biznesem jest niezwykle istotna.

Dzięki niej możliwe jest dokładniejsze zrozumienie potrzeb pacjenta i uzyskanie jak najlepszej odpowiedzi na nie. Jestem przekonany, że dzięki wymianie wiedzy, kompetencji oraz działaniu ramię w ramię będziemy w stanie wspólnie tworzyć projekty, przekładające się na realną pomoc, nie tylko polskim, lecz także zagranicznym pacjentom. Tak jak wspominałem wcześniej, tworzone w EHTIC innowacje

rozwiązań medycznych, bazujących na sztucznej inteligencji (zgodnie z danymi z raportu Future Health Index 2021). Prace prowadzone w ramach działalności EHTIC mają dać odpowiedź na te potrzeby.

Wspomniał pan, że otwarcie Europejskiego Centrum Innowacyjnych Technologii dla Zdrowia zbiegło się z obchodami 100-lecia firmy Philips w Polsce. Jaką rolę odegrała w Polsce firma Philips?

Dokładnie 100 lat temu, w październiku 1921 r., otwarto pierwszą fabrykę w Warszawie, stanowiącą jednocześnie pierwszy oddział Philips poza Holandią, z której firma się wywodzi. Fabryka lamp i żarówek została oficjalnie otwarta w 1930 r. przez prezydenta Ignacego Mościckiego oraz założyciela firmy, Anthony'ego Philipsa. W trakcie drugiej wojny światowej zakłady Philips były silnym ośrodkiem walki z okupantem – większość pracowników firmy należała do Armii Krajowej, a holenderskie kierownictwo sprzyjało ruchowi oporu. Po zakończeniu powstania warszawskie

A jakie są plany Philipsa na dalsze inwestycje w Polsce?

Philips jest firmą globalną, dla której Polska jest ważnym i liczącym się krajem. Naszym głównym celem jest wsparcie naszego rodzimego systemu ochrony zdrowia w zakresie dostarczania najbardziej innowacyjnych rozwiązań technologicznych, zapewniających efektywność i optymalizację, również kosztową, dla całego systemu, na czym skorzystają przede wszystkim pacjenci.

Te innowacje będą już niedługo powstawały m.in. w Europejskim Centrum Innowacyjnych Technologii dla Zdrowia?

Dokładnie tak. Dla nas jest to bardzo duża inwestycja, ale nie powiedzieliśmy jeszcze ostatniego słowa. Liczymy, że w naszym kraju będzie powstawać coraz więcej tego typu innowacji, bo są one niezbędne do ciągłej poprawy naszego życia. I mówię to nie tylko jako przedstawiciel firmy Philips, ale przede wszystkim jako Polak i potencjalny przyszły pacjent. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

DYNIOWE CURRY – IDEALNE DANIE NA JESIEŃ

Gdy nadchodzi jesień, a na dworze coraz chłodniej, sięgam po dania jednogarnkowe. Jednym z moich ulubionych jest curry. Aromatyczne i rozgrzewające danie z wyraźnymi przyprawami. Głównym dodatkiem jest dynia, na którą właśnie jest sezon i którą można znaleźć w każdym sklepie. Sama w sobie nie ma jakiegos wybitnego smaku, ale w tym daniu jej smak podbija ją przyprawy. Uważam, że warto korzystać z warzyw sezonowych. Rodzina i przyjaciele, dla których ugotowałem to danie, byli nim tak samo zachwyceni jak ja. Mam nadzieję, że ten przepis skradnie również wasze serca.

razem podsmażyć na oliwie, dodać pozostałe przyprawy, lekko podsmażyć, dodać wodę i podduśić do miękkości. Zmiksować. Przełożyć do garnka, dodać dynię (obraną, pokrojoną w kostkę, lekko podpieczoną w piekarniku), mleko kokosowe. Gotować 2–3 minuty. Doprawić solą, pieprzem. Gotowe curry podawać z brokułem, orzechami nerkowca, sezamem, świeżą kolendrą. ☺☺

oprac. raw

Marcin Książka – szef kuchni, pasjonat gotowania, współwłaściciel warszawskiej restauracji Żywa Kuchnia.

Składniki:

- 1,5 kg dyni
- 1 kg białej cebuli
- 50 g imbiru
- 30 g czosnku
- 30 g trawy cytrynowej
- 2 x małe chilli
- 10 g kuminu
- 15 g kurkumy w proszku
- 5 g cynamonu
- 800 g mleka kokosowego
- sól, pieprz

Dekoracja:

Brokuł, orzechy nerkowca, sezam, pomidorki cherry, świeża kolendra.

Przygotowanie:

Obrać i posiekać drobno cebulę, imbir, czosnek, trawę cytrynową i chili. Wszystko

FOT. ARCHIWUM MARCINA KSIĄŻKI



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na jagody

Razem z ostatnimi węgiernymi zamykamy sezon letnich owoców. Z miejscowych zostają jabłka, gruszki, z przyjezdnych cytrusy, banany i rozmaite efemerydy ciepłych klimatów jak figi, marakuje czy smaczny owoc o brzydkiej nazwie: kaki. Zwany inaczej persimmonem.

Kto był na południu Hiszpanii czy Włoch w zimie, ten mógł widzieć drzewa obwieszone pomarańczowymi kulami, z daleka zręcznie podszyczącymi się pod pomarańcze.

Mamy też mrożonki. Przygotowując zdrowe śniadanie, postanowiłam użyć czarnych jagód. Cóż zdrowszego i bardziej naturalnego niż jagody, przez krakowiaków zwane borówkami? Runo leśne, najbardziej swojskie ze swojskich. Tak swojskie i tak smaczne, że dały imię niejednej pięknej dziewczynie, niejednemu jogurtowi oraz opowieści Marii Konopnickiej. Długo po Konopnickiej, w późnych latach 70., na nasze osiedle Stegny w Warszawie, gdzie wówczas mieszkalam, we wczesne letnie poranki przychodziła kobieta z kosząmi wyłożonymi płótnem, a w nich... – Jagoody, jagoody, jagoody – jej śpiewny refren rozbrzmiewał melodyjnie i niósł się echem wśród bloków. I zaraz koło pani jagodzianki wyrastała gromadka lekko zaspanych

lokatorów. A ona metalową kanką o pojemności pół litra odmierzala owoce.

Jagody na wzrok, na kiszczeni... Obledciawszy parę miejsc bez skutku, w końcu nabyłam torebkę mrożonych jagódek w supermarkecie o imieniu sympatycznego owada. Z ciekawości wczytałam się w metkę. Otóż okazało się, że zamiast z naszych borów, jagódki przybyły z Kanady. Wiadomo, Kanada lasami stoi. Kraj wielki, ludzi mało,



FOT. ADOBE STOCK

borów dużo. No i przypomniałam sobie, że premier Trudeau (ten sam, który nosił kolorowe skarpetki) zniósł cło na artykuły rolne eksportowane do Europy.

Az naszymi swojskimi jagodami marnie. Zeszły rok był suchy, ten zbyt mokry, wczesne przymrozki. Do tego na rynku pojawił się konkurent: borówka amerykańska. Podobno równie zdrowa, za to słodsza i większa od naszej, w dodatku da się ją wyhodować na plantacjach, które ostatnio rozmnożyły się w całym kraju. I biedna nasza drobna, skromna jagódka przy amerykańskiej nie ma szans.

Czy znowu odłamał się kolejny kawałek starego świata? Już chyba tylko na niektórych wioskach dzieci w wakacje zbierają w lesie jagody. W piekarni wciąż jednak sprzedają jagodzianki, a gospodynie robią pierogi z jagodami. Bo jak z amerykańskich zrobić prawdziwe pierogi? Nie da się. ☺☺

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Lachowicze – litewska Jasna Góra



JACEK KOMUDA

Wielkie Księstwo Litewskie także ma swoją legendarną obronę Jasnej Góry, tyle że nie przed Szwedami, a przed Moskalami. W 1659 r., po klęsce pod Werkami, gdzie do niewoli dostał się hetman polny litewski Wincenty Aleksander Gosiewski, wojska moskiewskie zajęły prawie całe księstwo, pozostały wolne tylko Słuck i Lachowicze, dokąd schronili się szlachta i magnaci. W marcu 1660 r. dowodzący armią carską Iwan Chowański, zdobywszy Brześć Litewski, zawrócił na wschód i obległ fortecę nad rzeką Wiedźmą. Podobieństw do oblężenia Jasnej Góry pod koniec 1655 r. było niezwykle dużo.

Począwszy od tego, że prawie całe Wielkie Księstwo zajęte zostało przez Moskwę, a wielu spośród miejscowej szlachty przyjęło poddaństwo cara. Sam zamek w Lachowiczach, podobnie jak klasztor

Paulinów, był czterobastionową fortecą obsadzoną przez załogę wojskową, obrońców wspierał zaś cudowny obraz Najświętszej Marii Panny, przeniesiony tutaj w 1655 r. z Białynicz.

Zamek nie był najpotężniejszą twierdzą według standardów zachodnich, jednak – jak podaje Marcin Gawęda, autor monografii oblężenia i kampanii litewskiej – znajdowało się tutaj 29 dział różnego wagomiaru, począwszy od 25-funtowego „Murzyna” i 24-funtowych: „Bazyliuszka”, „Pioruna” i „Salvatora”, a skończywszy na lekkich armatach połowych. Niestety, artyleria była przestarzała – wspomniany „Murzyn” odlany został w 1614 r., a „Salvator” – w połowie XVI w. W arsenale znajdowały się jeszcze starsze działa krzyżackie.



FOT. DOWENA PUBLICZNA

Lachowicze wyposażone były w nowoczesne fortyfikacje – cztery bastiony połączone kurtynami: sadowy (od strony sadu) z kawalerem, czyli nadszańcem, wodny, jeden położony niedaleko „kawalera rynkowego”, a także czwarty określane jako „pusty”, czyli bez nadsypanego szańca na szczycie. Tak jak na Jasnej Górze niestrudzenie zagrzewał do obrony ks. Augustyn Kordecki, tak w Lachowiczach bohaterem obrony okazał się komendant – wojski rzeczycki Stanisław Michał Judycki, który w czasie oblężenia nie szczędził nagród dla załogi, wypłacał też żołd z własnych pieniędzy. „Forteca to jest, te Lachowicze, tak foremna; siła by o niej pisać, ale że to nie w cudzej ziemi, mało po tym opisywać, bo siła takich, co jej dobrze wiadomi; jednym słowem, nie masz takiej w Polsce żadnej” – pisał o twierdzy Jan Chryzostom Pasek.

Jak podaje Marcin Gawęda, pierwszy szturm piechota carska przypuściła dopiero na początku kwietnia, została jednak odparta. Kolejny także nie przyniósł powodzenia, co więcej – obrońcy wzięli żywcem 17 Moskali, których Judycki kazał powiesić na wałach, co wywołało wściekłość Chowańskiego. Przygotowując następny – w maju, carski wódz sprowadził na pomoc czarownika – „jakiegoś młynarza z Horodyszczu, który

obiecał, że zaczaruje wszystką zamkową strzelbę i armatę”. Przesądny Chowański uwierzył, że za pomocą czarów twierdza wpadnie w jego ręce. Jednak moc Matki Boskiej z Białynicz okazała się potężniejsza, gdyż atak spowodował duże straty wśród carskich strzelców. Później w nocy Moskale wyprowadzili jeszcze jeden szturm, który także został odparty. Dzięki męstwu i odwadze obrońcy Lachowicz doczekali w końcu odsieczy, którą przyniosły połączone siły polsko-litewskie. A mianowicie dywizja Stefana Czarnieckiego i część armii Wielkiego Księstwa pod dowództwem Pawła Sapiehy 28 czerwca 1660 r. rozbiły pod pobliską Połonką siły Chowańskiego.

„Wjeżdżał tedy Czarniecki do Lachowicz w dzień Najświętszej Panny, wyszli przeciwko niemu zakonnicy, szlachta, szlachcianki i kto tylko był w owym ciężkim oblężeniu, »Witaj!« wołając, »Zawitaj, niewyciężony wodzu, niewyciężony wojenniku, zawitaj od Boga nam zesłany obrońco!«. Byli i tacy, osobiwie z białych głów, co wołali: »Zbawicielu nasz!«» – pisał Pasek, który był świadkiem tego wydarzenia. Ciekawe, że tak jak pod Grunwaldem Krzyżacy, tak teraz Moskale mieli w taborach przygotowane stopy kajdan i dyb dla jeńców polskich i litewskich; tymczasem po bitwie zakuto w nie ich samych.

Forteca w Lachowiczach pozostawała niezdobytą aż do roku 1706, kiedy wzięli ją szturmem Szwedzi. Zamek został częściowo zniszczony, a w kolejnych stuleciach popadał w ruinę. Dziś jedynym śladem po nim jest głaz umieszczony w centrum Lachowicz. Obrona twierdzy pokazuje wyraźnie, że bez unii lubelskiej i pomocy Korony Polskiej Wielkie Księstwo Litewskie w szybkim czasie uległoby potęgze Moskwy i zapewne już w połowie XVI w. zostałoby podbite i wcielone do państwa carów. ©



TEST „DO RZECZY”: INTELIGENTNY OCZYSZCZACZ POWIETRZA STADLER FORM ROGER 2

Wysoka sprawność oczyszczania powietrza, nowoczesne wzornictwo i możliwość sterowania przez smartfona – to największe zalety jednego z najnowszych oczyszczaczy powietrza szwajcarskiej firmy Stadler Form.

Sezon grzewczy już niedługo będzie można uważać za rozpoczęty. Jednocześnie wzrasta się czwarta fala pandemii, co może oznaczać, że znów dla wielu domy i mieszkania staną się nie tylko miejscem odpoczynku, lecz także pracy. Skutki oddychania powietrzem złej jakości mogą odczuwać nawet te osoby, które nie są alergikami. A ponieważ – według danych Światowej Organizacji Zdrowia – powietrze w pomieszczeniach jest od dwóch do pięciu razy bardziej zanieczyszczone niż powietrze na zewnątrz, tradycyjnie w tym okresie zwiększa się popyt na oczyszczacze.

Testowany model stale monitoruje jakość powietrza za pomocą inteligentnych czujników. Wyniki pomiaru w czasie rzeczywistym można sprawdzić, rzucając okiem na kolorową diodę z przodu urządzenia – kolor niebieski oznacza dobrą jakość powietrza, pomarańczowy – umiarkowaną, a czerwony zły.

Stadler Form Roger 2 ma pięć trybów intensywności pracy. W najwyższym w ciągu godziny jest w stanie trzykrotnie wymienić powietrze w pomieszczeniu o powierzchni do 66 mkw. Jeśli w domu mieszka alergik, to warto ustawić urządzenie w mniejszym pokoju, tak

aby powietrze w ciągu godziny było filtrowane co najmniej pięciokrotnie. Można również ustawić tryb automatyczny, w którym urządzenie samodzielnie będzie dostosowywać moc do jakości powietrza.

Największym plusem testowanego urządzenia jest to, że oczyszczanie składa się z kilku etapów. Najpierw zasysane powietrze przechodzi przez zmywalny, tekstylny filtr wstępny z antybakteryjną powłoką Sanitized. Jego zadaniem jest zatrzymanie większych cząstek kurzu i zanieczyszczeń. Następnie powietrze jest przepuszczane przez filtr Dual Filter, który usuwa z powietrza cząstki kurzu, a także pyłki, bakterie i wirusy oraz obecne w powietrzu nieprzyjemne zapachy z kuchni, dym tytoniowy etc. Stosowany w tym modelu Dual Filter to połączenie filtra węglowego z pyłowym HEPA 12, dzięki czemu skuteczność urządzenia – potwierdzona badaniami przeprowadzonymi przez Airmid Healthgroup – jest bardzo wysoka.

Jak podaje producent, testy laboratoryjne potwierdziły, że oczyszczacz Roger 2 w ciągu godziny usuwa z powietrza do 99,9 proc. wirusów grypy A.

Zaletą tego modelu jest też nowoczesne wzornictwo, dzięki któremu całkiem spory sprzęt (jego wymiary wynoszą 42 x 51,6 x 20 cm) można ustawić w salonie bez obawy, że zrujnuje wygląd wnętrza. Poziom hałas w zależności od wybranego trybu waha się z kolei od 28 do 65 dB.



Sterowanie urządzeniem jest banalnie proste. Można to robić za pomocą przycisków umieszczonych na panelu sterującym lub przy użyciu własnego smartfona, bo urządzenie można połączyć z domowym wi-fi. W aplikacji widać też dokładnie, jaki jest wynik pomiaru stężenia szkodliwego pyłu zawieszonego PM2,5. A także sprawdzić, czy filtr nie wymaga już przypadkiem wymiany.

Wady? Urządzenie nie ma uchwytu do przenoszenia. Może to być nieco uciążliwe, jeśli chciałoby się np. najpierw oczyścić sypialnię dziecka, a potem własną. Teoretycznie brakuje wyświetlanej na panelu sterowania informacji o bieżącym stężeniu PM2,5, ale na szczęście szybko można ten wynik sprawdzić w aplikacji.

Poza tymi drobnymi minusami Stadler Form Roger 2 to bardzo dobry oczyszczacz. Jego cena wynosi 1999 zł. ©©

Jacek Przybylski

POŻEGNANIE Z KARTRIDŻAMI

Epson wypuścił na rynek nową serię drukarek EcoTank, które zamiast kartridżów są wyposażone w wbudowane pojemniki na atrament, uzupełniany za pomocą specjalnych butelek. Według japońskiego producenta jeden zestaw butelek z atramentem stanowi równowartość nawet 66 kartridżów z atramentem. Epson chwali się więc, że takie rozwiązanie pozwala ograniczyć koszty drukowania nawet o 90 proc. Dodatkowo nowe drukarki EcoTank firmy Epson są wyposażone w technologię Micro Piezo, która zapewnia mniejsze zużycie energii i mniejsze zapotrzebowanie na części zamienne. Producent wreszcie wprowadził też do oferty białą wersję urządzeń oraz ulepszył bezpłatną aplikację Epson Smart Panel, ułatwiającą drukowanie, skanowanie etc.

– zarówno z komputera, jak i ze smartfona czy z tabletu. Cena modelu L3256 w białej wersji wynosi 899 zł, a dużego urządzenia wielofunkcyjnego L6276 – 1699 zł. Sprzedaż ma napędzać Usain Bolt, najszybszy człowiek świata, który w październiku został oficjalnie ambasadorem marki Epson.



MINIŁODÓWKA JAK KONSOLA

19 października ruszyła przedsprzedaż minilodówki Xbox, a więc urządzenia, które do złudzenia przypomina nową konsolę do gier firmy Microsoft. Xbox Mini Fridge jest naprawdę mini. Zdola bowiem pomieścić maksymalnie 12 puszek z napojami. Lodoweczka Microsoftu ma za to inną przydatną funkcję: z przodu wyposażona jest w port USB do ładowania innych urządzeń. Cena w przedsprzedaży w zachodnich sklepach wynosi 99 euro, a w Polsce 641 zł (na platformie Toylnk.com). Oficjalną datę premiery wyznaczono na początek grudnia. Wówczas do dystrybucji może trafić więcej egzemplarzy. ©©

Jacek Przybylski



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Tak dobrze, to dlaczego tak źle?

Zewsząd dwie sprzeczne narracje. Jedna, rzędowa, że jest świetnie, druga, antysystemowa (bo nie totalnie opozycyjna, gdyż tu ona milczy), że wręcz przeciwnie. Kto ma rację? Jak zwykle, jako podobno symetrysta, muszę stwierdzić, że wszyscy i nikt. Wyniki gospodarcze są na tyle dobre, że rząd wypracował nadwyżkę i publicznie się dopytuje, na co by ją tu wydać. Z drugiej strony upadające małe firmy to musi być koszmarnie. Okazuje się, że nie dla budżetu, bo na niego takie formy gospodarcze widać nie pracują. Nie dość, że rośnie PKB, to jeszcze mamy do czynienia – wbrew wieszczonemu o covidowej niepewności, w związku z tym obniżeniu chęci do rozwoju – ze wzrostem zainwestowanych środków na poziomie +7,9 proc., nawet ciut lepiej, niż było przed pandemią.

Rentowność przedsiębiorstw wzrosła aż do rekordowych 7 proc., w pierwszym półroczu obroty podskoczyły o 19,7 proc., co przy niskiej bazie roku 2020, już naznaczonego w drugim kwartale COVID, daje wynik sztucznie zawyżony, ale oznaczający również, że się wydobywamy.

COVID w swojej istocie wpłynął na wzrosty w branżach, które były z nim „kompatybilne”. Nie dziwi, że zyskała branża związana ze zdrowiem, ale ciekawy jest boom w branży IT. Jest on spowodowany tym, że w COVID mile widziane są usługi zdalne e-commerce, które lawinowo wzrosły. Jednocześnie okazało się, że właśnie w tej dziedzinie, w sposób niejako wymuszony

pandemią, firmy w rekordowo krótkim czasie dokonały cyfrowej transformacji swoich modeli biznesowych. Podobno w tym skoku nadrobiliśmy co najmniej dwa lata, czyli jesteśmy do przodu. Taką to dziwną i nieoczekiwaną „korzyść” z koronawirusa.

Ale są i stratni. Co omyślisz, to hotelarstwo i gastronomia, czyli „ulubione” cele covidowych obostrzeń administracyjnych. Dołączyło do pechowców także górnictwo, ale to raczej efekt problemów strukturalnych, które tylko unaoczniała pandemia. Niepokoi jednak struktura firm, dla których COVID był dopustem bożym. Głównie to małe firmy, rodzinne, z własnym kapitałem. Czyli załazek polskiej klasy średniej. I ta dostała najbardziej po głowie, choć – jak widać z powyższego – nie miało to większego wpływu na PKB. Ale będzie to miało duży impakt społeczny. Gdzie pójdą zbankrutowani mali? Będą mieli do wyboru tylko dwóch pracodawców: państwo i wielkie korporacje. Czyli grozi nam zgłajchszaltowany zastój tych najmniej innowacyjnych form działalności gospodarczej. I pytanie, które już tu kiedyś zadałem: Kto zarobi na państwo? Samo na siebie nie, duże korpo podatków zaś nie płacą. A każde uderzenie w małych to cios w podatkodawcę i pracodawcę.

Wychodzi na to, że w skali makro jest nieźle, a w mikro już słabiej. Ale rząd myśli właśnie w skali makro, lud zaś żyje w mikroskali. Czy te dwie rozbieżne perspektywy się kiedyś spotkają? ©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Racja siły zamiast siły racji

Wponiedziałek 18 października przed Sądem Lekarskim Okręgowej Izby Lekarskiej w Łodzi odbyła się rozprawa przeciw Dorocie Sienkiewicz i Piotrowi Rossudowskiemu. Gdy zapytałem panią dr Sienkiewicz, o co toczy się proces, odpowiedziała: o wolność, o prawdę, o możliwości wyboru sposobów leczenia. Doktor Dorota Sienkiewicz i lek. med. Piotr Rossudowski zostali oskarżeni o głoszenie poglądów niezgodnych z wiedzą medyczną i szerzenie szkodliwych społecznie postaw antyzdrowotnych. Chodzi o krytykę politycznych decyzji ministra zdrowia dotyczących kryzysu pandemicznego, a także o zgłaszane wątpliwości co do skuteczności i bezpieczeństwa szczepień preparatami genetycznymi, używanymi w profilaktyce COVID-19.

Przed okazałym pałacem, w którym mieści się Sąd Lekarski, zgromadziło się kilkaset osób z transparentami, tablicami i flagami. Przyjechali tu z całej Polski, aby wesprzeć medyków i okazać im solidarność, bo oskarżeni to osoby popularne, aktywne społecznie: dr Sienkiewicz jest szefową Niezależnego Stowarzyszenia Lekarzy i Naukowców, natomiast Piotr Rossudowski, ze względu na jego rozległą wiedzę na temat polityki wobec COVID-19 w innych krajach i doświadczenia pracy w systemie ochrony zdrowia w Skandynawii, jest chętnie zapraszany przez środowiska wolnościowe i niezależne media.

Do rozprawy jednak nie doszło. Pełnomocnik dr Sienkiewicz, mec. Arkadiusz Tetela, zgłosił wniosek o wyłączenie składów sędziowskiego z postępowania z uwagi na podejrzenie braku bezstronności. Przywołał donosy na oskarżonych lekarzy, kierowane do rzecznika odpowiedzialności zawodowej NIL w Warszawie, których autorami byli członkowie łódzkiej Izby Lekarskiej. Ponadto rozprawę wyznaczono, pomijając postępowanie wyjaśniające – bez wysłuchania przez rzecznika odpowiedzialności zawodowej. Nie uwzględniono też wcześniejszego zażalenia w tej kwestii, składanego przez pełnomocnika. Największe jednak zdumienie budzi to, że oskarżonym nie wskazano konkretnych, rzekomo nienaukowych wypowiedzi i opinii, uniemożliwiających adwokatowi ustosunkowanie się do zarzutów. Wszystko to, zdaniem pełnomocników stron, jest rażącym pogwałceniem reguł i tak zostało to przedstawione członkom składu orzekającego.

Argumentacja adwokatów okazała się na tyle miażdżąca, że sąd przerwał posiedzenie i po kilkudziesięciominutowej naradzie za zamkniętymi drzwiami ogłosił odroczenie postępowania. Jazda na skróty, którą widzimy w działaniach sądu, świadczy o nerwowości, która panuje w izbach lekarskich. Coraz bardziej widoczna kruchość oficjalnej narracji pandemicznej, zamiast medycznych i naukowych argumentów, rodzi bowiem pokusę użycia siły i administracyjnego przymusu. ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Śmiać się? Bardzo to niebezpieczne

Pokolenia przemijają, mechanizmy trwają. Na przykład taki mechanizm: jesteś wesołkiem, publika pęka ze śmiechu, doceniając błyskotliwość, refleks, skrzące się niepowtarzalną świeżością asocjacje. Poklepują cię po plecach, pragnąc ogrzać się twoim towarzystwem i małżowinami spiąg słowa, które potem powtarzać będą jako własne. Do czasu. Oto w pysze swej i nieostrożności pozwoliłeś, aby ostrze dowcipu przebiło balon osoby znacznej. Zza rogu, mój ty wesołku, figlarzu, trefnisiu, błaznie, patrzy na ciebie twój koniec. Unikniesz go?

Oczywiście znają Państwo dramat Wiktora Hugo „Król się bawi”, oczywiście znają Państwo operę „Rigoletto” Giuseppe Verdiego napisaną na podstawie dzieła Hugo, oczywiście przypominają sobie Państwo błazna Rigoletto. Zostawmy tragiczną historię operowej fikcji, ten trefniś istniał naprawdę, żył na przełomie XV i XVI w., zabawiał króla i dwór Franciszka I Wależjusza, nazywał się Nicolas Ferrial, znany jako Triboulet. Bywał nazbyt zuchwały, czasem wręcz grubiański. Kiedyś klepnął w tyłek królową. Naprawdę. Rozzłościła się nie na żarty i zagroziła ścięciem. Po chwili obiecała darować życie błazna, pod warunkiem że... przeprosi ją w sposób, który będzie nikczemniejszy niż klaps w królewskie pośladki. Na co Triboulet: „Najmocniej przepraszam, pomyliłem

waszą wysokość z królową”. Ocalił gardło. Kiedy przesadził kolejnym razem, śmierć obiecał mu król, ale w uznaniu zasług błazna pozwolił mu wybrać sposób, w jaki odejdzie z tego świata. „Chcę umrzeć za starości” – powiedział. Ocalił gardło. Został wygnany.

Na Twitterze bardzo popularny jest trefniś Człowiek Bóbr. Dokonuje niezwykle udanych prowokacji. Podszyszywa się pod znane osoby, zastępuje swoje zdjęcie zdjęciem ofiary i pisze komunikat, który niby jest podobny do słów, które mogłaby wypowiedzieć ofiara, ale przesadza w słowach na różne sposoby, narażając na śmieszność tego, pod kogo się podszysywa. Najważniejsze w tych wyrafinowanych dowcipach jest to, że dają się na nie nabierać bardzo różne i bardzo wpływowe osoby, chociaż Człowiek Bóbr zostawia mały znaczek w komunikacie w postaci swojego e-maila, po którym można rozpoznać, że to on. Ten zuchwały niegodziwiec podszyszył się pod Donalda Tuska, pisząc z fałszywego konta Donalda: „Skandaliczne wystąpienie Morawieckiego w Parlamencie Europejskim. Kiedy jest się wezwanym na dywanik, to się pokornie słucha i przytakuje, a nie pyskuje”. Dużo osób się na to nabrało. Dużo. Platforma zażądała ścięcia Człowieka Bobra, czyli zablokowania mu konta. Śmiech jest bardzo niebezpieczny. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Golasy w katedrze

Małgośka – mówią mi – czego nie rozumiesz? Prawo unijne jest ponad krajowym, prawo kobiety do aborcji ponad prawem do życia, prawo do obrażania katolików ponad prawem ochrony uczuć religijnych... I tak mi prawią te świeckie kazania specjaliści od trendów w antykulturze. W dodatku z całkowitą powagą recytują frazy, od których przytomniejsza część Zachodu zaczyna się odwracać w panice, widząc, ile szkód wyrządziły. I właśnie za to, że dzielnie znoszę wszystkie te dewiacje myślowe warszawskiej elity – nagrodziłam się sama wyprawą do Toledo.

Mnośtwo wspomnień łączy mnie z tym miastem, musiałam więc sprawdzić, czy pandemia i rządy Sáncheza nie zrujnowały miejsca, któremu wiele zawdzięczam. Zanim jednak tam dotarłam, już parę dni wcześniej zrozpaczona znajoma doniosła mi o nagraniu słynnego teledysku „Ateo” w tolekańskiej katedrze, jednej z najpiękniejszych na świecie. „Jak mogli udostępnić święte miejsce na taki erotyk i to za srebrniki Judasza?!” – płacze przyjaciółka i podsyła mi link do wideo. Zdołałam obejrzeć tylko pierwsze sekwencje i natychmiast w panice wyłączyłam, zastanawiając się, jak odojrzeć to, co zobaczyłam. Jakim prawem rektor katedry tak zasłużonej dla Kościoła powszechnego oddał świątynię na pastwę

czegoś tak haniebnego i to pod pretekstem, że uzyskane fundusze odda na potrzeby biednych?! Półnaga babka i piosenkarz podrygują opętańczo w rytm erotycznego tańca bachata nawet przed głównym ołtarzem. I pomyśleć, że to mnie (!) parę lat temu wyprowadzano pod eskortą, bo się po mszy schowałam za filarem, chcąc przyjrzeć się lepiej rzeźbom Rodriga Alemána, na potrzeby mego eseju o „Bluzniercy w katedrze”. Owszem, przyznaję, słabo to rozegrałam, chciałam samotnie delektować się sztuką. Oraz (i tu nastąpi publiczne wyznanie grzechu) przyoszczędzić 6 euro za wejściówkę, bo we wstępnych wyliczeń wyszło mi, że ufundowałam tej katedrze już renowację fresku św. Krzysztofa (wziąwszy pod uwagę, ile razy karnie płaciłam już za możliwość zachwyty pinakoteką). I mnie tak potraktowano? A tamtej, miotającej trzeciorzędowymi cechami płciowymi po kaplicach nic? To ja służę księżom z katedry, mogę pokazać im trzy dawne siedziby inkwizycji w Toledo. Może tam duch miejsca przywoła pamięć o grzechu profanacji? Pojechałam i zdziwiona odkryłam, że na jednej ze ścian katedry pojawił się obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. „No dobra – pomyślałam – tym razem Wam nie wygarnę. Ale pamiętajcie, prawo Boskie ponad prawem unijnym i gospodarki rynkowej!”. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Klamki obcych myśli

W przededniu rewolucyjnych wstrząsów Wiosny Ludów Zygmunt Krasiński pisał w jednym z listów, że śmiertelnym zagrożeniem dla naszej duchowej tożsamości jest nie tylko „Azja [czytaj: Rosja], co nas przysięgła pochłoniąć, bo my jedni bronim jej wstępu do Hesperydowych ogrodów zachodnich”. Zagrożeniem jest również rosnący jak chwast w tych „ogrodach” radykalizm „motłochowo-radykalny”, którego ekspozyturą u nas są „krzykacze, małpy 93. roku, pedanty, układacze mimiki teatralnej mordów i rzezi na przyszłość”.

W czasach wieszczą symbolem najstraszniejszego oblicza rewolucji był rok 1793 – apogeum jakobińskiego terroru i polityki dechrystianizacyjnej realizowanej

namy coraz mocniej odczuwać, teorii o sprawczej roli człowieka w odniesieniu do zmian klimatycznych. A cóż dopiero powiedzieć o głupstwach, na których ludzie robią nie tylko wielkie pieniądze, lecz także zyskują prestiż jako ludzie nauki. Dość wspomnieć tzw. studia gender, czy zwycięsko maszerującą przez instytucje amerykańskiego świata akademickiego „krytyczną teorię rasową” (critical race theory). Zaiste – „głupstwo w danej chwili potężnym bywa”.

Nie tylko zresztą na lewicy. Przed uleganiem pokusie „wieszania się na klamkach obcych myśli” przestrzegał polskich teologów i filozofów błogosławiony prymas Wyszyński. Przed ponad pół wiekiem, w roku obchodów milenijnych, zachęcał pracowników naukowych warszawskiej Akade-

nej). Rzecz o umiejętności oddzielenia tego, co jest wartościowe, od zwykłego bełkotu.

Dla przykładu: wybitny amerykański pisarz i publicysta konserwatywny Pat Buchanan wśród wielu cennych analiz i komentarzy głosi również pogląd, że traktat wersalski bardzo ukrzywdził Niemcy i stworzył fundamenty pod niestabilność polityczną w Europie, która w końcu zaowocowała drugą wojną światową. Czy to powód, aby nasi rodzeni „realiści” pedantycznie naśladowali autora, który skądinąd jest autorem licznych traktatów obnażających mechanizm kryzysu amerykańskiej demokracji i liberalnego Zachodu?

Spójrzmy na Amerykę Południową. Brazylijski pisarz i publicysta katolicki dr Plinio Corrêa de Oliveira, autor przenikliwej analizy kolejnych fal rewolucyjnych uderzeń w chrześcijańską cywilizację („Rewolucja i kontrrewolucja”), niestrudzenie bijący na alarm przed destrukcją katolickiego nauczania pod płaszczykiem „reform posoborowych”, jednocześnie wypisywał banialuki o Niemcach. Zachwalał ich jako „Hiszpanów Wschodu”, którzy oddali wielkie zasługi dla chrystianizacji Europy Środkowej i Wschodniej. W tym ostatnim kontekście głosił apologię Krzyżaków, nazywanych przez jednego z XV-wiecznych polskich biskupów „łotrami znaczonego krzyżem”, a przez błogosławionego kard. Wyszyńskiego „rycerzami fałszywego chrześcijaństwa”. Z uznaniem czyta się rozważania brazylijskiego pisarza o przyczynach i symptomach kolejnych wstrząsów rewolucyjnych. Włos na głowie się jeży podczas lektury jego wizji alternatywnej historii, w której Niemcy bez reformacji chrystianizują Rosję i docierają do Indii i Chin. Myśl nie tylko dla „polskich mózgów” nieznośna. ©

**Na naszych oczach potęga głupstwa rośnie i zyskuje
noble miano teorii naukowych, za którymi idą
całkiem realne pieniądze**

przez adeptów Jana Jakuba Rousseau, przysposabiających Francuzów wraz z „obywatelką gilotyną” do „rządów cnoty”. W naszych czasach „małpy” orientują się raczej na rok 1968, chociaż czytając i słuchając reprezentantów „nowej lewicy” (vide: Slavoj Žižek), można dojść do wniosku, że powabu nie traci tam również małpowanie roku 1917.

Autor „Nie-Boskiej komedii” pisał o „małpach” swojego czasu: „Nic w nich jeno małpiarstwo, naśladowanie, a zatem głupstwo, lecz i głupstwo w danej chwili potężnym bywa”. Na naszych oczach potęga głupstwa rośnie i zyskuje noble miano teorii naukowych, za którymi idą całkiem realne pieniądze. Dość wspomnieć konsekwencje finansowe, które zaczy-

mii Teologii Katolickiej, by „zacząć myśleć kategoriami i mózgami polskimi, zgodnie z potrzebami i zapotrzebowaniem psychiki i religijnego środowiska polskiego”.

W naszych czasach ta zachęta jest jeszcze bardziej aktualna niż w 1966 r. i nie dotyczy li tylko środowiska filozofów i teologów katolickich, wśród których jest coraz więcej „małp 68. roku”. Wieszają się na „klamkach obcych myśli” także ci, którzy odwołując się do kategorii realizmu politycznego lub myśli kontrrewolucyjnej, ulegają swoistemu prawicowemu internacjonalizmowi, który wyłącza myślenie „kategoriami i mózgami polskimi”. Nie chodzi tutaj o uleganie jakiemuś nacjonalizmowi (idei z gruntu rewolucyj-

KOPNIJ STOLIK



FOT. W. CIERONSKI / LUDY JAROSŁAW SCISNIAK

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Ten cytat pasuje nawet do gry
w karty.

Ciągle coś negocjujemy, nie tylko premier rządu, który pojechał „na dywanik” do Brukseli. Każdy człowiek przez całe życie coś negocjuje. W domu dziadek z niesforemym wnukiem (chcesz lody, to posprzątaj pokój, a jak nie chcesz lodów i nie posprzątasz, to ci złożę tyłek), mąż negocjuje z żoną, pracownik z szefem; negocjujemy nawet z innymi kierowcami w trakcie jazdy samochodem – istnieją przepisy ruchu, ale potem na jezdni odbywają się negocjacje: wpychanie lub przepuszczanie itd.

Bardzo ważne w negocjacjach jest wiedzieć, kiedy wstać od stolika. Wstać i wyjść – skończyć bez dogadania się z drugą stroną. Kompromis za wszelką cenę to złe podejście, bo czasami umowa kompromisowa jest gorsza od kompletnego braku umowy.

Zacytuję z książki: „Zanim usiądziesz do stołu, wyznacz sobie granicę, przy której od tego stołu wstaniesz. Nigdy tej własnej granicy nie przekraczaj! Nigdy nie zgadzaj się na nic więcej niż tyle, ile sam ze sobą ustaliłeś jako cenę maksymalną. Trzeba wiedzieć, kiedy wstać od stolika, trzeba umieć zerwać negocjacje”.

Powyższy cytat dotyczy w równym stopniu negocjacji z Putinem, co z facetem, od którego kupujesz samochód.

Przed podjęciem negocjacji warto też odwrócić stolik i zastanowić się, co ta druga strona straci, jeżeli się z tobą nie dogada. Nie kupisz tego samochodu, ale... on go nie sprzeda. Czy to dla niego ważne? Czy znajdzie innego klienta, czy może będzie miał z tym kłopot?

No i właśnie coś takiego się stało niedawno w naszych stosunkach z Niemcami. Odwrócono stolik i do mediów trafiły wyliczenia, że 70 proc. dotacji unijnych, które Polska otrzymuje, trafia do Niemiec. Łał!! Dzieje się to z powodu warunków „technicznych”, które towarzyszą każdej dotacji. Przykładowo: „Damy wam stówę na zbudowanie ulicy, ale wymagamy, byście położyli asfalt takiej to i takiej jakości” i... okazuje się, że Polska ten asfalt musi sprowadzić z Niemiec, bo tylko tam taki mają. Bingo! Polska dostała stówę, ale 70 proc. musi wydać w Niemczech.

Ktoś powie, że to nadal opłacalne, bo dostaliśmy darmową stówę.

Zaraz! Ale przecież jest jeszcze coś takiego jak udział własny w każdej inwestycji, czego Unia wymaga i co skrupulatnie sprawdza. Czyli dostaliśmy stówę, ale musimy dołożyć drugą stówę z własnej kieszeni i tej drugiej stowy też nie możemy wydać tak, jak nam się podoba, lecz zgodnie z warunkami „technicznymi” zakreślonymi przez UE. No

i w wyniku zarządzania naszą stówą kolejne 70 proc. trafia do Niemiec. Łał!!!

Czyli... za każdą stówę przyznawaną Polsce w ramach unijnej pomocy Niemcy dostają 140. Moim zdaniem już dawno temu powinniśmy kopnąć w ten stolik, wyjść i trzasnąć drzwiami. Gdyby mi ktoś proponował taki interes w mojej prywatnej firmie, tak bym zrobił. Polsece taniej by wyszło wziąć zwyczajny kredyt komercyjny zamiast unijnej dotacji.

Warto też wziąć pod uwagę, że płacimy do UE składki, czyli każda „darmowa” stówą, którą oni nam dali, zawiera w sobie trochę polskiej forsy, którą daliśmy najpierw im, a teraz oni odsyłają do nas wraz z doczepionymi warunkami.

Z grubsza licząc, Polska wpłaca do UE 5 mld euro, a dostaje 15, czyli każda „darmowa” stówą kosztuje nas 30 euro (zapłacone w składkach).

Policzmy opłacalność unijnych dotacji:

1. Dostaliśmy „darmową” stówę, która zawiera ok. 30 proc. naszych własnych pieniędzy.

2. Z tej „darmowej” stowy 70 proc. musimy wydać w Niemczech, czyli zostaje nam nasze własne 30.

3. Ale! W każdej inwestycji unijnej musimy mieć udział własny, np. połowę, czyli... musimy jeszcze do Niemiec wysłać kolejne 70 zł z własnych pieniędzy.

Wynik rachunkowy: każda stówą unijnej dotacji kosztuje nas 140 euro, które musimy wydać w Niemczech.

Odwróćmy ten stolik. Zastanówmy się, co by straciły Niemcy, gdyby Polska zdecydowała się na polexit lub przynajmniej na to, że my w takim razie w tym roku rezygnujemy z tych waszych dotacji, bo skoro one są powiązane z „praworządno-

ścią”, to my ich nie chcemy i tyle. Co by się stało w Niemczech, gdyby Polska nie przyjęła unijnych dotacji lub gdyby nam zostały odebrane?

Polska dostaje z Unii ok. 15 mld euro rocznie, a 70 proc. tej kwoty trafia do Niemiec, co oznacza ponad 10 mld. A do tego kolejne 10 mld, które musimy wydać w Niemczech jako nasz udział własny. Gdybyśmy wstali od stolika, Niemcy straciliby 20 mld euro. I moim zdaniem ich na to nie stać.

Stąd niedawne słowa Merkel: „Nadszedł czas, aby zacząć dyskutować z polskim rządem i rozwiązać problemy”.

Nasze stosunki z Unią Europejską to stałe targi o forsy lub o władzę. Od samego początku do samego końca zawsze chodzi tylko o te dwie rzeczy. Obecne targi (a nawet konflikt) o to, które prawo ważniejsze – nasze czy ich – są targami o władzę. I tu nieprzekraczalną granicą, która powoduje, że natychmiast wstajemy od stolika, powinna być niepodległość, suwerenność. O tym z nimi nie dyskutujemy. Nigdy, za żadne pieniądze, za żadne skarby – wstajemy od stolika i zrywamy negocjacje.

Podany wcześniej cytat pochodził z książki Donalda Trumpa „The art of the deal”.

Potoczne rozumienie tytułu jest niewłaściwe. Tu nie chodzi o „sztukę robienia interesów”, lecz o to, że Donald Trump robienie interesów traktuje jak sztukę. Pieniądze są w jego ręku jak pędzel malarza czy fortepian kompozytora. Trump jest artystą negocjacji.

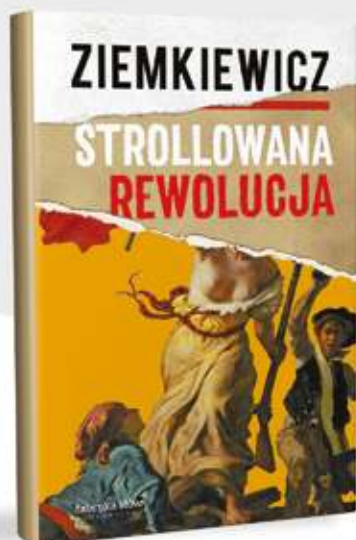
Politycy bardzo często chcą się dogadać na siłę – błąd! Lub ograć drugą stronę – błąd! W zasadzie nigdy nie wstają od stolika – błąd... bo to oznacza, że nie ma takiej granicy, której nie będą gotowi przekroczyć. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~914 zł~~

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
„STROLLOWANA REWOLUCJA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

340,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 574 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl aeb85a8db8

CZAS NA NOWĄ KLASYKĘ

Nowoczesne technologie.
Klasyczny design.



Eco-Drive®



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW